



AGNÈS LEDIG

**DWIE SEKUNDY  
PRZED CUDEM**

ANDROMEDA



AGNÈS LEDIG

# DWIE SEKUNDY PRZED CUDEM

Tłumacz: Eliza Kasprzak-Kozikowska

ANDROMEDA

„Ludzie, których kochaliśmy, już nigdy nie będą tam, gdzie byli, ale są wszędzie tam, gdzie my jesteśmy”.

Aleksander Dumas

Dla Nathanaëla,  
który jest wszędzie tam, gdzie ja jestem...

Koalescencja: r.ż. -1537; (łac. coalescere – zrastać się, łączyć się)

1. BIOL. Zespolenie dwóch stykających się tkanek.
2. CHEM. Zjawisko łączenia się małych kropelek cieczy w większe krople wskutek wzajemnych zderzeń.
3. LING. Ściągnięcie dwóch lub więcej fonemów w jeden.

*Le Petit Robert*

Tutaj:

4. HUM. Zbliżenie osób wrażliwych i poranionych, które doprowadza do trwałej odbudowy każdego członu poprzez całość, którą razem tworzą.

## IMIĘ NA PLAKIETCE

Julie nie takie rzeczy już widziała.

Mogła się postawić, zaryzykować, stracić pracę, byle zachować godność.

Ale jaką godność?

Pożegnała się z nią już dawno temu. Gdy chodzi o przetrwanie, odkładasz na bok wzniosłe młodzieńcze ideały. I przyjmujesz ciosy, trzymasz język za zębami, pokornie słuchasz, cierpisz.

Pomijając wszystko inne, potrzebuje tej roboty. Naprawdę. A ten łajdak Chasson doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Kierownik bez skrupułów, zdolny zwolnić kasjerkę za brak dziesięciu euro, a co dopiero pięćdziesięciu!

Julie wie, kto ukradł jej te pięćdziesiąt euro, gdy się odwróciła. Jednak donoszenie na kolegów jest źle widziane. Bardzo źle widziane. Po czymś takim twoja reputacja jest tak nieodwracalnie zrujnowana jak reputacja trzylatka, który przyniósł do przedszkola wszy. Woli tego uniknąć.

„Mógłbym panią natychmiast wyrzucić, panno Lemaire. Jednak znam pani sytuację i wiem, że nie jest pani w stanie zwrócić brakującej kwoty. Proszę uważać, mógłbym zażądać, by pokryła pani straty wynikłe z pani błędów w inny sposób. Wie pani, co mam na myśli? Jeśli nie, niech pani zapyta koleżanek, niektóre zrozumiały, jak to się załatwia” – rzucił bezdusznie, patrząc jej prosto w oczy ze złośliwym uśmiechem na ustach.

*Bydlak!*

Choć na to nie wygląda. Typ idealnego zięcia. Wysoki, energiczny,

uśmiechnięty, mocno zarysowana kwadratowa szczęka, skronie przyprószone siwizną. Zawsze poklepie po plecach, by dodać otuchy, odwagi. Zawsze rzuci miłe słowo, gdy w poniedziałek rano przychodzi powitać pracowników. Elegancka żona i grzeczne dzieci. Facet, który zaczynał od zera i w pocie czoła pisał się po szczeblach kariery, wymuszając szacunek i podziw. To tyle, jeśli chodzi o jasną stronę medalu. Jednak gdy się go odwróci, po drugiej stronie jest wilk, drapieźnik, mężczyzna, który chce mieć kobiety u swoich stóp, by udowodnić sobie, że jest najsilniejszy.

Kilka minut później Julie przemierza szybkim krokiem długi korytarz, prowadzący z biura kierownika do galerii handlowej. Jej przerwa już się kończy. Wolałaby spędzić ją na czym innym, zamiast wysłuchiwać podobnych uwag. Z wściekłością wyciera rękawem spływającą po policzku łzę. Żalną oznakę słabości, którą musi natychmiast przepędzić.

Bo Julie nie takie rzeczy już widziała.

Jest jedną z tych osób, z którymi los się nie patyczkuje.

Tak już jest...

Paul Moissac sterczy pełen zwątpienia przed regałem z mrożoną pizzą. Wybór zgrzewki piwa, którą trzyma w dłoni, nie nastreczył mu problemów, ale to! Wygląda, jakby pierwszy raz postawił stopę w supermarkecie. W każdym razie samotnie.

Miesiąc temu zostawiła go żona. Przed odejściem, w ostatnim przypływie wielkoduszności, który prawdopodobnie napełnił ją wybornym poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, zaopatrzyła lodówkę. Kobieta idealna, w całym swoim blasku i wspaniałości, aż do najdrobniejszego szczegółu, i niech się ktoś ośmieli winić ją za jej nagłe i nieodwracalne zniknięcie.

Jednak dziś Paul nie miał już wyboru. Utrata jednego kilograma tygodniowo początkowo może wydawać się korzystna, ale po przekroczeniu pewnego progu

okazuje się niebezpieczna. Pomysł, by usiąść samotnie przy restauracyjnym stoliku tak go przygnębia, że całkiem odbiera mu apetyt. Być może jako pięćdziesięcioletni powinien w końcu nauczyć się manewrować między alejkami w sklepie spożywczym. Ostatecznie decyduje się na tę pizzę, która jest najdroższa. Jeszcze tego brakuje, by jadał byle co, bo żona zostawiła go po trzydziestu latach wspólnego życia.

Gdy musi wybierać, zawsze bierze to, co najdroższe, przekonany, że cena jest gwarancją jakości.

Gdy przechodzi przez dział „Owoce i warzywa”, przypomina mu się jedno z ulubionych haseł żony, wygłaszanych machinalnie, jak wszystkie pozostałe: „Pięć porcji owoców i warzyw dziennie”. Wrzucała je między: „Palenie cię zabije” i „Alkohol ci nie służy”.

*Ależ ta kobieta była męcząca!*

Wkłada jednak kilka jabłek do foliowej torebki i rusza w stronę kasy. Trzyma swoje trzy artykuły w ręku, czekając, aż zwolni się trochę miejsce na ruchomej taśmie. Stojąca przed nim wielka, gruba kobieta właśnie wysypała na nią cały koszyk przeróżnych świństw. Ona z pewnością nie dogadałaby się z jego żoną.

Szybko zdaje sobie sprawę, że nie wybrał najlepszej kasy, która pozwoliłaby mu jak najszybciej opuścić tę jaskinię konsumpcji, ale kasjerka jest ładna. Nieprzyjemna, ale ładna. Taki to już przywilej urody: łagodni paskudny charakter. Zawsze. Ładnym kobietom wybacza się wszystko, nawet zanim zdążą otworzyć usta. Ta tutaj nie zaszczycą klientki spojrzeniem, wydając jej resztę, a korzystając z chwili przerwy, ściera łzę, która pojawiła się znikąd na jej policzku. Żadnego trzęsącego się podbródka, urywanego oddechu, błyszczących oczu, nic z tych rzeczy, niewzruszona twarz i nieposłuszna łza, która pozwoliła sobie na ucieczkę.

Przychodzi kolej na Paula.

– Dzień dobry, Julie!

– Czy my się znamy? – pyta kasjerka, podnosząc na niego zdziwiony wzrok.

– Nie, ale tak jest napisane na pani plakietce. A po cóż innego nosi się plakietkę z imieniem?

– Po to, by klient mógł na mnie donieść kierownictwu, jeśli pomylę się o trzy centymy. Rzadko po to, by się ze mną przywitać.

– Mam pewne wady, ale donosicielem nie jestem.

– Nie zważył pan jabłek – mówi bezbarwnym, znudzonym tonem.

– A trzeba było?

– Oczywiście!

– To co mam teraz zrobić?

– Albo pójdzie pan je zważyć, albo z nich zrezygnuje.

– Pobiegnę. Zaraz wracam – odpowiada Paul, chwytając siatkę.

Dlaczego tak bardzo mu zależy, żeby kupić te jabłka!?

– Niech się pan nie spieszy, to niczego w moim życiu nie zmieni! – mówi młoda kobieta pod nosem, gdy zniknął już z kolejki.

Klienci w ogonku zaczynają się niecierpliwić. Julie korzysta z chwili przerwy, by rozprostować plecy, które bolą ją już od tygodnia.

Mężczyzna wraca zziębnięty i kładzie siatkę z jabłkami przed młodą kasjerką.

– Wybrał pan winogrona zamiast jabłek!

– Naprawdę?

– Winogrona Golden. Tak jest napisane na etykiecie. A to są jabłka Golden.

– I co teraz?

– Zapłaci pan więcej. Albo może pan pójść jeszcze raz, jeśli pan chce.

Gniewny pomruk narastający w kolejce zniechęca go do drugiego rozwiązania.

– Nieważne. Niech już będzie tak, jak jest. Może dzięki temu jabłka będą smaczniejsze! – mówi, uśmiechając się do niej.



Na ustach Julie pojawia się lekki uśmiech. Minęły chyba wieki, odkąd jakiś mężczyzna był dla niej miły. Choć raz to klient jest wobec niej uprzejmy, nie na odwrót! Jednak w wieku dwudziestu lat Julie zdążyła już odwyknąć od takich swobodnych rozmów. Beztroska dołączyła do godności na cmentarzu straconych złudzeń.

- Wieczór kibica? – pyta, podając mu paragon.
- Nie, dlaczego?!
- Piwo, pizza...
- Wieczór samotnego mężczyzny!
- Jedno nie wyklucza drugiego.

Julie nie raczy odpowiedzieć następnej klientce, która próbuje wziąć ją na świadka, oburzona, jak można nie wiedzieć, że owoce i warzywa się waży. Głędzenie, którego dziewczyna już nawet nie słyszy. UDDD obrzydło jej dawno temu. Uśmiech – Dzień dobry – Do widzenia – Dziękuję. Stosuje je wyłącznie wtedy, gdy wie, że jest obserwowana. Zamieszanie z jabłkami pozwoliło jej przynajmniej przez chwilę rozprostować nogi i upić z butelki łyk wody, by spróbować zatrzeć gorzki smak tej roboty.

Na próżno.

Skorzystała też z okazji, by pomyśleć o Lulu, miłości swojego życia. Jedynym pozytywnym obrazie zdolnym zatamować falę emocji wzbierającą pod powiekami.

Jérôme siedzi na sofie, sztywno wyprostowany, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń. Godziny spędzane w pracy są coraz bardziej męczące. Nie może już znieść odcisków na stopach opryskliwych staruszek, bachorów, które nie chcą otworzyć ust, by można było sprawdzić, czy za żółtawą wydzieliną nie kryje się angina, kobiet przed menopauzą, które opowiadają o swoich uderzeniach gorąca, jakby to był ostateczny kataklizm. A cóż powiedzieć o tej zgrai ubezpieczonych

próbujących wyłudzić zwolnienie z pracy, bo zapadli na ciężką odmianę śmierdzącego lenistwa?

To już dziesięć lat, odkąd haruje jak wół – najpierw, by skończyć studia medyczne, później, by zyskać zaufanie pacjentów prowincjonalnej przychodni, którzy w kilka miesięcy przeszli od podejrzliwości wobec nowo przybyłego do wymagania od niego bezwzględnego i całkowitego poświęcenia.

Musiało dojść do tragedii, by wreszcie przejrzał na oczy. I czuje, że jeśli nie zrobi sobie przerwy, nadciągnie kolejna katastrofa. Mocny alkohol na dnie szklanki co wieczór już mu nie pomaga jakoś tego wytrzymać. Zdarzenia rozmywają się we mgle niepamięci, zasypia kamiennym snem, budzi się o drugiej w nocy i do rana przewraca się z boku na bok. A kiedy dzwoni budzik, wyłania się z bolesnego, niespokojnego półsnu w poczuciu dojmującej samotności.

Ojciec jest jedyną osobą, która potrafi choć trochę go zrozumieć, mimo że sam też przeżywa teraz nie najlepszy okres. Jérôme zadzwoni do niego jutro, by zapytać, czy domek letniskowy w Bretanii jest teraz pusty. Być może powolny, regularny rytm fal pomoże mu odnaleźć odrobinę spokoju w całym tym obłędzie.

Mały usadowił się na dywanie w pokoju. Opiekunka pilnuje go kątem oka, przygotowując obiad. Wyjął z pudełka z zabawkami wszystkie plastikowe zwierzątka i ustawił je w kręgu. Miniaturowy szary słonik stoi obok wielkiego białego psa, a trzy gąski uwięzione na swojej kępcie trawy muszą się zastanawiać, jakim cudem znalazły się w towarzystwie fioletowego dinozaura, niewiele większego od nich.

Dziecko rozmawia z nimi jak z prawdziwymi przyjaciółmi, podprowadza każde z osobna do wodopoju w postaci niebieskiego kwiatu w rogu kolorowego bawełnianego dywanu. Zanurzając się w świecie zabawkowych zwierzątek,

odsuwa na bok całą psychiczną presję, której doznał dziś w przedszkolu. Starszaka, który ukradł mu ciastko, kiedy pani się odwróciła, sweterek, który znalazł brudny i podeptany na podłodze w szatni, rysunek, na który przewrócił się kubek i wylała się woda, w której moczyły się pędzelki. Pani obiecała mu, że narysuje nowy, ale to właśnie ten chciał podarować mamie, kiedy wróci wieczorem z pracy.

W krainie plastikowych zwierzątek żyje się łatwiej...

*Minęły już dwa lata, odkąd jestem kasjerką, a dopiero pierwszy raz klient przywitał się ze mną, zwracając się do mnie po imieniu. Tak rzadko spotyka się miłych ludzi. Zwykle, jeśli nie naskakują na mnie, bo nie jestem dla nich wystarczająco szybka, ledwie na mnie patrzą, uznając, że nie zasługuję na ich uprzejmość. Niektórzy jednym spojrzeniem dają mi do zrozumienia, że jestem tylko kasjerką, inni, traktując dosłownie dewizę „klient nasz pan”, uznają, że mogą sobie pozwolić na wszystko, w tym także na niestosowne czy seksistowskie uwagi. Jeszcze inni, czekając, aż na wyświetlaczu pojawi się cena, rozmawiają przez komórkę, jakbym była tylko maszyną, którą mija się, nie zaszczycając jej choćby spojrzeniem.*

*Ale nauczyłam się bronić. Niektórzy koledzy znoszą to w milczeniu, ja odpowiadam. Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak to jest. Gdyby tylko znaleźli się na moim miejscu. Nie wytrzymałoby dwóch dni w tym hałasie, przeciągach, przesuwając ciężkie przedmioty, które trzeba przystawić do skanera, niszcząc sobie kręgosłup, i słuchając nieznośnego, powtarzającego się uporczywie sygnału dźwiękowego. Nie wspominając już o tym bydlaku Chassonie, który traktuje nas jak zwierzęta.*

*Pewnego dnia zapłacą mi za to. I pożałuje.*

*Kiedy Lulu urośnie i nie będzie mnie już potrzebował, przestanę się na to godzić. I wreszcie będę wolna. I wtedy zemszczę się na wszystkich łajdakach świata, którzy wyzyskują kobiety, uznając, że mają być im uległe i bezwzględnie posłuszne. Za kogo oni się uważają?*

*Jednak dziś w spojrzeniu tego faceta było coś takiego, że wydawał się szczery i miły. Powinna jednak uważać. Już nieraz dałam się nabrać. Dziwne, tym razem czułam, że on jest inny.*

*Ale jest stary! Nie tak jak te młode koguty, które tylko dlatego, że są w kwiecie wieku i wyglądają całkiem atrakcyjnie, sądzą, że mogą wskoczyć*

*na wszystko, co się rusza.*

*Poza tym był kompletnie zagubiony, jakby właśnie wylądował tu z innej planety z tą swoją źle opisaną siatką jabłek.*

*Czasami chciałabym tam polecieć, na tę inną planetę. Tam gdzie nie byłoby tych wszystkich okropności, które ludzie wyrządzają sobie nawzajem, sprawiając, że cztery piąte ludzkości cierpi i pewnie wkrótce wszyscy rozbijemy się o ścianę...*

*Czasami w życiu ma się poczucie, że spotkało się kogoś, kto należy do tego samego wszechświata co ty... Przybysza z kosmosu, innego niż wszyscy, który odbiera na tej samej fali albo żyje tymi samymi złudzeniami.*

*Właśnie to dzisiaj poczułam.*

*I dobrze mi z tym.*

# **TYDZIEŃ PÓŹNIEJ**

## PRZYGOTOWANIA DO DROGI

- Dzień dobry, Julie – mówi mężczyzna, wykładając zakupy na taśmę.
- Dzień dobry. Wszystko pan dzisiaj zważył? – pyta bez złośliwości.
- Robię postępy... A pani czuje się dziś lepiej?
- Lepiej?
- Nie była pani trochę smutna ostatnim razem?
- Nie! – odpowiada oschle.
- Ach, w takim razie pewnie coś wpadło pani do oka?
- Właśnie! Ta torba termiczna jest płatna, bierze ją pan mimo to?
- Tak! Chyba lepiej ją mieć, prawda?
- To zależy od pana. Razem będzie czterdzieści siedem euro i dziewięćdziesiąt pięć centymów.
- Proszę zatrzymać resztę – mówi mężczyzna, podając kasjerce pięćdziesiąt euro.
- Wykluczone. Nie wolno mi brać napiwków.
- Rozumiem, że aby zabrać panią na piwko, musiałbym poczekać, aż skończy pani pracę?
- Nie wiem, czy to możliwe.
- Boi się pani, że ludzie zaczną gadać?
- Mógłby pan być moim dziadkiem!
- Trochę pani przesadziła, czuję się urażony!

- W każdym razie ojcem...
- Czy ojciec nie ma prawa wypić drinka z córką?
- Nie jestem pańską córką.
- Nikt o tym nie wie. Możemy udawać, że pani jest.
- Czego pan szuka? Świeżego mięsa?
- Skorumpowanej pracownicy, która zdradzi mi, jak korzystać z promocji w takim sklepie.
- To zależy, czego pan szuka.
- Produktów dla samotnego mężczyzny, który przez ostatnie trzydzieści lat żył z kobietą zarządzającą wszystkim, od zakupów począwszy.
- A więc szuka pan świeżego mięsa!
- Skoro już kupiłem torbę termiczną, niech się na coś przyda!
- Nawet wciągając brzuch, nie zmieszczę się do pana torby termicznej.
- Nie proszę o tak wiele, tylko by dała się pani zaprosić na drinka po pracy.

O której pani kończy?

- Mam dzisiaj przerwę od trzynastej do piętnastej.
- Gdzie pani jada?
- Mam jabłko.
- Jabłko? Nawet takie, które kosztuje tyle co winogrona, nie jest zbyt pożywne. Będę na panią czekał na parkingu, w alejce P, jak Paul, mam szare audi z napędem na cztery koła, pojedziemy coś zjeść.

Julie wręcza mu paragon, rzucając okiem na pozostałych klientów czekających w kolejce, którzy patrzą na nią spode łba. Musi uważać, mogliby pójść na skargę do kierownika, a ten na pewno skorzystałby z okazji i zażądał, by użyczyła mu swych wdzięków.

Jeszcze nie wie, czy pójdzie poszukać szarego audi z napędem na cztery koła, zaparkowanego w alejce P. Kto powiedział, że ten facet też nie zechce od niej



czegoś więcej? Choć w biały dzień na parkingu zbyt wiele nie ryzykuje. A poza tym to, jak ten początkujący kawaler z odzysku próbuje poradzić sobie z zakupami, było całkiem wzruszające.

To jej ostatni dzień w pracy przed trzytygodniowym urlopem. Może warto to uczcić, zamiast przez dwie godziny zabijać czas w centrum handlowym, skoro i tak nie może wrócić do domu, bo nie ma już pieniędzy na benzynę i oszczędza samochód, jak tylko się da. W torebce ma co prawda książkę wypożyczoną z biblioteki, ale czy można się skupić w tym wszechobecnym zgiełku? Pokój socjalny dla pracowników jest ciemny, pozbawiony okien i ponury, a przesiadujące w nim typy z działu mięsnego rzucają jej uwagi równie subtelne jak ich wielkie cielska napakowanych byczków.

A poza tym faceta, który jeździ audi z napędem na cztery koła, z pewnością stać na obiad w dobrej restauracji. A ona odłoży kilka zaskórniaków na koniec miesiąca, który zapowiada się ciężko.

Jak każdy koniec miesiąca.

Jérôme znalazł zastępczynię. Dziewczyna nie ma zbyt wielkiego doświadczenia, ale kto by się tym przejmował. On chce tylko zobaczyć morze, wpatrywać się w odległy horyzont, próbując zapomnieć o bagnie, w którym pogrąży się od trzech miesięcy.

Młoda kobieta powinna zjawić się wieczorem, pozwolił jej zająć swoje mieszkanie na czas pobytu. Dziś będą musieli przenocować tu razem, bo wyjeżdża dopiero jutro. Ojciec dzwonił przed chwilą, by podać mu dokładną godzinę, o której po niego przyjedzie. Ojciec, który też pragnie odetchnąć morskim powietrzem.

Ale z innego powodu. Dla niego to raczej westchnienie ulgi.

Ponad dwie godziny konsultacji. Uczepił się perspektywy tej podróży, by znaleźć w sobie siłę, żeby wyprostować plecy i trzymać głowę wysoko. Lekarz

powinien sobie radzić. Lekarz się nie cofa, nie poddaje. Lekarz jest niczym filar, na którym opierają się słabi pacjenci. Powinien być twardy jak skała.

*Patrzcie tylko, jaki niezniszczalny filar!*

Kilka miesięcy temu wysadzony w powietrze, starty na proch, filar ten nikogo już nie podtrzymuje. Słucha, przepisuje leki, bada, zszywa, ale nikogo już nie wspiera. Udaje mu się wytrzymać bez antydepresantów, chociaż tyle. Ale jest alkohol.

Chłopczyk czeka na wyjście z niecierpliwością. To Tati przyszła go dziś odebrać, ale już niedługo mamusia będzie miała wakacje. Będzie przy nim co wieczór i każdego ranka. A nawet w każde popołudnie! U Tati dostaje lepsze jedzenie, ale i tak wolałby, żeby była tu mama.

Nie lubi przedszkola. Uczy się co prawda ładnych piosenek, ale za dużo tam hałasu, za dużo popychających się dzieci, które mu dokuczają, za dużo do zrobienia, zobaczenia, usłyszenia.

Mama obiecała, że kiedy będzie miała wakacje, nie będzie musiał codziennie chodzić do przedszkola, bo chce się nim nacieszyć. Nieważne, co powie przedszkolanka.

Jego mamusia nie jest taka sama jak inne mamy. Przede wszystkim jest najładniejsza. A także najmłodsza. Czasami wygląda jak starsza siostra, która przyszła po braciszka do przedszkola. A do tego nie przejmuje się, co inni sobie myślą.

Niekiedy też mówi brzydkie słowa. A kiedy zdarza mu się powtórzyć je w przedszkolu, zostaje ukarany. Dobrze być dorosłym – nikt na ciebie nie krzyczy, kiedy mówisz brzydkie słowa.

Ale czasem, wieczorem, jego mama płacze, gdy na stole rozłożone są papiery, a ona stuka palcem w kalkulator.

Jemu naprawdę wcale nie przeszkadza, że codziennie je makaron. Lubi

makaron. Choć to prawda, że z mięsem jest trochę smaczniejszy. Smaczniejszy niż z masłem. Zaletą Tati jest to, że ma wystarczająco dużo pieniędzy, by kupować dobre rzeczy do jedzenia...

Trzynasta.

Przerwa.

Korci ją, by odnaleźć alejkę P i mężczyznę, który wydaje się miły. Bez żadnych podtekstów. Przecież on mógłby być jej ojcem! Ale warto się od czasu do czasu rozluźnić i oderwać od problemów. I prawdę mówiąc, nie pogardziłaby prawdziwym obiadem.

Samochód czeka na parkingu, dając znak światłami, kiedy dziewczyna pojawia się w alejce. Mężczyzna uśmiecha się życzliwie, gdy Julie siada na miejscu pasażera. Skórzane obicia, mahoniowa deska rozdzielcza, idealnie czyste dywaniki. Ani okruszka.

*Jak on to robi?*

Prawdziwa przepaść dzieli ten luksusowy samochód od jej wiekowego, rozlatującego się renault 5, które grozi rozpadem za każdym razem, gdy przekręca się kluczyk. Z przerdzewiałą karoserią i powycieranymi fotelami. Choć to prawda, że nie jest przesadną maniaczką sprzątnięcia, zwłaszcza gdy chodzi o samochód, którego funkcja w jej oczach ogranicza się do przewiezienia kogoś z punktu A do punktu B. Dopóki jeździ, spełnia swoje zadanie. Julie nie śmie sobie nawet wyobrazić, co by się stało, gdyby się zepsuł. Potrzebuje go, by pracować, a więc by żyć. Wiszący nad nią miecz Damoklesa ma postać paska rozrządu, który należało wymienić dwadzieścia tysięcy kilometrów temu. Mechanik wytłumaczył jej, że jeśli pasek się zerwie, zniszczy silnik. Julie odpowiedziała, że jeśli go wymieni, nie będzie miała pieniędzy na czynsz. Na co mechanik stwierdził trzeźwo, że jeśli zniszczy silnik, nie będzie miała czym dostać się do pracy, zostanie więc zwolniona i nie będzie miała pieniędzy na

czynsz.

Mechanik nie udziela kredytów, więc Julie modli się, żeby pasek rozrządu się nie zerwał.

Nie zna restauracji, którą proponuje jej Paul. W ogóle mało ich zna. Ta znajduje się kilka minut stąd.

– Bardzo się cieszę, że pani przyszła – mówi mężczyzna po prostu.

– Proszę niczego ode mnie nie oczekiwać, ostrzegam pana! – odpowiada Julie ostrym tonem.

– Tylko pani szczeka czy także gryzie?

– Nie szczekam, wyjaśniam.

– Czego mógłbym od pani oczekiwać poza cynkiem o promocjach w supermarkecie?

– Względów, już do tego przywykłam.

– Ależ skąd, nie o to mi chodzi!

– A to coś nowego!

– Wszyscy faceci to świnię?

– Na to wygląda.

– Wywiera pani na mnie niespodziewaną presję, zaczynam czuć się nieswojo.

– Dlaczego?

– Ponieważ teraz muszę udowodnić, że nie jestem świnią.

– To takie trudne dla mężczyzny?

– Nie... chociaż, tak... nie wiem. Zobaczymy.

Na chwilę zapada absolutna cisza...

– Proponuję po prostu, żebyśmy coś zjedli – odpowiada po chwili Paul. – Porozmawiali o wszystkim i o niczym, o pani, jeśli pani zechce, o mnie, jeśli to panią interesuje, bez przymusu czy podtekstów.

- Pasuje mi to – stwierdza dziewczyna.
- Ale przede wszystkim zapraszam, by zjadła pani coś więcej niż jabłko!
- Przyzwyczaiałam się już do tego, że po południu jem tylko jabłko.
- Przyzwyczajenie nie zastąpi zrównoważonej diety.
- Robię, co mogę.
- Dziś może pani wybrać pełne menu, pod warunkiem że w drodze powrotnej nie zwróci pani wszystkiego na moją deskę rozdzielczą.
- Postaram się – odpowiada Julie, uśmiechając się w końcu.

Restauracja jest elegancka. Julie czuje się dosyć niezręcznie w swoich postrzępionych dżinsach, wyciągniętym, spranym podkoszulku i starych trampkach.

- Jest pan pewny, że mnie tu wpuszczą?
- A czemu nie?
- Nie pasuję do wystroju.
- Przecież nikt nie chce pani powiesić na ścianie.
- Nie jestem zbyt elegancka, będę się rzucać w oczy, prawda?
- Oczywiście, ale kogo to obchodzi! Karta kredytowa uprawnia do braku elegancji i rzucania się w oczy. To nawet całkiem przyjemne.
- Ale ja nie mam karty kredytowej.
- Cóż... Jak by to pani wyjaśnić, Julie... Jeśli rzuci mi pani wielkie koło ratunkowe, będzie mi łatwiej udowodnić, że nie jestem chamem. Prawdziwy gentleman zwykle zaprasza kobietę do restauracji. No chyba że trafi na zapięklą feministkę, która myli galanterię z grubiaństwem.
- Myślę, że feministki mają karty kredytowe...
- Ale gumę do żucia trzeba będzie jednak wyrzucić, bo to rzeczywiście w złym stylu.

Julie odrywa kawałek papierowej chusteczki, by zapakować w nią dowód

przestępstwa, po czym odkłada zawiniątko do popielniczki. Kelner przynosi kartę dań. Julie przegląda ją przez kilka minut, po czym gwałtownie zamyka.

– Jakiś kłopot? Nie znalazła pani nic dla siebie?

– Tu jest dla mnie za drogo... – odpowiada dziewczyna ze ściśniętym gardłem.

– Jest pani feministką?

– Nie, dlaczego?

– Więc nie zamierzała pani płacić?

– Przy każdym kęsie będę się czuła tak, jakbym przeżuwała banknot o wartości pięciu euro.

– Więc proszę nie patrzeć na ceny!

– Nie potrafię, to silniejsze ode mnie! Już dawno weszło mi w nałóg, że sprawdzam każdą cenę. Nie ma sensu z tym walczyć, kolumna po prawej i tak przyciągnie mój wzrok...

– W takim razie to ja przeczytam pani menu.

– Ludzie pomyślą, że nie umiem czytać.

– No to będę szeptał...

– Ludzie pomyślą, że mnie pan uwodzi, chociaż mógłby pan być moim ojcem.

– Julie, niech ludzie sobie myślą, co chcą – wzdycha z rozbawieniem.

Paul zaczyna więc czytać kartę. Julie wciąż musi mu przerywać, ponieważ zupełnie nie zna proponowanych dań. Kelner z rogu sali dyskretnie obserwuje szepty przy stoliku numer dziewięć. Kiedy widzi, że mężczyzna z uśmiechem odkłada kartę na bok, podchodzi do nich.

– Czy już państwo wybrali?

– Tak. Dla pani wędzony łosoś na przystawkę, następnie polędwica z kurkami, a na deser krem malinowy. Dla mnie to samo. I proszę nam wybrać

jakieś dobre wino, młody człowieku, zdaję się na pana.

– Jakie dodatki?

– Frytki zamiast ziemniaków.

– Słucham? – pyta kelner.

– Nic, nic – odpowiada Paul, puszczając do Julie oko.

Chłopak zabiera karty i szybko się oddala. Julie sączy lemoniadę z sokiem z granatów, rozglądając się dookoła z zaciekawieniem.

– Jest tu pani pierwszy raz?

– Oczywiście. Nie stać mnie na jedzenie w restauracjach.

– Nigdy, nawet od czasu do czasu?

– Nie.

– Trochę panią omija.

– Gdyby pan tylko wiedział ile!

– To znaczy?

– Wszystko. Życie mnie omija. Dlaczego zaprosił mnie pan do restauracji?

– Zasmuciła mnie pani.

– Ja!? – wykrzykuje Julie.

– Tak, pani. Wiem doskonale, że nic nie wpadło pani do oka, wtedy, gdy pierwszy raz podszedłem do pani kasy. Wzruszyło mnie to.

– Niepotrzebnie. Już mi przeszło.

– Co się wtedy stało?

– Dlaczego chce pan wiedzieć?

– Bo może miałbym ochotę rozwalić gębę temu typowi, który sprawił pani przykrość. Nie znoszę facetów, którzy krzywdzą kobiety.

– Z czego pan wnioskuje, że to mężczyzna?

– Z wielkiego szacunku, jakim nas pani darzy.

– Naprawdę pan chce, żebym opowiedziała, co się wtedy wydarzyło?

– Nie, zupełnie mnie to nie obchodzi. Chciałem tylko uciąć sobie pogawędkę w oczekiwaniu na przystawkę.

– ...

– Oczywiście, że tak!

– On mnie dręczy, szykanuje i grozi mi od miesięcy, gdy tylko znajduje pretekst. Tamtego dnia obiecał, że następnym razem się po mnie przejedzie!

– Słucham? – mówi Paul, o mało nie krztusząc się piwem.

– Nie mam wyboru...

– Pani żartuje?

– Nie, a on wie, że może mnie przyprzeć do muru, bo nie mam wyboru.

– O co tu chodzi? – pyta Paul ze złością.

– Tamtego dnia jedna z koleżanek wzięła pięćdziesiąt euro z mojej kasy, kiedy byłam w toalecie. Widziałam, jak ją zamykała. Zostałam wezwana do kierownika. Powiedział, że mógłby mnie od razu zwolnić i że następnym razem będę musiała być dla niego miła.

– Nie powiedziała pani, która koleżanka ukradła pieniądze?

– Tak się nie robi. Nie wolno donosić.

– A molestować wolno? – pyta Paul. – Nie zaproponował, żeby pokryła pani stratę i po sprawie?

– Żartuje pan!? Miałby zmarnować taką okazję? Zwalniał kasjerki za to, że wzięły sobie kupon rabatowy, wie pan, ten, który jest drukowany razem z paragonem. Jeśli klient go nie chce, musimy go zniszczyć. A jeżeli któraś z nas zostanie przyłapana na tym, że sobie taki kupon przywłaszczyła, może oddać 1,80 euro, ale ten łajdak może ją także zwolnić. No to wyobraża pan sobie, pięćdziesiąt euro...

– Dlaczego więc, znając ryzyko, nie podłożyła pani drugiego banknotu, zanim ktokolwiek zauważył?



- Bo go nie miałam.
- W supermarkecie jest bankomat.
- Mówię panu, że nie miałam!
- Ale każdy ma co najmniej pięćdziesiąt euro na koncie.
- Wcale nie. To było tuż przed wypłatą.

Paul wyciąga portfel z kieszeni, wyjmując z niego banknot o wartości pięćdziesięciu euro i podaje go Julie. Dziewczyna patrzy na niego ponuro.

– Proszę to wziąć! – mówi Paul po kilku sekundach, potrząsając nerwowo banknotem.

– Nie ma mowy.

– Proszę to wziąć! Nie pozwolę, by ta sytuacja się powtórzyła. Schowa go sobie pani w portmonetce i będzie trzymać na wszelki wypadek.

– Nie ma pan żadnego powodu, by to robić!

– Ależ owszem, mam!... Zamierzałem pani udowodnić, że nie jestem męską świnią. Proszę bardzo, dowód numer jeden.

– Pięknie. Po tym jak ludzie pomyśleli, że jestem analfabatką i pańską kochanką, teraz będą sobie wyobrażać, że mi pan za to płaci!

– Ludzie pomyślą, że jest pani moją córką, której daję kieszonkowe.

– Naprawdę chce pan odgrywać mojego ojca?

– Ma pani jakieś dowody na to, co się stało? To ważne dla inspekcji pracy.

– Dla kogo?

– Instytucji, która broni praw pracowniczych. Chyba tak pani tego nie zostawi?

– Potrzebuję tej roboty. Nie mogę sobie pozwolić, by ją stracić.

– To jakieś szaleństwo...

– Takie jest życie. Mieszka pan na jakiejś innej planecie czy co?

– Nie, ale nie mogę uwierzyć, że takie praktyki są możliwe.

- A gdzie pan pracuje w tej swojej krainie szczęśliwości?
- Jestem inżynierem aeronautyki w fabryce Bugatti.
- To ciekawa praca?
- Pasjonująca.
- Dobrze płatna?
- Nie mam problemu z pieniędzmi, ale jestem już u schyłku kariery i pomału szykuję się do emerytury. Mogę żyć ze swoich prywatnych środków.
- Spadek?
- Nie, patent złożony na początku działalności, dobry pomysł we właściwym momencie, dzięki czemu mam w życiu wszystko, czego potrzebuję.
- Poza kobietą.
- Nie potrzebuję kobiety.
- Nie porzuciła pana żona?
- Tak! I najwyższy czas! Nie mogłem jej dłużej znieść. Była całkiem użyteczna, ale cóż...
- Zdaje pan sobie sprawę, że mówiąc o kobiecie jak o praktycznym przedmiocie, wychodzi pan na męską świnię? Całe szczęście, że nie mam karty kredytowej, w przeciwnym razie mogłabym sobie pozwolić na bycie feministką i zaleźć panu za skórę.
- To ona uznała za wygodne wyjść za obrzydliwie bogatego faceta.
- Ma pan dzieci?
- Syna, z pierwszego małżeństwa.
- No, na nudę w życiu małżeńskim nie może pan narzekać. Pierwsza żona też pana rzuciła?
- W pewnym sensie... – odpowiada Paul, a jego wzrok przez chwilę gdzieś umyka, po czym ciągnie: – Smaczna ta pani polędwica?
- Wyborna! Nie jadłam tak dobrze od czasu pierwszej komunii.

- Ma pani chłopaka?
- Dlaczego pan pyta?
- Tak po prostu.
- Nie mam chłopaka. W moim życiu jest tylko Ludovic.
- Kim jest Ludovic?
- To mój synek.
- Ma pani dziecko? – dziwi się Paul.
- Tak, niedługo skończy trzy lata.
- A pani ile ma lat? – pyta oszołomiony.
- Dwadzieścia.
- Wpadka?
- Proszę nigdy więcej tak nie mówić o Ludovicu. To najpiękniejsze, co mi się w życiu przydarzyło.
- A jego ojciec?
- Nie ma ojca.
- Klonowanie, dzieworództwo czy cud biblijny? – pyta rozbawiony.
- Zakrapiana impreza...
- To dlatego tak bardzo potrzebuje pani pracy i godzi się na mobbing ze strony kierownika?
- Tak, to dla synka.
- A rodzice pani nie pomagają?
- Ojciec wyrzucił mnie z domu, kiedy się dowiedział, że jestem w ciąży.
- A matka?
- Od tamtej pory topi smutki w alkoholu. Spotykam się z nią po kryjomu. Ale rzadko...
- Co za obraz!
- Tak, Picasso. Życie rozbite na kawałki, niepodobne do niczego.

– Dlaczego wyrzucił panią z domu?

– Bo jest katolickim integrystą.

– Integrystą?

– Tak sędzę, w przeciwnym razie miałyby dla mnie choć trochę miłosierdzia. Tak czy inaczej, nie mogłam już tego znieść. W domu było piekło. Nigdy nie pasowałam do formy, w którą chciał mnie wtłoczyć. Kraciasta spódniczka jest dobra, gdy ma się kilka lat, ale później człowiek dojrzewa i zaczyna się zastanawiać. I buntować.

Julie i Paul kontynuują rozmowę przy deserze. Dziewczyna opowiada o domu samotnej matki, w którym mieszkała z dzieckiem przez rok, aż do uzyskania pełnoletności, o tym, jak po maturze musiała rzucić naukę, i koszmarze, jakim jest radzenie sobie w pojedynkę, o pracy kasjerki, słabo płatnej, w najdziwaczniejszych godzinach, ale pozwalającej zdobyć pieniądze na przeżycie. O smutnej, monotonnej codzienności i radości z urlopu, choćby dlatego, że nie będzie musiała oglądać tego łajdaka Chassona. Ale przede wszystkim wreszcie nacieszy się synkiem, którego widzi za mało: co drugi dzień kończy pracę późnym wieczorem.

– Zapewne nigdzie pani nie wyjeżdża na ten urlop? Synek chodzi do przedszkola?

– Kiedy zostanę w domu, pójdzie do przedszkola tylko wtedy, gdy będzie miał na to ochotę. Jeszcze się do niego w swoim życiu nachodzi. Ale oczywiście nigdzie nie wyjedziemy...

– Przedszkole nie jest obowiązkowe?

– Nie. Obowiązkowa jest edukacja. Ale on ma dopiero trzy lata, więc... Nie ślęczy tam nad całkami albo energią kinetyczną.

– Zna się pani na tym? – dziwi się Paul.

– Tak, dlaczego...? Jestem kasjerką, ale nie idiotką. Zdawałam maturę z przedmiotów ścisłych.

– Czemu nie poszła pani na studia?

– Za co?

– Hmm... – odpowiada Paul, uśmiechając się z zakłopotaniem. – Lubi pani Bretanię?

– Nigdy tam nie byłam. W dzieciństwie w każde wakacje jeździliśmy do Lourdes. Ale pewnie to urocze miejsce.

– Zabiorę tam panią.

– Słucham?

– Jutro rano wyjeżdżam do Bretanii odpocząć przez kilka dni. Pani ma wakacje, więc panią tam zabiorę.

– A mój syn?

– Jego oczywiście też zabierzemy! Nauczymy go prawa Archimedesesa i obliczania energii kinetycznej fali. Będzie do przodu z programem i zrobi wrażenie na przedszkolance.

– Naprawdę zacznę myśleć, że oczekuje pan ode mnie jakichś niemoralnych rzeczy.

– Będzie tam też mój syn. Potrzebuje trochę odetchnąć.

– Wie o tym? Zgadza się?

– Nie, jeśli chodzi o pierwsze pytanie. Nie wiem, jeśli chodzi o drugie. Nie pytam go o zgodę. To mój dom, mój samochód, mój czas, który poświęcam, by go tam zawieźć. Jeszcze tego brakuje, by narzekał. A poza tym dzięki pani trochę się rozerwie.

– On też szuka świeżego mięsa?

– Nie, bo tak samo jak ja nie jest męską świnią. Niech pani przestanie sądzić, że tylko z takiego powodu można się panią zainteresować.

– W takim razie dlaczego się pan mną interesuje?

– Jest pani wzruszająca.

– Wzbudzam w panu litość?

– Ani trochę. Ale przez godzinę rozmawiałem z panią więcej niż przez ostatnie sześć miesięcy ze swoją żoną. I dobrze mi to zrobiło. A poza tym zawsze marzyłem, żeby mieć córkę.

– Rany, pan naprawdę chce udawać mojego ojca...

– A więc zgadza się pani?

– Żeby pan był moim ojcem?

– Nie! Pojechać do Bretanii.

– Nie wiem, muszę się zastanowić...

– Proszę zadzwonić do mnie wieczorem, jak już się pani zdecyduje – proponuje Paul, podając jej wizytówkę.

– Nie mam telefonu.

– Naprawdę?

– Odcięli mi go trzy miesiące temu.

– A więc przyjadę po panią i wtedy zobaczymy. Jutro o siódmej rano. Gdzie pani mieszka?

Julie podaje adres, wyjaśniając, że łatwo tam trafić, gdyż są to mieszkania socjalne znajdujące się tuż przy kościele, w budynku dawnej plebanii.

– To zabawne. Została pani wyrzucona z domu przez nazbyt pobożnego ojca, by zamieszkać w dawnej plebanii...

– I codziennie rano i wieczorem słyszę bicie dzwonów! Jak dawniej. Ale to nie są te same dzwony.

Jérôme obserwuje młodą kobietę, która podjeżdża na zwirowany dziedziniec domu. Parkuje, wkłada kilka rzeczy do torebki, zerka w lusterko wsteczne i odruchowo poprawia kosmyk włosów. Następnie bierze głęboki wdech, zamykając oczy, i wzdycha ciężko, po czym wychodzi z samochodu. Jérôme odsuwa się od okna, by nie pomyślała, że ją szpieguje, i schodzi po schodach do

drzwi wejściowych. Słysząc już dzwonek.

Kiedy otwiera drzwi, widzi w nich zdenerwowaną, spiętą młodą kobietę.

– Dzień dobry! – mówi, podając mu rękę miękką i wilgotną jak śnięta ryba i nie patrząc mu w oczy. – Caroline Lagarde, przyjechałam na zastępstwo.

– Dzień dobry, Caroline – odpowiada Jérôme, uśmiechając się, na ile potrafi.

Efekt tych wysiłków nie zwała z nóg. Jego uśmiechy wyglądają raczej na grymas bólu. Od kilku miesięcy wszystko w nim brzmi fałszywie.

– Trafiła pani bez problemu?

– Z GPS-em można znaleźć nawet najbardziej zapadłą dziurę.

– Uważa pani, że jesteśmy w zapadłej dziurze?

– Nie, ale skąd, nie to chciałam powiedzieć – odpowiada kobieta, spuszcżając wzrok, wyraźnie zmieszana.

– Tylko się z panią droczę. Trzeba wyjąć jakiś bagaż z samochodu?

– Tak, zaraz po niego pójde.

– Pomogę pani.

Kobieta na swoich cienkich obcasach idzie po żwirze jak po lodzie. Uśmiecha się z zakłopotaniem do gospodarza.

– Zdaje się, że aby tu pracować, będę musiała przekonać się do tenisówek.

– Tylko jeśli będzie pani chciała gdzieś wyjść. Mieszkanie jest na piętrze, a gabinet na parterze, po drodze ani jednego małego kamyczka. Ale jeśli chodzi o wizyty domowe...

– Tak czy inaczej, będę musiała się przystosować. To moje pierwsze zastępstwo. Nie boi się pan?

– Kiedy zadaje pani takie pytanie, to rzeczywiście zaczynam się bać. Wszyscy przez to przechodziliśmy. Kiedyś trzeba zacząć.

– To bardzo miło z pana strony, że mnie pan przyjął.

– Potrzebuję przerwy.

- Tak, to widać.
- Potrafi pani prawić komplementy.
- Bardzo przepraszam, znów nie to chciałam powiedzieć. Chodzi o to... nie wygląda pan na zbyt wypoczętego – mówi kobieta, wpatrując się we własne stopy.
- Niech pani nie przeprasza. Znów się z panią drocę. Próbuję sprawić, by się pani rozluźniła, wydaje się pani strasznie zdenerwowana.
- Bo to moje pierwsze zastępstwo. Boję się, że nie dam rady.
- Proszę nikogo nie zabić, to wszystko, czego od pani wymagam.
- Mam nadzieję, że nie zabiję. Ale w razie czego mogę do pana zadzwonić?
- W razie gdyby pani kogoś zabiła?
- W razie gdybym potrzebowała rady.
- Nie tak wyobrażałem sobie urlop, ale w nagłym przypadku: tak. Zostawiłem też pani telefony lekarzy praktykujących w najbliższym sąsiedztwie. Proszę dzwonić do nich bez wahania, nie gryzą.

Jérôme oprowadza Caroline po domu, pokazuje jej gabinet na parterze i jego wyposażenie, od komputera po przeróżne szafki i gabloty, a następnie mieszkanie na piętrze i pokój gościnny, w którym zamieszka przez te kilka tygodni.

Później szybko wraca do kuchni, by przygotować kolację, podczas gdy ona rozpakowuje walizkę. Po tylu miesiącach samotności nagła obecność kobiety niepokoi go i onieśmiela. Ma dziwne wrażenie, jakby odnajdywał utracone uczucia, pogrzebane gdzieś głęboko emocje, brakujący element, który znów budzi się do życia, wypełnia się. Czym, tego nie wie, ale wypełnia się, rozpraszając bolesną pustkę, która wciąga go niczym czarna dziura.

Bagaż już spakowane, zostaje mu tylko przespać się trochę przed podróżą. Zresztą, może się zdrzemnąć w trakcie jazdy. Jego ojciec jest w stanie prowadzić przez tysiąc kilometrów bez żadnej przerwy. A on nie nadaje się już do niczego. Nawet przygotowanie posiłku zasługującego na tę nazwę przekracza jego



możliwości. Makaron jest za każdym razem rozgotowany, a mięso za suche.

Gdy tak użala się nad swoim miernym talentem kulinarnym, słyszy dobiegający z końca korytarza szloch. Idzie do pokoju gościnnego z kuchenną ścierką przewieszoną przez ramię. Młoda kobieta siedzi na łóżku z twarzą ukrytą w dłoniach, próbując stłumić rozdzierający płacz.

– Co się dzieje? – pyta Jérôme, siadając obok.

– Ja... ja się boję – łka dziewczyna.

– Czego?

– Że nie dam rady.

– Niech się pani nie przejmuje. To tylko przeziębienia, zapalenia uszu i kurczajki. Jeśli zdarzy się jakiś poważniejszy przypadek, to porozmawiamy o nim przez telefon. Niech pani uwierzy w siebie. Skoro doszła pani aż tutaj, to znaczy, że pani potrafi. No chyba że oszukiwała pani na wszystkich egzaminach. Nie ściągała pani?

– Oczywiście, że nie! – oburza się Caroline, prostując się gwałtownie.

– A więc wszystko w porządku.

Podaje jej ścierkę do naczyń, by otarła nią łzy – choć może lepsze byłoby prześcieradło – zauważając przy okazji, że w kuchni tymczasem nic nie jest w porządku i że nie ma już pomysłu, jak uratować rozgotowane spaghetti bolognese z mięsem suchym jak wióry.

Kilka chwil, odrobina masła i sosu pomidorowego wystarcza, by kobieta uratowała kolację. Jest niemal zgorszona faktem, że w lodówce nie ma parmezanu, ale nie pozwala sobie na tego typu szczerłość. Wystarczy, że płakała...

Jedzą, rozmawiając o kilku pacjentach, którzy mogą sprawiać problemy. Nieśmiałe iskierki radości błyszczące w zaczerwienionych oczach pozwalają mieć nadzieję, że ciśnienie spada. Jérôme stwierdza, że dziewczyna ma przynajmniej to szczęście, że potrafi płakać. To przynosi ulgę, czasami. Ale mężczyzna nie płacze. Mężczyzna jest silny i nie pokazuje emocji. Mężczyzna nie traci nad sobą

kontroli. Już jako dziecko słyszał: „Nie płacz, jesteś mężczyzną!”. Przez te ostatnie miesiące nie zapłakał ani razu. A smutek zżera go niczym żarłoczna gąsienica wgrzyzająca się w świeży wiosenny liść. Jérôme mówi sobie, że po gwałtownym wybuchu rozpaczy bolałyby trochę oczy, ale brzemię stałoby się nieco lżejsze.

A tak...

Smutek zamieszkał w nim, nie pytając go o zdanie. Zadomowił się. Na próżno próbuje się rozerwać, nic nie działa, on wciąż tam jest, przyczajony w kącie, gotowy się wydostać na powierzchnię w choćby najmniejszej chwili wytchnienia. Jak dym w płonącym mieszkaniu: otworzysz drzwi, a pochłonie wszystko, wśliźnie się w każdą szczelinę, zacznie szczypać w oczy i nie da ci oddychać. Do jakich służb dzwonić, by ugasiły taki pożar?

Caroline udaje się wymóc na nim obietnicę, że będzie odbierał jej telefony, warunek konieczny, by w ogóle mogła zasnąć dziś w nocy. Następnie udają się do swoich pokoi, obdarzając się nawzajem uspokajającym uśmiechem.

Zabawne spotkanie. Sprowadził ją tu, by mu pomogła, a tymczasem to on ją pociesza.

*Mam już dość tej swojej nieprzystępności. Nieufności wobec każdego napotkanego człowieka i całego świata. Jutro rano facet, którego nie znam, przyjedzie po mnie, żeby mnie zabrać na wakacje do Bretanii, z moim i jego synem. Jego syn jest starszy ode mnie i w życiu go nie widziałam.*

*Mama powiedziałaaby, że jestem kompletnie stuknięta, jeśli się na to zgodzę. Mama, która nigdy nie podjęła najmniejszego ryzyka, zwłaszcza tego, by sprzeciwić się swemu mężowi. Nawet wtedy, gdy chodziło o wyrzucenie mnie z domu.*

*Czym ryzykuję?...*

*Że należy do siatki handlarzy żywym towarem i sprzeda mnie z dzieckiem do Azji? Tak, jasne! Istnieje taka możliwość. Ale poddając się takim lękom, niczego by się w życiu nie zrobiło. Zostaje tylko zamknąć się w mieszkaniu i czekać na śmierć. Jak mama.*

*A jeśli ten facet był szczery? Jeśli naprawdę go wzruszyłam, jak twierdzi? Jeśli jest moją Gwiazdą Betlejemską, która poprowadzi mnie tam, gdzie odnajdę cud życia? Ale nie taki, o jakim mówi Biblia, w której dziewice rodzą dzieci i nikt nie uznaje tego za podejrzanego. Nie, prawdziwy cud. Zwykłego, prawdziwego życia. Takiego, w którym chce ci się wstawać rano, a wieczorem kładziesz się do łóżka, mówiąc: „Jaki to był piękny dzień”. Takiego, które pozwala ci wychowywać dziecko bez wstydu, że nie możesz mu kupić mięsa na obiad i pięknej zabawki pod choinkę.*

*Z drugiej strony, czego ja od niego oczekuję? Że będzie mi dawał pieniądze? Jak jakiejś utrzymance? Że odegra mi tu scenę z Pretty Woman? Nawet jeśli on odrobinę przypomina Richarda Gere'a, ja nie mam w sobie nic z Julii Roberts. A poza tym mam swoją dumę. Z trudem przełknęłam te pięćdziesiąt euro. Ale schowałam banknot głęboko w portfelu i jeśli ochroni mnie on przed koniecznością stawienia się w biurze tego łajdaka Chassona,*

*to przyznaję, że będę na niego chuchać i dmuchać, i regularnie sprawdzać, czy jest na swoim miejscu.*

*Zadzwoiłam do Manon, mojej najlepszej przyjaciółki, z kabiny telefonicznej w galerii handlowej. Potrzebowałam jej rady, w końcu jest moją najlepszą przyjaciółką.*

*– Korzystaj!*

*Odpowiedziała bez cienia wahania. Manon jest naprawdę moją najwierniejszą przyjaciółką.*

*Jeśli pojedę, to po to, by zobaczyć szczęście w oczach Lulu.*

*Budować prawdziwe zamki z piasku, a nie te, które stawiałam na lodzie, kiedy miałam dziesięć lat i wciąż jeszcze wierzyłam w księcia z bajki, który przyjedzie na białym koniu po swą księżniczkę i zabierze ją daleko stąd.*

*No i zobaczyć morze.*

## SŁOIK DŻEMU

– Korzystaj!

Tak powiedziała Manon, bo taka już jest. To jej filozofia życiowa. Sama ją stosuje i innych też zachęca.

Manon to przyjaciółka Julie z dzieciństwa, która nigdy jej nie opuściła. Była przy niej, kiedy Julie robiła test ciążowy, była na badaniach USG i dawała sobie miazdzyć rękę w trakcie porodu. A potem ocierała łzy w czasie depresji poporodowej i depresji w ogóle, bo Julie zapadała na nią kilkakrotnie.

Jest przy niej zawsze, gdy Julie chce się wypłakać. Jest też, kiedy chodzi o dobrą zabawę. Jest, cokolwiek by się działo.

Manon jest śliczną dziewczyną. Smukła, wysoka, falujące brązowe włosy opadają na ciemne orzechowe oczy. Drobną, obsypaną piegami twarz. Zachowanie pełne prostoty, a jednocześnie bardzo kobiece. Naturalne piękno, które jeśli chodzi o chłopców, wywołuje taki sam efekt jak otwarty słoik słodkiego dżemu zostawiony latem na stole w ogrodzie: błyskawicznie tworzy się wokół niego brzęczący rój. Manon zawsze śmiała się, że to niezwykle szczęście mieć taki wielki wybór... Nawet jeśli ilość nie zawsze znaczy jakość.

Po szkole średniej Manon wybrała studia artystyczne. Rysuje, odkąd nauczyła się trzymać w dłoni ołówek. Jej talentowi dorównać może tylko pasja, którą rodzina, zbyt dumna, by zaakceptować córkę „artystkę”, próbowała zdusić w zarodku. Wszystkie podstępne próby skończyły się totalnym fiaskiem. Im bardziej próbowali ją zniechęcić do tego zawodu bez przyszłości, z tym większą

zaciekłością Manon walczyła o swoje marzenia. W końcu dostała się do najbliższej Akademii Sztuk Pięknych i rozkwitła w tym środowisku niczym kwiat w promieniach wiosennego słońca.

Manon jest szczerą i bezpośrednią, ale zwykle ma rację. Julie wierzy jej ślepo i bezgranicznie. To do niej dzwoni, kiedy potrzebuje rady, kiedy traci głowę, kiedy nic się nie udaje lub wręcz przeciwnie: kiedy udaje się wszystko. Zwierzyć się takiej przyjaciółce to smutek podzielić na pół, a radość pomnożyć.

## PISKLETA W PODRÓŻY

Dopiero około dwudziestej trzeciej, dzień przed wyjazdem, poczuła, że ucisk w brzuchu po obfitym obiedzie zaczyna słabnąć. Jej żołądek nie jest do tego przyzwyczajony. Ale jakie to było smaczne! Cały wieczór Julie pakowała rzeczy przed podróżą. Znalazła mocną plastikową siatkę, do której wrzuciła kilka zabawek i książeczek z bajkami dla dzieci. Po przebudzeniu już dwa razy sprawdzała bagaże, by się upewnić, że o niczym nie zapomniała. Jakoś nie może sobie wyobrazić, że za niecałą godzinę obcy mężczyzna przyjedzie, by zabrać ją na drugi koniec Francji. Tak bardzo pragnie zobaczyć morze. I pokazać je Lulu.

Tej nocy nie spała zbyt wiele. Julie, jak to ma w zwyczaju, daje się ponieść emocjom, ekscytuje się, mimo że może się mocno rozczarować, jak zawsze, gdy facet składa jej piękne obietnice. Ostatecznie, kto powiedział, że on w ogóle przyjedzie, że to nie było tylko puste gadanie, słowa rzucone na wiatr, by ją zainteresować albo pozyskać jej względy? Prawda, ale jeśli chodzi o względy, niczego mu nie dała, a wydawało się, że facet mówi poważnie. Pozostaje jeszcze opcja „handel żywym towarem”, którą dziewczyna odrzuca bez wahania, nie godząc się na przeciętność życia odartego z marzeń.

Mały jeszcze śpi. Obudzi go w ostatniej chwili. Przy odrobinie szczęścia powinien znów od razu zasnąć w samochodzie. Przygotowała fotelik, butelkę z pićm i ciasteczka. Wszystko czeka w przedpokoju. Teraz kręci się w kółko w swojej małej kawalerce. Zostało czterdzieści pięć minut do rozstrzygającej godziny, w której kolejny raz przekona się, że wszyscy faceci to świnię.

Albo nie.

„Albo nie”, „albo nie”, powtarza w kółko w myślach, by przekonać samą siebie.

Jérôme nie mógł w nocy spać. Zastanawiał się. Czy dobrze robi, zostawiając gabinet i pacjentów w rękach początkującej lekarki? Jak to załatwić inaczej? A może z nim są o wiele mniej bezpieczni niż z młodą kobietą o nadpobudliwych neuronach, przejmującą się najdrobniejszym symptomem z lęku, że coś przegapi? Nie to co jego własne neurony, apatyczne, spowolnione przez alkohol i zmęczenie. A zwłaszcza przez smutek.

Czyli dokonał właściwego wyboru.

Komplet równo ustawionych markowych walizek czeka w holu. Dołączył do nich także skórzany lekarski kuferek. Nigdzie się bez niego nie rusza. Nagły wypadek, który zdarzył się, gdy akurat nie miał go przy sobie, przekonał go ostatecznie, by nigdy się z nim nie rozstawać. Ojciec powinien być za chwilę. Zwykle jest punktualny. Zapowiedział się na szóstą trzydzieści.

Jest kwadrans po szóstej, kiedy Caroline wychodzi ze swej sypialni, rozczochrana, z zapuchniętymi oczami. Pewnie przez większą część nocy płakała w poduszkę, ostatnie opary paniki przed krokiem w nieznaną. Uśmiecha się do niego niepewnie i znika w łazience. Jérôme przygotowuje jej obfite śniadanie, z dużą porcją nutelli. Nic lepiej nie poprawia kobiecie humoru. To działa nawet na niego, więc... A dziewczyna nie jest na tyle okrągła, by wymówić się dietą.

Caroline pojawia się dziesięć minut później, ubrana, z mokrymi włosami opadającymi na ramiona. Starła się ukryć ślady ciężkiej nocy pod makijażem, ale nadal są widoczne. Zaczyna pracę za dwie godziny. Nie ma szans, by do tego czasu zniknęły. Trudno. Coś wymyśli. Najbardziej wścibskich spacyfikuje zapaleniem spojówek.

Kilka minut później przed dom zajezdza szara terenówka. Trudno nie



usłyszeć głośnego chrzęstu żwiru pod szerokimi oponami. Paul dzwoni, po czym nie czekając, aż ktoś otworzy mu drzwi, wchodzi do gabinetu. Woła syna z dołu schodów. Jérôme prosi, by wszedł na górę. Kiedy Paul wchodzi do kuchni, zaskakuje go obecność młodej kobiety.

– Caroline zastąpi mnie w gabinecie – wyjaśnia syn. – Mówiłem ci, że użyczam jej na ten czas mieszkania?

– Ach tak, rzeczywiście. Dzień dobry, Caroline. Chyba nie jest pani dzisiaj w najlepszej formie?

– Dzień dobry. Potrafi pan prawić komplementy – mówi kobieta, uśmiechając się porozumiewawczo do Jérôme'a. – Mam zapalenie spojówek.

– Zapalenie spojówek? A ja jestem Fred Astaire – odpowiada Paul z uśmiechem.

– Jest trochę zdenerwowana, to jej pierwsze zastępstwo – tłumaczy Jérôme. – Czy tam jest zasięg, żeby rozmawiać przez komórkę?

– To koniec świata, ale mają tam sieć. W razie czego jest też telefon stacjonarny. A nie zamierzałeś przypadkiem odciąć się całkowicie?

– Kiedy jest się lekarzem, nigdy nie można się odciąć całkowicie...

– Rozumiem. Jesteś gotowy?

– Tak. Napijesz się kawy?

– Nie, musimy jechać.

Jérôme rzuca kilka ostatnich wskazówek swojej zastępczyni, która natychmiast zaczyna wykazywać objawy nawrotu paniki. Dlatego młody lekarz woli nie przedłużać tej chwili. Lepiej szybko zerwać plaster, by nie przeciągać bolesnej operacji w nieskończoność.

Caroline jest niemal przyklejona do okna w kuchni, kiedy dwaj mężczyźni wsiadają do samochodu – jakby błagała ich, by nie odjeżdżali.

Naprawdę ich błaga...

– Coś ty jej zrobił? – pyta Paul, trzaskając drzwiami.  
– Wziąłem ją na zastępstwo.  
– I tyle?  
– To jej pierwszy raz...  
– Ach! Pierwszy raz!!! – powtarza Paul z uśmiechem.  
– Mam nadzieję, że będzie dobrze – martwi się Jérôme.  
– A dlaczego miałoby nie być? Wygrała swój dyplom na kiermaszu dobroczynnym?

– Tato, kiermasz to słowo z innej epoki! Boi się, że nie zauważy czegoś poważnego.

– Młodzi lekarze tuż po studiach mają chyba głowy spuchnięte od nauki, prawda? Grzeszą raczej nadmiarem wiedzy i gorliwości niż ich brakiem. Po powrocie będziesz miał tylko dwanaście wyników scyntygrafii, trzy wyniki rezonansu magnetycznego i pięćdziesiąt trzy analizy krwi do przejrzenia.

– Pewnie tak.

– No, odpręż się, w końcu po to jedziemy do Bretanii.

Paul milczy przez chwilę. Zastanawia się. Powinien powiedzieć synowi, że jadą po Julie i jej dziecko? Należałoby go uprzedzić, ale Paul wie, że Jérôme źle to przyjmie, będzie wściekły, obrażony i będzie mu robił wyrzuty. Jeśli poczeka, aż staną przed domem młodej kobiety, Jérôme jako dobrze wychowany chłopiec przełknie swój gniew, a podróż potrwa wystarczająco długo, by złość mu przeszła.

Wybiera drugą opcję, choć zdaje sobie sprawę, że zbaczając z drogi, by odebrać Julie, wzbudzi ciekawość syna. Nie czeka długo. Ledwie zjeżdżają z autostrady, Jérôme pyta:

– Możesz mi powiedzieć, gdzie jedziemy?

– Na plebanię.

- A po co?
- Szybka spowiedź przed wyjazdem.
- Żartujesz sobie ze mnie? – denerwuje się Jérôme.
- Trochę, ale przede wszystkim staram się odwlec moment, w którym będę ci musiał powiedzieć, że jedziemy po kogoś, kto będzie nam towarzyszył.
- Po kogo!?! – krzyczy Jérôme.
- Uroczą kobietę.
- Nie powiedziałaś mi, że kogoś poznałeś. Mogłeś mnie przynajmniej spytać o zdanie!
- Spotkałem ją niedawno – usprawiedliwia się Paul.
- To znaczy?
- Tydzień temu.
- I po tygodniu znajomości zapraszasz ją, żeby spędziła z nami wakacje na drugim końcu Francji!?! – wybucha Jérôme.
- A czemu nie?
- Nie chcę być piątym kołem u wozu ani pomagać ci w podboju, nie po to tam jadę.
- Nie martw się, nie o to chodzi. Ona mogłaby być moją córką...
- A dlaczego mieszka na plebanii?
- Bo tam są miejskie lokale socjalne.
- Aha, bo to w dodatku dziewczyna z marginesu! Cholera, co też ci przyszło do głowy? To dlatego, że zostawiła cię Marlène? Próbujesz odkupić winy, pomagając biedakom?
- Nie mam żadnych win do odkupienia, a ta dziewczyna po prostu mnie wzruszyła, to wszystko.
- Gdzie ją znalazłeś?

- W supermarkecie.
- No nie, ja chyba śnię...
- Jesteśmy. Zostań w samochodzie, jeśli wolisz, pójdę po nią.

Paul naciska na dzwonek i czeka przez chwilę na ganku. Julie stoi cichutko po drugiej stronie drzwi. Zwleka kilka sekund, by się nie domyślił, że go wyglądała.

Liczy do dziesięciu, po czym w końcu otwiera drzwi.

- Ach, to pan? – mówi, odgrywając zdziwienie.
  - Julie, proszę nie udawać, że jest pani zaskoczona. To zupełnie niewiarygodne. Gotowa?
  - Nie wiem, wciąż się waham.
- Staje na palcach, by spojrzeć nad ramieniem Paula.

Jérôme dyskretnie przygląda się scenie. Zerka na odbicie w przedniej szybie, by nie było widać, że na nich patrzy. To ma być urocza kobieta? Toż to dzieciak o dosyć żalonym wyglądzie, w wytartych džinsach i przyciasnym podkoszulku podkreślającym okrągłe, aroganckie piersi. Nie żeby arogancja dwóch kształtnych piersi była wadą, ale tej dziewczyny nie było w programie wycieczki. Będą z nią same problemy, już on to wie, czuje to.

- Pana syn tam jest? – ciągnie Julie. – Nic nie powiedział?
- Przeżuwa sprawę w samochodzie. Proszę się nie martwić, ma silnie rozwiniętą żuchwę, szybko to przetrawi.
- Nie, nie. Jeśli przeszkadzam, to nie pojedę. Zresztą i tak miałam wątpliwości.
- Dlaczego?
- Bo tak się nie robi! Nie wyjeżdża się z nieznajomym na drugi koniec kraju.
- Okej! Jak pani chce – odpowiada Paul i odwraca się na pięcie.
- Proszę poczekać! – woła Julie dokładnie w tym samym momencie.

– Już?

– Co już?

– Mogła mi pani przynajmniej dać czas, bym ruszył i mógł zobaczyć w lusterku wstecznym, jak biegnie pani za samochodem, wymachując rękami. Ten rozkoszny widok połechtałby moje ego.

– Tak, dobrze, w porządku. Jadę.

– Super!

– Nie jest pan typem człowieka, który mówi „super”. To nie pasuje do pana stylu.

– Jak pani wczorajszy strój do restauracji. Niech się już pani nie próbuje dopasowywać do tego, co wypada lub nie. To śmieszne. Jeśli mam ochotę powiedzieć „super”, to mówię „super”. A pani syn?

– Też potrafi powiedzieć „super”.

– Nie o to pytam. Jest już gotowy?

– Jeszcze śpi. Myślałam, że obudzę go w ostatniej chwili. Przy odrobinie szczęścia jeszcze zaśnie.

– A gdzie wasze bagaże?

– Tutaj – mówi Julie, wskazując róg przedpokoju. – Nie mamy zbyt wiele.

– Rzeczywiście – dziwi się Paul. Nagle zdaje sobie sprawę z ubóstwa, w jakim żyje Julie. – Ten fotelik spełnia jeszcze normy?

– Oczywiście, że nie. Ale foteliki są drogie. W każdym razie mam tylko ten.

– Okej. Ja to wszystko wezmę. A pani może pozamykać okna i pójść po chłopca. Im szybciej ruszymy, tym krócej mój syn będzie przeżuwał.

Paul chwyta dużą plastikową siatkę, kładzie ją w foteliku, podnosi wszystko i kieruje się w stronę auta, dając synowi znak podbródkiem, by mu otworzył tylne drzwi.

– A po co ten fotelik? Ile ona ma lat? – mówi Jérôme.

– To dla jej synka.

– Ach, bo do tego jeszcze jakiś dzieciak będzie nam się plątał pod nogami? Jeśli potrzebowałeś kury, mogłeś ją zabrać bez piskląt...

– Nie potrzebuję kury. Zresztą w całej tej historii to ja jestem kurą, która bierze pod swoje skrzydła kilka delikatnych pisklaków, by im pokazać morze. Jesteś jednym z nich, więc przymknij trochę dzióbek. Wszyscy mamy prawo do odrobiny szczęścia na tej ziemi, a mnie uszczęśliwi, jeśli sprawię trochę radości tej dziewczynie i jej dziecku.

Jérôme wraca na przednie siedzenie i głośno trzaska drzwiami. Nie tak wyobrażał sobie pobyt w Bretanii: z dwudziestoletnią dziewczyną o podejrzanym wyglądzie z jednej strony i jej trzyletnim smarkaczem, który z całą pewnością jest nieznośny i drze się wniebogłosy przez cały dzień, jak te wszystkie nadpobudliwe bachory, które przewijają się seriami przez jego gabinet w czasie epidemii grypy, z drugiej.

Nie ma wątpliwości, że z przerażoną zastępczynią i wyprawą, która nie zapowiada się na spokojną, Jérôme nie będzie w stanie zasnąć bez zwyczajowej butelki whisky przed pójściem do łóżka.

Drzwi z tyłu zostały otwarte. Julie układa w foteliku uwieszonego bezwładnie u jej szyi, na wpół śpiącego Ludovica. Zapina mu pasy, podczas gdy Paul zamyka mieszkanie. Widząc, jak szarpie się z kluczem, Julie podchodzi, by wyjawić mu tajemnicę kapryśnego zamka.

Jérôme, który aż do tej chwili nie raczył się odwrócić, rzuca okiem na chłopca, przyglądającego mu się wzrokiem jednocześnie zaintrygowanym i nieobecny, jakby wciąż był zanurzony we śnie. Wzruszające jest to dziecko w swojej kruchości małego stworzenia, które dopiero co wychynęło z otchłani nocy. Potem przytula mocniej kawałek szmatki, która służy mu za przyjaciela, wkłada kciuk do buzi i odwraca ciężkie powieki w stronę okna.

Paul siada za kierownicą, a Julie z tyłu, obok synka.

– Jérôme, przedstawiam ci Julie. Julie, to mój syn, Jérôme.

– ...

– Dobrze wychowani ludzie w takiej sytuacji zwykle mówią sobie „dzień dobry” – przypomina Paul, bez widocznego efektu.

Powitanie wymienione przez dwie wrogie strony nie daje wielkich nadziei na zgodną podróż. „Dzień dobry” młodej dziewczyny jest niepewne i pełne rezerwy, a młodego lekarza lodowate i nadąsane.

### *Obiecujący początek!*

Ruszyli kilka minut temu, a Julie już się zastanawia, czy dobrze zrobiła, przyjmując zaproszenie. Jeśli atmosfera wciąż będzie tak tragiczna, co jej przyjdzie z takich wakacji? Chwyta się myśli, że pokaże morze synkowi, który nie prosił się o życie na dwudziestu pięciu metrach kwadratowych, z zabawkami podarowanymi przez organizację dobroczynną i matką, która codziennie walczy, by zapewnić mu minimum niezbędne do przetrwania. Więc popełniłaby błąd, gdyby nie skorzystała z okazji.

Tamten w końcu to jakoś przetrawi.

Albo i nie.

Ale to nie jej problem.

Julie nauczyła się nie zajmować cudzymi problemami. Swoich własnych ma aż w nadmiarze. Bierze sweter, zwija go w rulon i wkłada pod głowę, opierając na starym foteliku, w którym jej synek znów spokojnie śpi.

Całymi dniami ogłusza ją hałas supermarketu, a częste bezsenne noce, w czasie których nawiedzają ją wciąż te same lęki, wykańczają ją kompletnie. Julie odpuszcza, pozwala sprawom płynąć własnym rytmem i natychmiast zasypia.

Paul co pewien czas zerka w lusterko. Nagle dociera do niego cała niezręczność sytuacji i zaczyna rozumieć rozterki swojego syna. Jednak czuje, że ta dziewczyna dobrze na niego wpłynie, a być może on na nią też. Ma już dość

zastanawiania się całymi dniami, tygodniami i miesiącami, zanim coś zrobi. Decyzje podjęte pod wpływem chwili mają tę przewagę, że są szczerze i spontaniczne. Kiedy przeprowadzisz kogoś potrzebującego przez ulicę, przez następną godzinę czujesz radość. Paul ma dziwne przekonanie, że z Julie to nie potrwa godzinę, ale do końca życia. Czasem zdarza się takie przeczucie, wrażenie, którego nie da się wyjaśnić. Być może w tej chwili czuje się bardziej wolny i szczęśliwy, że jest wolny. Julie z tego skorzystała, ponieważ spotkali się we właściwej chwili i właściwym miejscu.

Dziewczyna, której życie polega głównie na znajdowaniu się w niewłaściwych miejscach o niewłaściwej porze.

Przecinając Wogezy tunelem Sainte-Marie-aux-Mines, Paul przyłapuje się na przyglądaniu się twarzom Julie i jej dziecka, na których odbijają się migoczące światła neonów. Wyjeżdżając z tunelu, skręca do wielkiego supermarketu w przemysłowej strefie Saint-Dié. Synowi, który pyta, dlaczego już się zatrzymują, wyjaśnia, że nie może patrzeć na trzylatka podróżującego w foteliku, który nie jest bezpieczny. Gdyby coś się stało, czułby się winny.

- Popilnujesz ich czy idziesz rozprostować nogi? – pyta.
- Idę – mówi Jérôme, jakby odpowiedź była oczywista.
- Znajdziesz jakiś wózek? Fotelik będzie ciężki i nieporęczny.
- Tak. Jesteś pewny, że wiesz, co robisz?
- Bo ty jesteś zawsze pewny tego, co robisz w życiu?
- Nie, jasne, że nie, ale przynajmniej jestem ostrożny...
- A czym ryzykuję, kupując fotelik samochodowy matce małego dziecka, która nie ma na to pieniędzy?
- Tym, że zwęszy okazję i oskubie cię, zanim się w ogóle zorientujesz.
- Daj spokój! Mam pieniądze, a ona nie sprawi, że stracę głowę, jeśli to cię martwi. Może co najwyżej pomóc mi oczyścić umysł, ale nie sprawi, że stracę głowę. Jest zbyt mocno osadzona na karku. Nie zakochałem się w tej



dziewczynie, więc nie będę robił głupot.

– W takim razie co do niej czujesz?

– Wzbudza we mnie jakąś czułość i troskę. To miłe uczucia, mógłbyś spróbować, Jérôme.

– Od kiedy jesteś taki wrażliwy?

– Odkąd spotkałem tę dziewczynę. Objawienie, mistyczny płomień, który nagle zstępuje na ciebie, jak Duch Święty na apostołów!

– Poznałeś ją tydzień temu!

– I co z tego? Nie trzeba czasu, by oczywistość walnęła cię w głowę obuchem. Zwykle to się dzieje błyskawicznie.

– I twierdzisz, że nie jesteś w niej zakochany?

– Tak, myślę, że nie śmiałybym jej nawet tknąć. Bałbym się, że ją uszkodzę.

– Wcale nie wygląda na taką kruchą i delikatną. Przypomina raczej jedną z tych dziewczyn lekkich obyczajów, które gdy ich koleżanki puszczaają jeszcze bańki mydlane, po prostu się puszczają. A efekty są widoczne jak na dłoni. Cięża w wieku szesnastu lat!

– Pozory czasem mylą. Jestem przekonany, że ta dziewczyna potrzebuje przytulnej pierzynki, żeby owinąć się miękkim kokonem beztroski.

– Widzisz? Sam mówisz o pierzynie. Zobaczysz, całkiem cię oskubie.

– Życie jest lekkie niczym piórko, gdy podtrzymujące je tchnienie przepelnia miłość i czułość, mogę więc pozbyć się kilku piórek...

– Czyje to? – pyta Jérôme.

– Moje.

– Twoje? – Śmieje się.

– Jaki ty potrafisz być niemiły!

– Przynajmniej ta dziewczyna cię inspiruje. To już coś. Ale jeśli w Bretanii coś pójdzie nie tak? Dom nie jest zbyt przestronny, będziemy siedzieć jedni na

drugich.

– A jeśli wszystko pójdzie dobrze? Jeśli nauczymy się żyć jedni „razem” z drugimi?

– Nie bardzo wiem, jak miałbym się dogadać z dziewczyną, której nie znam, a która ledwie wyszła z okresu dojrzewania, jeśli faktycznie wyszła, obarczona opieką nad dzieciakiem, który mógłby być jej młodszym bratem.

– Nie zamykaj ludzi w szufladkach. To, że jest biedna i że jest młodą matką, nie oznacza, że jest nieciekawa i niedojrzała.

– Pogadamy po powrocie – proponuje Jérôme z cynicznym uśmiechem.

– Właśnie! Ona bardzo dużo czyta. A ty? Kiedy ostatnio zajrzałeś do jakiejś książki?

– Przedwczoraj! To było wielkie, grube i ciężkie tomiszczce w czerwonej okładce.

– Tak, wiem, encyklopedia leków. Pytam o powieści, eseje, rzeczy, które się czyta, by się rozerwać, zapomnieć.

– Nie mam czasu.

– Oczywiście, że masz. Tylko z niego nie korzystasz, to wszystko. Wydaje ci się, że nie potrzebujesz rozrywki, zapomnienia ani otwarcia się na świat.

– Potrzebuję Irène.

– Irène umarła – odpowiada Paul oschle.

Jérôme milczy. Wiele miesięcy po tragedii te słowa są wciąż tak samo brutalne. Ojciec wypowiedział je chłodno i Jérôme wie, dlaczego to zrobił. Wie, że musi przyjąć do siebie tę wiadomość, zapisać ją na swoim twardym dysku i uzalenie się nad własnym losem mu w tym nie pomoże. Paul był miły. Często go przytulał, w tych najgorszych chwilach tuż po tragedii, trzymał go za rękę na cmentarzu, kiedy wszyscy już poszli, a on zapadał się w żwirze alejki, stojąc nad dołem. Jednak w ostatnich tygodniach ojciec zmienił strategię. Zbyt dużo współczucia utrzymuje jego syna w jakimś chorobliwym stanie. Czy nie lepiej

czasem zastosować elektrowstrząsy, jeśli miałyby to mu pomóc spojrzeć twardej rzeczywistości prosto w twarz?

Umarła.

Tylko ojciec ma odwagę powiedzieć: „umarła”.

Inni wolą unikać brutalności tego słowa. Wydaje im się, że jeśli użyją eufemizmów, nie nazwą rzeczy po imieniu, to owe rzeczy staną się trochę mniej prawdziwe, jakby istniały tylko połowicznie.

Odeszła.

*Dokąd?*

Nieboszczka.

*Eleganckie, ale długie. Trochę nadęte. Zbyt oficjalne.*

W niebie.

*Bujać to my!*

Umarła.

*O tak, umarła!*

Przeciwieństwo do „żywa”. Jak natura na płótnie mistrza, ze ściętymi kwiatami i zerwanymi owocami, które zachowają swą świeżość, kolor i piękno wyłącznie na obrazie. Jak kilka jej zdjęć, które zachował w albumie między książkami w biblioteczce. Jak martwa natura wisząca na ścianie jego życia wiejskiego lekarza. A on cierpi męki, wbijając gwóźdź, na którym zawisnie ten obraz. Głęboko w ciało. Szczelina zmieniająca się w guzowatą, stwardniałą bliznę, która boli do końca życia.

Paul znalazł fotelik. Oczywiście wybrał najdroższy. Maksymalna ochrona. Albo sprytne oszustwo producenta.

Kiedy podchodzi do samochodu, Julie otwiera drzwi i mówi:

– Ludovic jeszcze śpi, a ja muszę oddać mocz, więc zostawiam go z wami.

Patrząc, jak się oddala, Jérôme mamrocze w swój trzydniowy zarost, że już

dawno nie spotkał dziewczyny zachowującej się tak wulgarnie.

– Przesadzasz, sam mi mówiłeś, że „oddać mocz” to termin medyczny – protestuje Paul.

– Co nie zmienia faktu, że w języku potocznym to brzmi wulgarnie.

– Ach, więc trzeba być lekarzem, by używać go w języku potocznym i nie być przy tym wulgarnym? Być może Julie wie, że to termin naukowy, używany, gdy chcemy powiedzieć, że musimy opróżnić pęcherz.

– Znasz wiele dwudziestolatek, które tak mówią?

– W ogóle nie znam wielu dwudziestolatek. I mam gdzieś to, jak się wysławiają. Ważne, żeby były pełne życia. I pozytywne, jeśli to możliwe.

– Czy to aluzja do charakteru Irène?

– Być może, tak. Byłoby lepiej, gdyby była wulgarna, ale szczęśliwa. Też idę się wysikać, mam prawo to powiedzieć?

– Odpuść.

– Popilnujesz małego?

– A mam wybór?

– Chce ci się siku?

– Nie.

– W takim razie nie masz wyboru. Zaraz wracam.

Paul staje przed damską ubikacją, czekając na Julie, by złożyć jej jak najbardziej przyzwoitą propozycję. Dziewczyna wychodzi po krótkiej chwili, przyglądając dłonią włosy. Prawdopodobnie rzuciła okiem w lustro nad umywalkami i zobaczyła, że w czasie snu potargała się jej fryzura.

– Proszę skoczyć do półek z książkami i kupić sobie coś ciekawego. I niech pani wybierze też coś dla Ludovica, długa droga przed nami – mówi Paul, podając jej swój portfel. – Spotkamy się przy samochodzie.

– A Ludovic?

- Jest w dobrych rękach, proszę się nie niepokoić.
- No właśnie.
- No właśnie co?
- No właśnie te dobre ręce, o których pan mówi, mnie niepokoją.
- Niech się pani nie martwi. Pozory mylą, i to w obydwie strony.
- Nie rozumiem. Jakie obydwie strony?
- Ważne, że ja rozumiem. Proszę już iść, droga przed nami długa, a dni robią się coraz krótsze. Chciałbym dotrzeć do Bretanii przed zmrokiem. Myślę, że to już niewykonalne, ale chociaż spróbujmy.

Julie nie ociąża się przy półkach z książkami, doskonale wie, co chce wybrać dla siebie. Najnowszy kryminał Fred Vargas, na który czyhała w bibliotece, by go wypożyczyć, jak tylko zostanie zwrócony. Dla Lulu weźmie jakąś opowieść o wrózkach i elfach. Jak te, które kołysały ją do snu w dzieciństwie. Być może za bardzo ją kołysały. Trudno się potem z tego otrząsnąć, jeśli tak mocno uwierzyło się w piękne bajki. Pewnego dnia człowiek budzi się z bolesną świadomością, że życie nie ma w sobie nic z tej baśniowej idylli.

„I żyli długo i szczęśliwie”.

*Taa, jasne!*

Najpierw trzeba by znaleźć księcia na białym koniu. W bajkach kobiety nie wychowują dzieci samotnie, nie harują od rana do nocy, żeby jakoś związać koniec z końcem. W bajkach kobiety są piękne, mężczyźni silni, kochają się, a życie traktuje ich łagodnie.

Bajki są do bani.

Kiedy Julie wraca na parking i widzi, że miejsce, na którym stali jeszcze pół godziny temu, jest puste, strach skręca jej żołądek. Jest pewna, że to właściwa alejka, tuż obok wiaty dla wózków, naprzeciw wejścia B. Myśli przelatują jej przez głowę z taką prędkością, z jaką zapewne umierającemu przewija się przed

oczami film z całego życia. Odjechali, zabrali Lulu, jej matka miała rację, mówiąc, że to szaleństwo, ale dlaczego to zrobili? Handel żywym towarem? Nie Lulu! Nie jej Lulu! Jak mogła zaufać pierwszemu lepszemu, który się nawinał, widząc tylko swą własną przyjemność? Kiedy mija pierwszy szok i ból jak po mocnym ciosie w brzuch, Julie zaczyna biegać po parkingu w poszukiwaniu terenówki. To niemożliwe, to niemożliwe, to niewyobrażalne!

### *Dranie!*

Julie prawie już nie oddycha. Nie widzi otaczających ją ludzi, nie słyszy krzyków kobiety, która o mało się nie przewraca, gdy Julie ją potrąca. Myśli tylko o tym, by odnaleźć Lulu. Patrzy na ulicę, szuka uciekającego samochodu. Jeśli się nad tym zastanowić, to świetnie zorganizowali całą akcję. Doskonale odegrali komedię. Naiwna, wpadła w zastawioną przez nich pułapkę. I co teraz? Co teraz? Julie czuje, że do oczu napływają jej łzy. Musi znaleźć telefon, żeby zadzwonić do Manon. Ona będzie wiedziała, co robić. Ona zawsze wie, co robić. Julie odwraca się w stronę galerii handlowej i tego rozpaczliwie pustego miejsca, które zajął już inny samochód. Podskakuje na rozlegający się za jej plecami dźwięk klaksonu i natychmiast się odwraca. Paul siedzący za kierownicą uśmiecha się do niej, po czym pochmurnieje, widząc rozpacz w jej oczach. Julie dostrzega sylwetkę synka w foteliku samochodowym. Zamyka oczy, prawie mdlejąc. W miejsce ulgi natychmiast pojawia się gniew i dziewczyna gwałtownie trzaska drzwiami po wejściu do auta.

– Gdzie byliście!!? – wrzeszczy.

– Spokojnie, Julie. Podjechaliśmy na stację sprawdzić ciśnienie w oponach, miałem wątpliwości co do jednej.

– Niech pan nigdy więcej tak nie robi! Przestraszyłam się!

– Czego?

– Że odjechaliście!

– A gdzie mielibyśmy jechać bez pani?!

– Nie wiem, ale niech pan nigdy więcej tak nie robi – powtarza Julie, całując Lulu, który uśmiecha się do niej spokojnie.

– Ciemu płacieś, mamusiu?

Kilka chwil później samochód wjeżdża na autostradę. Ludovic popija mleko z butelki. Julie, by zapomnieć o panicznym strachu, przez który jej serce wciąż jeszcze bije zbyt szybko, zaczęła czytać książkę, którą kupiła. Jérôme beznamietnie patrzy na krajobraz przesuwany się za szybą, a Paul rozmyśla.

Myśli o tym, co było, co będzie, co jest. O swoim dotychczasowym życiu i o tym, czego jeszcze od życia oczekuje. Potrzebuje młodości i fantazji, dobrego humoru i czułości. Zwłaszcza czułości.

Rozczarowany swoim drugim małżeństwem, został z żoną, by zachować pozory. Ostatecznie nie mieli ze sobą wiele wspólnego. Jej zajęcia koncentrowały się głównie wokół własnego wyglądu – dzieliła cały swój czas między kosmetyczkę, klub fitness, popołudniowe zakupy i wieczorne ploteczki z przyjaciółkami. Zajmując się wyłącznie domem, gdyż pensja męża z łatwością zaspokajała wszelkie potrzeby rodziny, dosyć wygodnie ustawiła się w życiu, bez specjalnej wdzięczności czy poświęcania uwagi mężowi. Ich rozmowy były równie płytkie i nieciekawe jak teksty z kobiecych magazynów, w których zaczytywała się całymi dniami, podczas gdy Paul marzył o tym, by podzielić się wrażeniami z lektury autorów literatury klasycznej czy współczesnej, którą delectował się w nielicznych wolnych chwilach. Wszelkie troski jego małżonki miały charakter wyłącznie materialny i w oczach męża były puste i banalne.

Teraz zdaje sobie sprawę, że przez kilka ładnych lat pograżał się w pracy tylko po to, by jak najmniej przebywać w domu. Zwłaszcza od dnia, gdy Jérôme na dobre z niego wyfrunął.

Odejście Marlène jest więc dla Paula ulgą i nowym początkiem. Chce, by ten nowy start był wspaniały i radosny. Chce się cieszyć chwilą, nie szukać już na niebie spadającej gwiazdy, która spełni nierealne marzenia.

Jakiej gwiazdy?

Pauline była jego gwiazdą.

Zmieniła trajektorię ponad trzydzieści lat temu i teraz jest już całe lata świetlne od niego, jego gwiazda...

Julie jest być może zwykłą małą asteroidą, z którą się zderzył, ale kiedy uderzenie jest wystarczająco mocne, czasem dochodzi do odchylenia trajektorii.

Kto wie...?

W każdym razie, co do jednego można mieć pewność: zapowiada się długa droga...

Rzadko robią przystanki. Dziecko jest mądre, a matka pomysłowa w zajmowaniu jego uwagi. Bawią się w wypatrywanie wież ciśnień na szczytach wzgórz albo w liczenie mijających ich ciężarówek. Julie wymyśla historyjki zainspirowane krajobrazem za szybą. Czasami pejzaż jest smętny i monotony, zwłaszcza gdy pola, bez choćby jednego drzewa, ciągną się po horyzont, wtedy każde z nich pograża się w lekturze. Jérôme praktycznie nie odezwał się słowem od supermarketu. Paul świetnie sobie radzi za kierownicą. Nigdy nie miał problemów z koncentracją i uwielbia prowadzić. Ale zbliża się pora posiłku. Mały domaga się jedzenia. Żołądek Paula również. Hipoglikemia na autostradzie nie przebaczy.

Dwadzieścia kilometrów później Paul włącza kierunkowskaz i zjeżdża na stację, przy której ma być restauracja. Dochodzi czternasta, nie powinno być tłoku.

Jérôme pierwszy wychodzi z samochodu i idzie na trawnik przy parkingu. Patrzy w horyzont, rozprostowuje ramiona i trwa tak przez kilka chwil.

Julie obchodzi auto, by wyjąć synka. Denerwuje się, szarpiąc zapieczętowanie, którego jeszcze nie opanowała. Stare było mniej pewne, ale proste w obsłudze.



Paul odsuwa ją za ramiona i prosi, by pozwoliła mu się tym zająć. Bez problemu rozpiną pasy bezpieczeństwa i zerka na Ludovica. Ten przygląda mu się, po czym uśmiecha się porozumiewawczo. Uśmiechem, który Paul przyjmuje jak podarunek. Początek osvajania. Tak jak Mały Książę oswajał lisa. Z tym że teraz to stary lis próbuje oswoić Małego Księcia. Nieważne, osvajanie zawsze działa w obydwie strony.

Jednak to jego matkę księżniczkę przede wszystkim chciałby oswoić.

- Przejdziemy na „ty”? – proponuje.
- Jeśli pan sobie życzy...
- Kiepski początek!
- Potrzebuję trochę czasu...
- Dlaczego?
- Różnica wieku.
- No naprawdę, długo jeszcze będzie mi pani wytykać tę różnicę wieku?
- Znów mi pan mówi na „pani”?
- Zapewne dlatego, że jest mi przykro.
- Przepraszam.
- Nie martw się. Przyzwyczaję się.
- Ja też...

Wtedy Paul bierze jej twarz w dłonie i uśmiechając się, całuje ją w czoło. Julie sztywnieje pod wpływem jego dotyku i nie potrafi się rozluźnić. Nie przywykła do przyplądów czułości. Poza Lulu rzucającym się jej na szyję rzadko kto zbliża się do niej w szczerych i ciepłych zamiarach.

– Najpierw coś zjemy, a później rozprostujemy nogi, dobrze? – proponuje Paul.

- W porządku. Pójdę na stację kupić kanapki.
- Niczego nie będziesz kupować. Idziemy do restauracji, usiądziemy sobie

wygodnie i zjemy coś ciepłego.

- Nie mam pieniędzy na restauracje.
- Zmieniłaś się od wczoraj w feministkę?
- Nie chcę być niczyją utrzymanką.
- Nie utrzymuję cię, tylko zapraszam, ciebie i małego. I swojego syna też.
- To mnie krępuje.
- Zupełnie bez powodu. Pieniądzy mam więcej, niż potrzeba do szczęścia.

A więc uznaj te wakacje za prezent w rodzaju „wszelkie koszty opłacone”.

- A co na to pański syn? – pyta Julie.
- Twój syn.
- Mój syn?
- Co na to „twój” syn – poprawia Paul.
- W wieku trzech lat ma się w nosie pieniądze.
- Nie mówię o twoim synu, tylko o moim.
- Nic już nie rozumiem.
- Mówimy sobie na „ty”: co na to „twój” syn.
- Ach... no tak, co na to... Jérôme?
- Na co?
- Na ten prezent „wszelkie koszty opłacone”, który mi pan daje?
- Nie obchodzi mnie, co o tym myśli.
- Mógłby być zazdrosny.
- On też nie ma problemu z pieniędzmi. I przestań się nim przejmować – ucina Paul.
- Nie jest zbyt rozmowny i szczerze mówiąc, nie wygląda, jakby się cieszył z mojej obecności.
- Potrzebuje trochę czasu.

Paul woła syna, by dać mu znać, że są gotowi. Julie bierze za rękę Lulu,

który chwyta też dłoń Paula, licząc przy tym „łaż, dwa, tsiiii!!!”. Paul nie potrzebuje dalszych wyjaśnień, podnosi małego do góry w tej samej chwili co jego matka, ku wielkiej radości dziecka. Jérôme podąża dziesięć metrów za nimi, nie bardzo wiedząc, co myśleć o tym nieprawdopodobnym trio. Czasem wolałby w ogóle już nie myśleć. Dzięki temu nie wspominałby Irène. Ale nie jest w stanie się wyłączyć, to zupełnie niemożliwe, im bardziej próbuje, tym gorzej na tym wychodzi. Ma nadzieję, że rytm fal zahipnotyzuje jego umysł opętany jej brakiem.

Po tym jak sprostali wyzwaniu, jakim był wybór dań w samoobsługowym barze, i przenieśli tace przy jednoczesnym zajmowaniu się Ludovikiem, który musiał dokładnie sprawdzić, co znajduje się na każdym talerzu, siedzą wreszcie za stołem. Jérôme wciąż milczy jak zaklęty. Przygląda się siedzącemu naprzeciwko chłopcu. Mógłby się niemal rozczulić, obserwując, jak mały starannie i z uwagą macza frytkę w ketchupie, by za chwilę fatalnie zaplamić swoją koszulkę. „Nic się nie stało” – mówi beztrąsko do swojej mamy, niemal uspokajającym tonem, zanim ta zdąży cokolwiek powiedzieć. Jakiś inny rodzic mógłby się zdenerwować, zrugać go za brak ostrożności, ale Julie milczy. Po prostu wyciera plamę serwetką, odpowiadając mu, że rzeczywiście nic się nie stało.

Gdy Jérôme był mały, Marlène, druga żona ojca, nieustannie go upominała, gdy się zabrudził: przy stole, na trawie czy w błocie. Jego dzieciństwo było pełne ograniczeń, smutne i przewidywalne. Nie miał prawa robić niczego, co mogłoby się skończyć zniszczeniem jego schludnego ubranka, a to w ostatecznym rozrachunku zniszczyło jego fantazję. Nagle, obserwując Julie, zdaje sobie sprawę, że ojciec nigdy nie rozmawiał z nim o jego biologicznej matce, o tych trzech pierwszych latach, kiedy się nim opiekowała. Może była łagodna i pobłażliwa, wsłuchana w jego potrzeby, wyrozumiała i radosna, jak ta dziewczyna dla swojego synka. Bo pod tą powłoką opóźnionej nastolatki Julie wykazuje się niezwykłą naturalnością i czułością w opiece nad małym. Może to

dlatego, że jeszcze niedawno sama była dzieckiem. A może dlatego, że taka po prostu jest. Ma gdzieś plamę z keczupu na koszulce. W końcu Ziemia nie przestanie się z tego powodu kręcić.

Tego by tylko brakowało!

– Nigdy nie wypowiada „r”? – pyta Paul między dwoma kęsami.

– W niektórych słowach. Ale nie wszystkich. Mówi „kraktor” zamiast „traktor”, ale też „czajny” zamiast „czarny”.

– Potrafisz powiedzieć „cza”? – zwraca się Paul do chłopca.

– Cza! – odpowiada Ludovic z dumą.

– Potrafisz powiedzieć „ny”?

– Ny!

– Potrafisz powiedzieć „czarny”?

– Czajjjj... biały!

Jérôme chętnie by się uśmiechnął, widząc taki stopień zdrowego rozsądku, a nawet humoru u trzylatka, ale oznaczałoby to koniec dąsania się, czego jeszcze nie przewiduje. To byłoby zdecydowanie za wcześnie. Musi utrzymywać pozory, pokazać, że istnieje, że ma swoje zdanie i zdanie to jest wyrobione: ich obecność tutaj nie jest dobrym pomysłem! A więc stara się stłumić uśmiech i nie zarazić wybuchem radości dwójki pozostałych dorosłych, która szybko udziela się także dziecku. Jérôme, będąc już o krok od pozwolenia sobie na odrobinę uśmiechu, przygryza wargę i szybko wstaje od stołu ze swoją tacą, którą odkłada na wózek stojący przy drzwiach do kuchni.

– Jest pan pewien, że nie powinnam odjechać w przeciwnym kierunku, zanim zepsuję wam wakacje? – pyta Julie, poważniejąc.

– Jestem pewien, że wolałbym, abyś mówiła mi na „ty”. Co do Jérôme’a, daj mu trochę czasu, wiele wycierpiał w ostatnich tygodniach.

– Właśnie! Śmiech dobrze by mu zrobił – sugeruje Julie.

– Wolałbym, żeby przynajmniej potrafił płakać. Gdyby tylko sobie na to pozwolił.

– Dlaczego cierpiał?

– Wyjaśnię ci później. Ale teraz musimy już jechać. Chciałbym, żebyście chociaż zobaczyli zachód słońca, kiedy dotrzemy na miejsce.

– Przecież słońce zachodzi co wieczór, prawda?

– Nie. Najpiękniejsze jest pierwszego wieczoru. Zwłaszcza jeśli nigdy wcześniej nie widziało się morza.

Chwilę później auto znów rusza w drogę, a wszyscy siedzą na swoich miejscach. Ludovic, z klejącymi się oczami, w błyszczącym nowością foteliku, obok Julie, zatopiona w lekturze książki, także błyszczącej nowością, i Jérôme ze wzrokiem wbitym w szybę. Dla niego nic nie jest nowe, poza natarczym smutkiem i poczuciem nieznośnej samotności. I Paul, pogrążony w swych radosnych myślach. Cieszy go ta wyprawa. Cieszy go myśl, że rusza do Bretanii ku przygodzie i nie ma czego zazdrościć nawet największym awanturnikom tej ziemi. Jednak w tej podróży nie chodzi o geografie i przemierzanie kilometrów. Chodzi raczej o dotarcie do głębi ludzkiego wnętrza i przedarcie się przez niedostępny gąszcz ludzkiej psychiki.

Gdy jest prawie szesnasta trzydzieści, Paul znów włącza kierunkowskaz i zjeżdża z autostrady w okolicach Angers. Lubi ten moment podróży. Już tylko trzy godziny i będzie można zatopić wzrok w ogromnym, kojącym przestworzu. Trzy godziny i dotrą do małego domku, kupionego trzydzieści lat temu, gdy miał dużo gotówki do ulokowania. Zwyczajny mały domek, który na przekór wszystkiemu opiera się falom czasu, oddalony od pozostałych zabudowań wioski, położony na wzgórzu, z którego przez okno balkonowe w sypialni można obserwować fale o brzasku.

Gdyby był sam, jechałby dalej, nie robiąc przystanku, ale grzeczne dotąd

dziecko zaczyna okazywać zmęczenie długą podróżą, a Julie znów musi „siku”. Zabiera małego ze sobą, żeby zmienić mu pieluchę, którą mu włożyła ze strachu, że zmoczy nowy fotelik, na jaki sama nigdy nie mogłaby sobie pozwolić.

Wraca do samochodu z paczką ciastek, które kupiła w sklepiku przy stacji za resztę z banknotu, który Paul dał jej na książki i kazał zatrzymać. Jérôme siedzi już z przodu, Paul czeka na nich z uśmiechem. Przed nimi ostatnia prosta. Jak dotąd mały był cichy i spokojny, co daje nadzieję na względnie miły koniec podróży.

- Chce pan ciastko? – pyta Julie, podając Paulowi paczkę.
- Wezmę jedno, jeśli powiesz do mnie „ty”.
- Chcesz ciastko?
- Widzisz, to nie jest takie trudne.
- To pan tak twierdzi!... No to jak z tym ciastkiem?

Paul bierze jedno z paczki, krzywiąc się i kręcąc głową. Znów się nie udało. Siada więc za kierownicą i czeka, aż mały zostanie zapięty w foteliku, po czym zapala silnik.

Julie siada z tyłu i wyciąga paczkę ciastek w stronę Jérôme’a.

- Chce pan ciastko?
- Nie, dziękuję – odpowiada Jérôme, nawet na nią nie patrząc. – Staram się zwracać uwagę na to, co jem.
- Ja nie – odpowiada dziewczyna z pełnymi ustami. – Co to za życie, jeśli od czasu do czasu nie można sobie sprawić przyjemności.
- Ona ma rację – dodaje Paul. – To nie herbatniki skrócą ci życie.
- Daj mi spokój! Nie chcę, i tyle.
- Mogę dostać jego ciastko? – pyta Paul właścicielkę paczki.
- Ja chcę! – woła Ludovic tonem nieznoszącym sprzeciwu.
- Jeśli ładnie poprosisz – odpowiada mu mama.

- Chcę ładnie!
- Mówi się „proszę” – tłumaczy Julie.
- Weź choć jedno – mówi Paul do syna.
- Dobrze, niech ci będzie – rzuca ostro Jérôme.
- Wyluzuj, Jérôme, żartuję. Te wakacje naprawdę dobrze ci zrobią.
- Zaczynam w to wątpić.

Wtedy jego telefon zaczyna dzwonić.

- Halo! – mówi Jérôme zaczepnym tonem.
- Tak... Dzień dobry, to znaczy dzień dobry ponownie, tu Caroline.
- Już!?! – głos Jérôme’a łagodnieje.

W końcu ona nic tu nie zawiniła.

- Przepraszam, przepraszam, strasznie mi przykro.
- Żartowałem. Co się dzieje?
- Rozbiłam ciśnieniomierz. Proszę się nie martwić, odkupię, ale nie zdążę tego zrobić z rana, zanim przyjdą pacjenci..

– Mam zapasowy. Jest pani w gabinecie?

– Tak.

– W takim razie będzie radionawigacja! Kiedy wchodzi pani do gabinetu, w głębi widać dużą szafę z trzema pionowymi rzędami szuflad. Powinien być w dolnej szufladzie po lewej stronie.

– Szukam – mówi dziewczyna, otwierając szufladę. – Są tu tylko maski chirurgiczne.

– Proszę spróbować w innej, po lewej.

– ...

– Tak przy okazji, badając pacjentów, sprawdza pani wątrobę po prawej i osłuchuje serce po lewej stronie?

- Tak, dlaczego pan pyta?
- Tak tylko. Znalazła pani?
- Tak, był w innej szufladzie.
- A poza tym pierwszy dzień minął spokojnie?
- Tak! Miał pan rację. Przeziębienia, kurczaki, infekcje ucha lub zapalenie gardła. Nic poważnego.
- Widzi pani! Tej nocy może pani już spać spokojnie. Ostra zatorowość płucna nigdy nie zdarza się pierwszego dnia.
- To ma mnie uspokoić?
- To miało być zabawne.
- Nie wyszło.
- Przepraszam, to było niepotrzebne. Czy to panią uspokoi, jeśli powiem, że nigdy nie miałem takiego przypadku, tak samo jak mój poprzednik, który prowadził praktykę przez trzydzieści pięć lat?
- Trochę.
- W każdym razie proszę sobie powtarzać, że robi pani wszystko, co może, ale nie jest pani w stanie zapobiec temu, co nieuniknione. Wiem, o czym mówię.
- Postaram się. Nie przeszkadzam dłużej. Wspaniałych wakacji! – mówi młoda kobieta.
- Do jutra! – odpowiada Jérôme.
- Nie, nie, obiecuję, że nie będę panu codziennie zawracać głowy.
- Ostra zatorowość płucna zwykle przytrafia się drugiego dnia.
- Wciąż nie jest pan zabawny.
- Dobrej nocy, Caroline.

Koniec podróży upływa we względnej ciszy. Dwaj mężczyźni z przodu rzadko się do siebie odzywają. Tył jest zaczytany, nosy utkwione w książkach albo przytknięte do szyby w czasie zabawy w zgadywanki, jeśli pejzaż za oknem



staje się ciekawy. Dzień był piękny, ale kiedy docierają do Vannes, zaczyna już powoli zmierzchać. Za niecałą godzinę zaparkują przed domem. Zdążą w samą porę na zachód słońca. Piękny akcent na koniec podróży, w sam raz, by rozładować napięcie.

Kiedy wjeżdżają na drogę ciągnącą się wzdłuż oceanu, z tyłu nie siedzi już jedno, ale dwoje dzieci, zauroczonych krajobrazem, poruszonych tą magiczną chwilą, gdy widzi się coś niezwykłego pierwszy raz. W oczach odbijają im się pomarańczowe refleksy, tak jak światła w tunelu tego ranka, tylko bez przerwy. I o wiele piękniej, bo zamiast tunelu rozpościera się przed nimi ocean. Gdy Paul parkuje przed domem, Julie wydaje się, że to sen. Dostrzega plażę tuż za domem i słyszy szum fal. Odpina Ludovica i uśmiecha się do Paula, po czym znika za domem.

– Idziesz z nami na plażę? – zwraca się Paul do Jérôme’a.

– Nie, daj mi klucze, wniosę bagaże.

– Jak chcesz. Klucze są schowane tam gdzie zawsze.

– Hej! Zaczekajcie na mnie! – krzyczy za dziewczyną, która idzie po piasku, trzymając dziecko w ramionach.

– Nie mogę... – odpowiada ze śmiechem. – To silniejsze ode mnie!

Kiedy Paul wreszcie ich dogania, dziewczyna zastyga w bezruchu. Wpatruje się w horyzont z synem w ramionach. Ostatnie promienie słońca oświetlają dwie twarze, podobne teraz do siebie bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, z rysującymi się na nich błogimi uśmiechami. Dołącza do nich i trzeci, uśmiech Paula, rozanielonego tym, że może dzielić z nimi tę prostą radość, wiedząc, że to trochę jego zasługa. Łza spływająca po policzku w supermarkecie jest teraz gdzieś bardzo daleko. Spacerują przez chwilę po plaży mimo zapadającego zmroku. Fale śpiewają w głowie Julie, która dziękuje za ten cudowny prezent. Chciałaby wręcz poprosić, by ją uszczypnął. W jej życiu jest tak mało chwil takich jak ta, że kiedy się zdarzają, nie może w nie uwierzyć. Później wchodzi do tego małego

domku nad brzegiem morza, którego nie wyobraziłaby sobie w żadnym ze swych marzeń, nawet tych najbardziej szalonych.

Jérôme bez słowa poszedł się położyć. Zajął małego pokoik na poddaszu. Żeby mieć spokój. Została jeszcze duża sypialnia z małżeńskim łóżkiem i mały pokój gościnny z wąskim pojedynczym tapczanem. Julie zaczyna układać w nim swoje rzeczy. Przyzwyczajenie do ciasnoty. Lecz Paul zabiera je bez słowa i przenosi do dużej sypialni.

– Ja zamieszkać w małym pokoju – wyjaśnia.

– Ależ nie, możemy się ścisnąć razem z Lulu, to dla nas nic nowego.

– Żartujesz sobie? Ułóżcie się wygodnie. A ja przypomnę sobie studenckie czasy, kiedy pomieszkiwałem kątem u kumpli i mogłem spać byle gdzie.

– Jak pan chce.

– Przede wszystkim chciałbym, żebyś skończyła już z tym „panem”, bo przez to wspomnienia młodości natychmiast znikają, a ja przypominam sobie o tej nieszczęsnej różnicy wieku. Chcesz coś zjeść?

– Nie, dziękuję. Lulu jest zmęczony, położę go spać.

– Rozpalę w kominku, przyjdź do salonu, jeśli chcesz się trochę ogrzać. W domu jest mimo wszystko dosyć chłodno.

– Uśpię małego i przyjdę.

Ludovic przytulił się do mamy i objął ją za szyję. Szepcze jej do ucha, że morze jest piękne. Pyta, czy jutro też pójda na plażę. Oczywiście, że pójda. Nie będzie mógł się kąpać, ale przynajmniej pobawią się w piasku...

Usypia bez większego trudu, mimo kilku godzin snu w samochodzie. Podróż go wymęczyła. Zasnął z tym samym uśmiechem, który rozjaśniał jego twarzyczkę na plaży. Julie przeżywa jakże rzadką chwilę szczęścia, tego wieczoru, w tym domu, patrząc na synka śpiącego pod kołdrą w tym wielkim łóżku. Ukołysanego szumem fal i wiatru niosącego zapachy morza. Ten moment

sprawia nieomal, że może zapomnieć o wszystkich tych, w których żałowała, że skazuje trzylatka na to gówniane życie. Niania mogła sobie mówić, że nie liczą się rzeczy materialne, a Lulu wygląda na o wiele szczęśliwsze dziecko niż te, które dostają wszystko, czego chcą – Julie i tak czuje się winna, że synek żyje w takich warunkach.

Po chwili dołącza do Paula w salonie. Ten siedzi na sofie z kieliszkiem w ręku. Patrzy na płomienie tańczące w kominku.

– Napijesz się?

– A co to?

– Nalewka starego kawalera.

– Dozwolona dla młodych dziewcząt?

– Masz chłopięcy temperament, powinno ci smakować. Domowej roboty, z zeszłego roku.

– W takim razie poproszę. Jérôme nie chce?

– Nie sądzę. Pewnie już śpi. Dużo ostatnio śpi.

– A więc opowiesz mi jego historię?

– Jego żona popełniła samobójstwo, trochę ponad trzy miesiące temu...

– Ach... – odzywa się Julie po długiej chwili milczenia. – Dlaczego?

– Ciężka depresja. Odkąd ją poznałem, zawsze była w depresji. Miała wątłe ciało i delikatną duszę. Byle podmuch wiatru mógł ją porwać i rzucić gdzieś dalej, a ona nie była w stanie walczyć. Tak samo emocjonalne burze działały na jej serce. Jedno słowo za dużo, jakieś złośliwe spojrzenie i od razu spuszczała wzrok, by nikt nie zobaczył, że delikatny powiew zmiotł ją niczym jesienny liść. Tak, teraz, gdy ci o niej opowiadam, wiem już, co mi przywodziła na myśl. Martwy jesienny liść, oderwany od swojej gałęzi i życiodajnych soków. Dlaczego w jej życiu była wieczna jesień, nie wiem. Wiatr rzucił ją do ogrodu Jérôme'a. Podejrzewam, że zakochał się w niej, czując podświadomie, że może ją uratować. Ta jego lekarska dusza... Tego dnia wrócił za późno. Kilka minut

wcześniej i żyłaby. Wini się za to. Rozmawiał na ganku z jednym z pacjentów. I wtedy usłyszał strzał.

– Zastrzeliła się? To straszne!

– Wiem, nie musisz mi tego mówić.

– Skąd miała broń?

– Stary pistolet jej dziadka, z drugiej wojny światowej. Jérôme nie podejrzewał nawet, że ona potrafi się nim posługiwać. Oto cała historia. Tak więc Jérôme potrzebuje trochę czasu, by się do ciebie przyzwyczaić. Do ciebie i w ogóle do innych ludzi. Zaprosiłem go tutaj, by trochę odetchnął, zanim znów pograży się w pracy. Nie może wyjść z apatii, właściwie jest z nim coraz gorzej. Martwi mnie to.

– Mogę to zrozumieć. Zostawię go w spokoju. W końcu mnie zaakceptuje.

– Tak będzie. Wiesz, to nie jest zły chłopak. Trzeba mu tylko dać trochę czasu. Musi zrzucić balast. A wtedy znów będzie sobą. Nigdy nie był specjalnie zabawny, ale potrafi być miły.

– Nie ma dzieci?

– Nie, nie mieli czasu, by się o nie postarać. Może to i lepiej – dodaje Paul. – Tak wcześnie osierocone...

– Z drugiej strony, to by go pociągnęło w górę...

– Pożycz mu Ludovica, żeby go wyciągnął. Jestem pewny, że ten mały jest w tym bardzo skuteczny.

– Trzylatek nie da rady wyciągnąć wszystkich.

– A kogo jeszcze musi ciągnąć do góry?

– Mnie. Pomaga mi wstać rano z łóżka, znosić pracę i mieć nadzieję na lepsze dni.

– Nie jesteś szczęśliwa?

– Nie jestem też nieszczęśliwa. Jestem przede wszystkim zmęczona. Pójdę już

spać – mówi Julie.

– To dlatego, że nie chcesz mówić o swoich uczuciach?

– Do jutra...

– Powiedz mi tylko jedną rzecz. Ta szmatka-przytulanka, którą twój synek nosi ze sobą, co to właściwie jest?

– To mój stary stanik – odpowiada Julie z uśmiechem.

– Stanik?

– Biustonosz do karmienia. Zwędził go ze stosu brudnej bielizny przy pralce, kiedy jeszcze raczkował, i uparł się, że będzie z nim spał. Pachniał mlekiem. Od tamtej pory się z nim nie rozstaje. Odcięłam jednak ramiączka, bo o wszystko zaczepiały i dzięki temu trochę mniej było widać, że to biustonosz. W przedszkolu mieli mnie za wariatkę, a jakiś miesiąc temu dyrektorka, drętwa służbistka, wezwała mnie na dywanik i zrobiła cały wykład na temat tej niekonwencjonalnej przytulanki. „Nigdy czegoś podobnego nie widziałam! A dlaczego nie majtki?”, powiedziała mi.

– No, miała trochę racji. I co jej na to odpowiedziałś?

– Że mały kocha zapach mojego mleka i że zaczęłabym się martwić, gdyby się dobierał do biustonosza przedszkolanki, ale póki co nic takiego się nie dzieje, więc nie ma z czego robić afery. Zwłaszcza że na skutek ciągłego łątania stanik coraz bardziej oddala się od swej pierwotnej formy. Tak więc w pudełku stojącym przy drzwiach do klasy leżą wszelkiego rodzaju pluszaki i biustonosz do karmienia, który zresztą zrobił się już do niczego niepodobny.

– Kiedy Jérôme był mały, miał swoje tulisie.

– Co takiego?

– Tulisie, tak je nazywał. Kawałki żółtej syntetycznej pianki, którą wypycha się poduszki. Zawsze miał kilka przy sobie, ugniatał je w dłoni, jednocześnie ssąc kciuk.

– Tak samo dziwaczne jak stanik.

– W każdym razie trochę mniej działające na wyobraźnię. Pewnego dnia, miał wtedy jakieś sześć lat, wynajęliśmy domek w górach. W jednym z pokoi stał oparty o ścianę piankowy materac, bez pokrowca. Był zrobiony z tego samego materiału co jego małe tulisie. Jérôme stał oniemiały z zachwytu, wzdychając: „Och, tuliś olbrzym!”. Marlène znajdowała jeszcze skrawki w kieszeniach jego dżinsów, gdy miał piętnaście lat. Niekończąca się historia, te tulisie...

– Szukamy pociechy, w czym się da – mówi Julie, idąc spać.

Paul dolewa sobie likieru na dno kieliszka. Nalewka starego kawalera jest naprawdę wyśmienita. A smaku dodaje jej jeszcze fakt, że naprawdę jest teraz starym kawalerem, z racji metryki i świeżego celibatu. Przynajmniej Marlène nie zajrzy mu przez ramię, zrzędząc, by przestał pić. Ona nigdy nie wypłaby z nim drinka przy kominku, ciesząc się chwilą.

Ta dziewczyna ma w sobie tę radosną iskierkę, której od ponad trzydziestu lat tak bardzo brakuje w jego ponurym życiu poważnego mężczyzny. Choć Julie wygląda, jakby los dał jej nieźle w kość, wciąż potrafi zachwycić się zachodem słońca na plaży. Dobry znak. To zupełnie inny typ kobiety niż jego nieodżałowana Pauline. Zupełnie inny typ. Pauline emanowała elegancją, wdziękiem i taktem. Julie ociera się o wulgarność, jest nieco chłopięca i pewna siebie. Ale ma w sobie to coś, co mają tylko niektórzy. Wewnętrzny żar. To coś, co jednocześnie rozgrzewa i wprowadza w drżenie.

Irène zgasła na długo przed śmiercią. Czyżby zapłonęła tylko raz?

Marlène miała emocjonalność góry lodowej. Bez szans na jakiegokolwiek ocieplenie klimatu, nawet gigantyczna dziura ozonowa nic by tu nie pomogła.

Ale Julie...

Podrzędny psychiatra powiedziałby, że Paul dokonuje przeniesienia. Że odnajduje w Julie to, co utracił wraz z Pauline. I że to prawdopodobnie zły pomysł, co zresztą zgadza się z opinią jego syna. Jednak teraz, po tych

wszystkich latach, gdy harował jak wół, a życie przeciekało mu między palcami, Paul pragnie już tylko jednego: rozpalić ogień w kominku i ogrzać się w jego blasku.

*Uszczypnijcie mnie. Ja chyba śnię!*

*Sen księżniczki, jak te, które śniłam, będąc małą dziewczynką, gdy wierzyłam jeszcze w księcia z bajki. Dostał mi się stary król, ale ofiarował mi tu bardzo miłą bajkę. I nalewkę starego kawalera, od której kręci mi się w głowie. Nie mogę się doczekać jutra, by znów zobaczyć morze razem z Lulu. Nie tylko ze względu na niego. Moim stopom także podobała się miękkość piasku, moim oczom bezkresny horyzont, a uszom pieśń fal.*

*Kim jestem w tej bajce? Księżniczką w oślej skórcie z mężczyzną, który mógłby być moim ojcem?*

*Kopciuszką? Głupio bym jutro wyglądała w szklanych pantofelkach na tym piasku!*

*Postaram się nie zostać Czerwonym Kapturkiem, pożartym przez złego wilka.*

*Zbyt wiele wilków już w życiu widziałam. Teraz chcę tylko znów zobaczyć morze*

*Mam nadzieję, że Lulu nie zmarznie w nocy. Przykryłam go dodatkowym kocem, ale chciałabym zostawić otwarte okno. Szum fal jest taki cudowny! Ich powolny, miarowy rytm sprawia, że zapomina się o nerwowej ludzkiej bieganiu. Czym jestem w obliczu oceanu? Czym jestem na tej ziemi? Ziarenkiem piasku, jak wszyscy wokół. Jesteśmy ziarenkami, które miażdżą te znajdujące się pod spodem, nie pozwalając im oddychać.*

*Jeśli będzie mu zimno, przytuli się do mnie instynktownie. Poczuję jego mięciutką skórę i zasnę ukołysana jego oddechem, który z pewnością będzie zgodny z rytmem fal. Bo takie właśnie jest życie. Dążymy do harmonii, by było nam dobrze. I by jakoś znieść to, że jesteśmy ziarenkami, które duszą*



*się przygniecione przez inne.*

## OSWAJANIE

Kiedy Paul wyłania się ze snu, słyszy najpierw szum fal przez uchylone drzwi balkonowe, a potem brzęk naczyń dochodzący z kuchni. Wkłada spodnie, zostawia górę od pizamy i idzie tam po cichu. Ludovic siedzi przy stole ze śliniakiem zawiązanym pod szyją i wgryza się właśnie w herbatnik. Julie odwraca głowę, a na jej zmiętej twarzy pojawia się promienny uśmiech.

– Dobrze spałaś? – pyta Paul.

– Tak, bardzo dobrze. To dziwne, jak działa bliskość morza. Nie trzeba liczyć baranów, ocean natychmiast usypia.

– Znalazłaś coś na śniadanie?

– Nie, nie ma tu zbyt wiele. Znalazłam herbatniki dla Lulu, bo był głodny, ale to praktycznie wszystko, co było w szafkach.

– Chodźmy do piekarni, mają tam wszystko, co potrzebne. Ubierz Ludovica, nie jest zbyt ciepło.

– Jak się tam dostaniemy?

– Piechotą. To pięćdziesiąt metrów stąd.

Kiedy wchodzi do sklepu, właścicielka uśmiecha się szeroko, po czym wychodzi zza lady i serdecznie obejmuje Paula.

– Dzień dobry, Paul! Przyjechałeś!

– Dzień dobry, Annette! Przedstawiam ci Julie.

Kobieta bierze Julie w ramiona i przytula ją równie wylewnie jak Paula.

– Ukrywałeś przed nami tę śliczną dziewczynę!

– Tylko nie mów jej przypadkiem, że mogłaby być moją córką, ona nie życzy sobie, bym udawał jej ojca!

– Mylisz się, panienko. Paul to uroczy człowiek i doskonały ojciec.

Julie uśmiecha się do niej grzecznie, speszona patrząc na Paula.

– Byłby też szczęśliwym dziadkiem – dodaje, pochylając się do ukrytego za kolanami mamy Ludovica, który zerka na nią ukradkiem.

Potem wraca za ladę, bierze do ręki brioszkę, odrywa kawałek i podaje chłopczykowi.

– Trzymaj, króliczku! Wykorzystamy twoją wizytę w Bretanii, żeby cię troszkę podtuczyć. Długo zostanieie?

– Dwa lub trzy tygodnie. Jérôme jest z nami. Ale jeszcze śpi.

– Och, nasz biedny Jérôme! Powiedz mu, żeby nas odwiedził. Tak strasznie nas zasmuciła twoja wiadomość.

Annette jest przeciwieństwem stereotypowej piekarki, okrągłutkiej niczym rosnący w piecu bochenek. Kobieta w dojrzałym wieku jest niska i szczupła pod swoim prostym fartuszkim. To nie słodkimi wypiekami jej mąż ją oczarował. No chyba że jest jedną z tych szczęśliwych kobiet, których metabolizm działa niczym reaktor atomowy, co pozwala im pochłaniać nieprzyzwoite ilości wszelkich przysmaków bez przybierania nawet grama tłuszczu, podczas gdy inne gromadzą tkankę tłuszczową od samego patrzenia na czekoladki na sklepowej wystawie. Annette ma pogodne usposobienie i szybko odzyskuje humor, choć przed chwilą wspominała tragedię. Jej głośny, serdeczny śmiech, kończący niemal każde zdanie, rozlega się w piekarni.

– Marlène nie przyjechała?

– Marlène nie ma już w moim życiu.

– Ach tak? – odpowiada kobieta z uśmiechem. – Nareszcie!

– *No comment*, Annette, wiem, że miałaś rację. To nie była kobieta dla mnie.

– Nie będę się przechwalać tym, że miałam rację, to nie w moim stylu, znasz mnie!

– Dokładnie!

W drodze powrotnej Ludovic idzie z przodu ze swoją grubą pajdą brioszki w ręczce. Co chwilę schyla się, podnosi z ziemi jakiś kamyk i chowa go do kieszeni. Wioska jest zupełnie pusta. Jak dotąd nie minął ich żaden samochód.

– Cicho tu – stwierdza dziewczyna.

– Poza sezonem. W połowie października są tu tylko stali mieszkańcy i paru wariatów, którzy przyjeżdżają posłuchać szumu fal. Wszystkie łodzie są zacumowane, okiennice zatrzęsnięte, ale atmosfera jest jeszcze cieplejsza.

– Wszyscy tu pana znają.

– Przyjeżdżam tu każdego lata od ponad trzydziestu lat.

– Nie znudziło się panu?

– Nigdy. Uwielbiam to miejsce. Być na plaży i mieć wrażenie, że stoi się u progu nieskończoności. A poza tym ludzie są uroczy.

– Tak, to od razu rzuca się w oczy. Sprzedawczyni w mojej piekarni nigdy nie poczęstowała by Lulu takim wielkim kawałkiem brioszki. Jak tak dalej pójdzie, w tydzień przytyje ze trzy kilo.

– Nie zaszkodzi mu to. Wygląda jak pisklę, które wypadło z gniazda. Ty też powinnaś spróbować. Jesteś strasznie chudzieńka.

– Już zaczynam się nie dopinać w spodniach. To efekt przedwczorajszej wizyty w restauracji.

– To dobrze. Bo jednak wyglądasz dosyć żałośnie.

– Myślałam, że się pan nade mną nie lituje. Choć wolę już wzbudzać litość, ale mieścić się w swoje spodnie.

– Kupimy ci rozmiar większe.

– Nie mam pieniędzy.

– Przestań w kółko mówić o pieniądzach.

– Kiedy wszystko się wokół nich kręci! W dzisiejszych czasach nie ma się niczego bez pieniędzy.

– Tego, co najważniejsze, nie da się kupić.

– Typowe gadki bogaczy! A co jest najważniejsze? Miłość, dobroć, szczęście? – denerwuje się Julie. – Wiem, do czego pan zmierza. Tylko ludzie, którym niczego nie brakuje, opowiadają, że pieniądze nie są ważne. Tymczasem jednak pieniądze są całkiem pomocne. Na przykład do tego, by kupić telefon i móc zadzwonić do koleżanki, kiedy ma się doła. Do tego, by od czasu do czasu zjeść coś dobrego, zamiast czołgać się przy najniższych półkach w supermarkecie, wybierając tylko najgorsze marki, ułożone tuż przy podłodze, tam gdzie nocą biegają karaluchy. Albo do tego, by kupić sobie coś modnego, gdy ma się ochotę, zamiast nosić ubrania sprzed dwóch sezonów, bo miłe panie, które śpią na kasie, były na tyle uprzejme, by oddać ciuchy, którymi się znudziły, do szmateksu za rogiem. Albo do tego, by odłożyć co nieco i powiedzieć sobie, że nie będzie tragedii, jeśli zerwie się pasek rozrządu, albo do tego...

– Przestań, rozumiem. Przykro mi. Ale przypominam ci, że powiedziałem, że twój pobyt tu jest w całości opłacony. *All inclusive*. W tym także spodnie, jeśli przybędzie ci nieco w udach.

– A ja przypominam, że mnie to krępuje.

– Ach, no tak, jesteś feministką.

– Nie, po prostu nie podoba mi się, że ktoś próbuje mnie kupić.

– Nie próbuję cię kupić. Wyrzuć w końcu z głowy ten pomysł! Kupuję rzeczy dla ciebie i twojego synka. To nie ma z tym nic wspólnego.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego zaproponował mi pan ten wyjazd.

– Nie musisz rozumieć. Nie jestem nawet pewien, czy jest tu cokolwiek do rozumienia. Znalazłaś się na mojej drodze, jak krzemień. A ja, człowiek z Cro-

Magnon, właśnie rozpaczliwie go szukałem, by rozpaść ogień przy drodze.

– Zupełnie nic z tego nie rozumiem.

– Rozgrzewasz mi serce.

– Nie bardzo wiem, w jaki sposób.

– Ja też nie wiem. Stwierdzam fakt, to wszystko. Czy musimy wszystko rozumieć?

– Zakochał się pan czy co?

– Nie martw się. Nie jestem typem faceta, który zaciągnie cię do pokoju hotelowego, żeby się chępić, że jest jeszcze w stanie przelecieć jakąś dwudziestoletnią panienkę. Masz w sobie jakiś blask. To wszystko. A ja potrzebowałem odrobiny światła w mroku swojej codzienności.

Julie zastanawia się, gdzie też on zobaczył to światło, skoro jej życie, pomijając synka, wydaje jej się jedną wielką szarością.

– Ale gdzie pan niby widzi to światło?

– W twoich oczach.

– Nie no, błagam, tylko nie to! To najbardziej prymitywny podryw, jaki znam, powiedzieć dziewczynie, że ma ładne oczy!

– Nie powiedziałem, że są ładne, tylko że bije z nich światło.

– Hmm...

– Co się nie wyklucza z tym, że są ładne.

– Aha, widzi pan?!...

– Pauline była trochę podobna do ciebie.

– Pauline?

– Moja pierwsza żona. Matka Jérôme'a.

– Była?

– Umarła, gdy miał trzy lata.

– Sądziłam, że pana porzuciła.

– Wiem.

– Na co umarła?

– Na raka sromu, chorobę, która praktycznie nie zdarza się w tak młodym wieku. A ją zabrała w trzy miesiące. Nic nie mogli zrobić. Poza okaleczeniem jej. Na darmo. Była moim małym promykiem słońca. Odkąd zgasła, nigdy już nie czułem ciepła. A tu od tygodnia znów zaczynam coś czuć w rdzeniu kręgowym, a może i w klatce piersiowej i w brzuchu. W koniuszkach palców. Małe iskierki, które zapalają się to tu, to tam i pozwalają uwierzyć, że mogę jeszcze poczuć ciepło w środku.

– A pana druga żona?

– Zimne światło. Przez trzydzieści lat z Marlène żyłem, jakby stojąc przed otwartą lodówką.

– Przynajmniej było jasno.

– Wręcz przeciwnie. Mam wrażenie, że przegapiłem trzydzieści lat życia i właśnie przebudziłem się ze złego snu.

– Ale przecież nikt was nie zmuszał do małżeństwa, prawda?

– Nie, ale byłem kompletnie zagubiony, z trzyletnim brzdącem. Spotkaliśmy się u wspólnych znajomych. Pomyślałem, że moglibyśmy dalej pójść razem. Że to byłoby dobre dla Jérôme'a.

– I było dobre?

– Nic o tym nie wiem. Ale nie sądzę, by zrobiła mu jakąś krzywdę.

– To już coś.

Po powrocie do domu wykładają zakupy na stół. Ludovic pomału kończy swoją bułkę i prosi o kubek mleka. Paul zaparza kawę, a Julie wyjmuje filiżanki i łyżeczki. Wtedy mały woła mamę, domagając się Baloo.

– Czego on od ciebie chce? – dziwi się Paul.

– Baloo. Uwielbia to, wprowadza nas to od rana w dobry humor.

– Ale co to takiego Baloo? – pyta Paul coraz bardziej zaintrygowany.  
– Pokażemy mu co to, Lulu? – pyta Julie, a synek energicznie kiwa głową.  
– Zaczynam się bać – mówi Paul z uśmiechem.  
– Nie ma powodu! Proszę się odwrócić, będzie pan drzewem. A jutro pan będzie Baloo.

– Kim jest Baloo?

– *Księga dżungli*. Baloo. Naprawdę, Paul, chyba przydałaby się powtórka z klasyki literatury. Niech się pan odwróci – rozkazuje tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Paul posłusznie odwraca się w stronę zlewu. I wtedy czuje, że Julie przykleja się do niego plecami i zaczyna śpiewać: „Już nie myśl o kłopotach swych i troski porzuć, dobrze żyj...”, ocierając się o niego, co w pierwszej chwili nieco go zaskakuje, ale również rozśmiesza. „Jak miś od dziś ze smutków głośno drwij...” – ciągnie dziewczyna, ocierając się o niego energicznie. W tej chwili do kuchni wchodzi Jérôme i przygląda im się z poirytowaniem. Julie go spostrzega, ale nie przestaje śpiewać. Paul śmieje się głośno. Potem, odwracając się, zauważa Jérôme’a.

– Och, jesteś tu? – stwierdza, próbując odzyskać powagę.

– Tak, jestem tu. Już? Skończyliście swoje popisy?

– Też powinieneś spróbować. Człowiek lepiej się po tym czuje.

– Ależ oczywiście – odpowiada cynicznie.

– Dobrze spałeś?

– W porządku – odpowiada mężczyzna cicho, nie patrząc na nikogo.

Reszta śniadania upływa w rytm nieustannie powtarzających się próśb dziecka, żeby pójść nad morze. Julie w pośpiechu kończy kawę, by spełnić to żądanie, tym bardziej że sama o niczym innym nie marzy, odkąd otworzyła oczy tego ranka. Chwilę później, trzymając Ludovica na barana, wychodzi z domu



w stronę plaży.

Paul kończy kawę z uśmiechem na ustach, patrząc, jak biegają po piasku.

– Co ci zrobiła ta dziewczyna, że patrzysz na nią z taką błogą radością na twarzy? – pyta ojca Jérôme.

– Wyglądam na uradowanego?

– Chcesz lusterko?

– No i co? – odpowiada Paul.

– No i nic. To mnie martwi.

– Martwi cię widok szczęśliwego ojca?

– Martwi mnie widok tego, co go uszczęśliwia.

– Ja się martwię, widząc, że mój syn jest nieszczęśliwy.

– Mam ku temu dobry powód.

– Ja też mam dobry powód. I wierz mi, lepiej mieć dobre powody do szczęścia niż do bycia nieszczęśliwym.

– Skoro tak mówisz. Co na dziś zaplanowałeś?

– Zabiorę ich na zakupy do Quiberon, trzeba napęłnić szafki. A ty?

– Pospaceruję po plaży. Może trochę poczytam. Mam sporo artykułów medycznych do nadrobienia.

– Opuść sobie to wszystko. Zrób prawdziwą przerwę. Pożycz od Julie kryminał. Mówiła, że jest świetny.

Julie stanęła tuż przy brzegu. Zdjęła buty i skarpetki. Ludovic chciał zrobić to samo. Woda jest lodowata, trudno, najwyżej się rozchorują. Ale dzień jest ciepły, a chęć brodzenia w wodzie niepohamowana. Zaraz potem dokładnie się wytrą, jeśli trzeba, włożą po trzy pary skarpet i otulą się kocem. Teraz jest czas chodzenia po mokrym piasku i skakania przez fale, które podchodzą do stóp. Ludovic zbiera muszelki. Julie rysuje serca na pisaku, kreśli napisy „Lulu” we wszelkich rozmiarach, które natychmiast znikają, zmywane przez fale. Fascynują

ją te nieustanne spotkania morza z lądem. Jutro rano przyjdzie tu pobiegać. Dobrze, że zabrała ze sobą tenisówki. Podłoże jest doskonałe. O wschodzie słońca wrażenia muszą być cudowne.

Przez to wszystko Julie niemal zapomina o wielkich zakupowych planach Paula, który zamierza wypełnić szafki żywnością na cały pobyt. Przekonuje Lulu, by wracali, obiecując, że kupi mu wiaderko i łopatkę, a może nawet wywrotkę do zabawy w piasku, jeśli w październiku można jeszcze znaleźć podobne artykuły w supermarketach.

Terenówka odjeżdża, zostawiając Jérôme'a siedzącego w kuchni z nieobecny wzrokiem utkwionym w przestrzeń, zasłuchanego w szum fal. Irène jest tu, blisko. Pojawia się w ciągu dnia, by zniknąć, kiedy próbuje się do niej zbliżyć. Irène była smutna, ale słodka i dobra. Irène była nieszczęśliwa, ale pełna czułości. Uwielbiał brać ją w ramiona, czuć, jak się w niego wtula. Potrafił ją pocieszyć i za każdym razem miał nadzieję, że wkracza na ścieżkę prowadzącą w górę i wespnie się nią krok po kroku. Ale nie, zawsze uporczywie zsuwała się w dół, jakby ścieżka pokryta była lodem. Na darmo posypywał ją solą...

Mija już jedenasta trzydzieści. Jérôme zamierza posprzątać ze stołu, kiedy jego telefon dzwoni. Uśmiecha się delikatnie, widząc wyświetlające się na ekranie komórki imię.

– Dzień dobry, Caroline. Przypadek zatorowości płucnej zdarzył się wcześniej, niż przewidywaliśmy?

– Wciąż nie jest pan zabawny. Proszę przestać z tą zatorowością, bo jeszcze pan wykracze i sprowadzi na mnie pecha.

– Przyciągam pecha jak magnes, dla innych niewiele już zostaje.

– I tu się pan myli. Z pechem jest jak z głupotą ludzką. Jego zasoby są niewyczerpane.

– Pani pozytywne nastawienie do świata jest niemal zaraźliwe.

– Widział się pan ostatnio? – odparowuje Caroline.

– Dzwoni pani do mnie tylko po to, by obdarzyć mnie kilkoma komplementami, tak?

– Nie. Dzwonię w sprawie pani Paquin. Nie wiem, co z nią zrobić. Mówi, że boli ją brzuch, ale nie wyczuwam niczego niepokojącego w badaniu. Bez większego przekonania zleciłam jej morfologię i prześwietlenie.

– Pani intuicja jest słuszna. Badanie krwi i prześwietlenie niczego nie wykażą.

– Dlaczego nic mi pan o niej nie powiedział?

– By nie odebrać jej przyjemności przetestowania nowej lekarki.

– To jakiś żart?

– Nie, nieszczęśliwa kobieta.

– I co mam z nią zrobić? Powiedziała, że wróci dziś z wynikami.

– Niech jej pani wysłucha.

– I tyle?

– To już dużo. To jej historia jest przyczyną bólu brzucha, opowiadanie działa jak środek przeciwbólowy. Dlatego lubi przychodzić na wizyty do lekarek na zastępstwie. Ja wiem już wszystko, więc to nie działa tak jak zwierzenie się komuś, kto po raz pierwszy słyszy o jej przeżyciach. Jednak proszę nie wchodzić w to zbyt głęboko. Empatia to podać rękę komuś, kto wpadł do dołu, a nie wskoczyć tam za nim, by wyszedł po twoich plecach.

– Dlaczego pan mi to mówi?

– Bo jest pani typem, który wskakuje do dołu.

– Nie zbliżę się nawet do krawędzi.

– Cóż, trzeba się jednak nieco zbliżyć. Inaczej nie ma sensu w ogóle słuchać. Ale proszę się mocno trzymać krawędzi, żeby nie spaść.

– Zaczynam się niepokoić.

– Sama pani zobaczy. Będzie dobrze.

– Okej! Nie przeszkadzam dłużej. Jak tam pogoda? Jest ładnie?

- Wewnątrz czy na zewnątrz?
- Jedno i drugie.
- Na zewnątrz słońce, w środku pada.
- Więc niech pan wyjdzie zaczerpnąć świeżego powietrza! – mówi tonem oczywistości, rozłączając się z trzaskiem.

Nieprawdopodobne trio wraca wczesnym popołudniem. Ludovic zasnął w samochodzie. Paul parkuje w głębi podjazdu, za domem, tuż przy plaży, aby mieć na niego oko, siedząc na tarasie. O tej porze dnia promienie słońca przyjemnie go grzeją. Wypakują zakupy, kiedy mały skończy drzemkę, żeby nie zbudziło go trzaskanie drzwiami. Za tańczącymi na wietrze trawami Paul dostrzega syna siedzącego na leżaku na samym środku opustoszałej plaży. Sugeruje Julie, by zaniósła mu powieść, którą właśnie skończyła, myśląc sobie, że może to być pomocne w przełamywaniu lodów. Dziewczyna rusza na plażę, prawdopodobnie myśląc to samo.

Jérôme nie słyszy, kiedy kobieta nadchodzi. Przysypia, ukołyszany szumem fal. Julie chrząka, obawiając się, że go przestraszy.

- Ach, to pani! Nie słyszałem kroków – mówi, podnosząc się.
- Przyniosłam panu kryminał – spieszy z wyjaśnieniem Julie, jakby chciała się usprawiedliwić, jednocześnie podając mu książkę.
- To mój ojciec panią przysłał?
- Trudno udawać, że nie.
- Dobry jest? – pyta Jérôme.
- Pana ojciec?
- Nie, kryminał.
- Tak. Bardzo dobry.
- A ojciec?
- Tak samo.

- Czego pani od niego oczekuje? – ciągnie Jérôme.
- Od kryminału?
- Nie, od mojego ojca – mówi poirytowany.
- Ja? Niczego? To on do mnie przyszedł! To jego trzeba spytać, czego oczekuje ode mnie.
- Ostrzegam, nie pozwolę, by zawróciła mu pani w głowie. To nie jest kurczak, którego można oskubać.
- To byłby wielki kurczak. Jakieś osiemdziesiąt kilogramów, co najmniej. Nie sprawdzałam, ale z piersi nie wyrastają mu pióra. Stawiałabym raczej na włosy.
- Skończyła pani? – wścieka się Jérôme.
- Zrobiłam panu coś?
- Nie.
- Więc dlaczego tak pan na mnie naskakuje?
- Bo pani nie ufam.
- Dlaczego?
- Bo wygląda pani na osobę, która potrafi wykorzystać nadarzącą się okazję.
- Powinien pan raczej nie ufać pozorom, które każą panu szufladkować ludzi. Lepiej by pan zrobił, patrząc im prosto w twarz – mówi, odwracając się na pięcie.
- Odchodząc w taki sposób, pokazuje mi pani coś zupełnie innego niż twarz! – krzyczy za nią. – Swój tyłek – dodaje cicho, patrząc na oddalającą się dziewczynę.

Julie cieszy się przywilejem młodości i pięknymi kształtami, a Jérôme może bezkarnie obserwować, jak dziewczyna kołysze biodrami, zanurzając stopy w piasku. I stwierdzić, że mężczyzna ma zdecydowanie nieodpartą potrzebę

skupiania wzroku na tej strefie ciała kobiety, jakby jego prymitywny mózg nakazywał mu sprawdzać przy każdym spotkaniu, czy z tą osobą da się zapewnić przetrwanie gatunku. Czy nie. Człowiek pierwotny pewnie by spróbował. Człowiek myślący raczej nie. A Jérôme jest przede wszystkim człowiekiem myślącym.

Ponieważ nie ma nic innego do roboty, a dziewczyna przyszła specjalnie, by mu ją przynieść, Jérôme otwiera książkę i zaczyna czytać.

Kiedy wróciwszy z plaży późnym popołudniem, Jérôme wchodzi do kuchni, czuje apetyczny zapach. Widzi, że ojciec siedzi na podłodze w salonie i gra z chłopcem w *Memory*. Wygląda na to, że mały o wiele sprawniej zapamiętuje pary zwierząt niż jego starszy o pół wieku przeciwnik.

Jérôme o mało nie przyznaje, że zapach wydobywający się z patelni jest bardzo przyjemny, ale to byłby komplement dla Julie. Siada więc bez słowa w fotelu przy kominku i próbuje zmierzyć się z kompetencjami neurologicznymi dziecka, tak by nikt nie zauważył.

Czuje jakiś spokój. Jak w jesienne niedzielne popołudnie z rodziną. Jednak już po chwili znów jest zdołowany, bo myśli o Irène i o wszystkich tych niedzielnych popołudniach, których nie spędzą już razem. Wraca do lektury, woli zanurzyć się w cudzej historii niż roztrząsać własną.

Julie siada obok synka. Paul jest całkowicie wyczerpany walką, by nie stracić twarzy, przez trzy kolejne partie gry. Walką bezskuteczną. Teraz młoda kobieta zajmuje miejsce naprzeciw małego geniusza. Jérôme zerka ukradkiem nad książki. Obserwuje Julie grającą z synem. Jak daleko sięga pamięcią, nie ma z dzieciństwa takich wspomnień wspólnych gier. Julie jest uważna, skupiona, skuteczna i Ludovic przegrywa partię. Zamiast wybuchnąć płaczem, jak wiele zepsutych dzieci, uśmiecha się do mamy i prosi o kolejne rozdanie. Jednak jego mama ogłasza, że czas usiąść do stołu.

Jérôme bierze drugą dokładkę, bez słowa. To Paul pyta:

– Gdzie nauczyłaś się tak gotować?

– Od mamy. Byłam jedynaczką. Mama wychowywała mnie bardzo tradycyjnie, przekazała mi takie wartości. Lubię to. Kiedy mogę to robić.

– A dlaczego miałybyś nie móc?

– Trzeba mieć dobre składniki, żeby dobrze gotować.

– Masz ich wystarczająco do końca pobytu?

– Nie chcecie chyba codziennie zamykać mnie w kuchni? – buntuje się Julie. – Jestem jednak odrobinę feministką. Bez karty płatniczej, ale jednak. Będziemy się zmieniać po kolei?

– Ja się zgadzam – odpowiada Paul. – A ty, Jérôme?

– Zaproszę was do McDonalda, jak przyjdzie moja kolej.

– Uważam, że to pójdzie na łatwiznę – rzuca wyzywająco Julie.

– Okej! Ugotuję coś, ale skończy się to tak, że następną kolejkę sami będziecie chcieli wziąć za mnie.

– Paul, pobiega pan ze mną jutro rano? – ciągnie Julie.

– Ja? Biegać? Przyjrzałaś mi się? Z moim brzuchem i trzęsącymi się kolanami?

– Trudno, pójdę sama. O szóstej rano nie kręci się tu chyba zbyt wielu włóczęgów? – niepokoii się dziewczyna.

– Jérôme, ty powinienes z nią pójść, dobrze ci to zrobi. Tak dawno już nie biegałeś.

– I czekać na nią co dwieście metrów... – mruczy pogardliwie Jérôme.

– Chciałabym to zobaczyć – rzuca Julie.

– Jutro rano o wpół do szóstej przed domem. Jeśli będę musiał czekać choćby dwie minuty, bierze pani moje dyżury w kuchni.

– Zgoda! A jeśli będzie odwrotnie, bierze pan moje?

- Nie mam najmniejszych obaw.
- Moja mamusia sybko biega – wtrąca Lulu.
- Twoja mamusia z pewnością nie biega tak szybko jak ja.
- Dlaczego? – pyta niewinnie dziecko.
- Bo... no bo...
- Pewnie dlatego, że jestem kobietą – odpowiada Julie. – Porozmawiamy o tym jutro.
- No właśnie – kończy Jérôme, wstając, by posprzątać ze stołu, i posyłając jej sarkastyczny uśmieszek.
- Jesteś bjokuł! – rzuca Lulu młodemu mężczyźnie.
- Co takiego?
- Brokuł – wyjaśnia Julie.
- Nazwał mnie brokułem? – śmieje się Jérôme.
- Na pana miejscu bym się tak nie cieszyła, w ustach Lulu to najgorsza obelga!
- Brokuł, najgorsza obelga? – powątpiewa Jérôme. – Jak to?
- On nie znosi brokułów.
- Jeśli już skończycie się przekomarzać jak dzieci, to dajcie nam znać – oznajmia Paul spokojnie, biorąc Lulu na ręce. – Chodź tu do mnie! Czeka cię rewanżowa partia *Memory*! Jérôme, ona ugotowała, ty pozmywaj!
- Tak jest, tato! – odpowiada z grymasem niezadowolenia.
- Ja idę pod prysznic – oznajmia Julie, patrząc na Jérôme'a z takim samym ironicznym uśmiechem.

Jérôme kończy zmywać naczynia, gdy jego komórka znów dzwoni.

- Nie, Caroline, nie będę już wspominał o zatorowości płucnej.
- Może dzięki temu nie sprowadzi pan na mnie pecha. Nie przeszkadzam?



- Nie, zmywałem naczynia.
- A więc proszę mi podziękować.
- I tak będę musiał skończyć, gdy się rozłączymy... A więc co tam?
- A więc chciałam tylko powiedzieć, że nie wskoczyłam do dziury.
- To dobrze.
- Ale łatwo nie było.
- Wiem. Pomogła jej pani?
- Uścisnęła mi dłoń, uśmiechając się szeroko. I trochę mniej bolał ją brzuch.
- A więc pomogła jej pani. Pani Paquin była przewidziana na drugi dzień. Jutro spotka pani zapewne Alfreda Maula. Proszę na niego uważać. Przychodzi wyłącznie wtedy, gdy jest młoda lekarka na zastępstwie, jeśli pani rozumie, co chcę powiedzieć.
- Zaczynam się bać.
- Ach, nie trzeba, wie pani, w jego wieku nie ma się już tego wigoru.
- Jutro już nie zadzwonię.
- Będzie mi tego brakowało.
- Ależ nie!
- Nie, rzeczywiście, ma pani rację. Ale to nie z pani powodu. Po prostu naprawdę chciałbym się oderwać od pracy.
- Rozumiem. W takim razie ustalamy, że zadzwonię tylko w przypadku ostrej zatorowości płucnej.
- Czyżby zaczynała pani żartować, Caroline?

*Lulu właśnie zasnął, a ja spróbuję zrobić to samo. Jutro rano muszę być w formie. Jeszcze tego brakuje, żebym przegrała zakład. Muszę udowodnić Lulu, że nie jestem słabsza i skazana na porażkę tylko dlatego, że jestem kobietą. Chcę, by zrozumiał, że kobiety są równe mężczyznom. Kiedy dorośnie, nie będzie wysyłał swojej żony do garów, zasiadając z gazetą na kanapie. Naoglądałam się, jak mama urabia sobie ręce po łokcie w kuchni, bez słowa skargi.*

*Wiem, że Jérôme na mnie nie zaczeka.*

*A ja nie dam po sobie poznać, że nie daję rady, nawet gdy będzie bolało.*

*Ależ by się cieszył.*

*To, że jest się smutnym, nie znaczy, że musi się być przy tym opryskliwym i nieprzyjemnym.*

*Dostanie nauczkę, jak przegra wyścig, straci twarz i będzie musiał za mnie gotować.*

# KRAINA DZIECIŃSTWA

Szósta dwadzieścia.

Julie biega truchtem w tę i z powrotem przed domem. Od strony wioski wschodzi już słońce. Skraj oceanu, tam gdzie horyzont wyraźnie się zaokrągla, pogrążony jest jeszcze w mroku.

Morze jest spokojne.

Dziewczyna wręcz przeciwnie.

Czuje, że rozpiera ją energia. Skąd bierze się w niej ta siła, gdy chodzi o rywalizację z mężczyzną, zwłaszcza takim, który jest nieco mizoginiczny? Prawdopodobnie jeszcze z okresu dorastania. Od tamtej pory walczy i stawia opór, jak tylko może. Kiedy może. Z Chassonem nie może. Nie ma środków, bo tu chodzi o pieniądze. Ale dziś rano, z Jérôme'em, z radością da z siebie wszystko. Nie zna jego sportowych możliwości, ale instynkt jej podpowiada, że będzie dobrze. Będzie silniejsza. Przynajmniej dla Lulu. I troszkę też dla samej siebie.

Młody mężczyzna przychodzi kilka minut później, siada na krawężniku, by zawiązać buty.

– Którędy biegniemy? – pyta Julie.

– Plażą na południe. Później drogą wzdłuż wybrzeża i znów na plażę. Czuje się pani na siłach?

– Na pewno bardziej niż pan. Nie wlałam w siebie połowy butelki whisky wczoraj wieczorem.

- To nie przeszkodzi mi wygrać.
- Chce się pan trochę rozgrzać?
- Nie trzeba.

Julie rusza, nie czekając nawet, aż Jérôme wstanie. Wybiera ścieżkę między wydymami, a później małymi kroczkami przebiega po mokrym piasku. Kiedy przyspiesza, zdaje sobie sprawę, że Jérôme ją dogania. Kilka minut później jest już przed nią. Od tej pory Julie biegnie nieco z tyłu. Nie trzeba upokarzać go zbyt wcześnie, to byłoby w złym guście i nie zdałoby się na nic. Po kwadransie dziewczyna zauważa, że jej partner jest u kresu sił. Wygląda na to, że dostaje zadyszki. Ona tymczasem doskonale kontroluje oddech.

- Często pan biega? – pyta z łatwością.
- Ja... uff... kiedyś trochę... ale już dawno nie... uff... a pani?
- Dwa razy w tygodniu, biegam od zawsze.

*Zoła, nie zająknęła się o tym ani słowem!*

Julie jest w stanie spokojnie prowadzić rozmowę, on nie. Jednak dziewczyna woli zamilknąć, by oszczędzać siły. Aby nie ryzykować przegranej. Choć ryzyko to oddala się z prędkością ich biegu. Podziwia więc cudowny krajobraz. Ten ocean, który miarowo rozbija fale o skały, niczym widzowie bijący brawo, dopingując tę małą, która tak się stara, stawiając jedną stopę przed drugą, udowodnić przed Jérôme'em i przed całym światem, że ona też ma swoje miejsce między ludźmi i rolę do odegrania, może niewielką, ale własną.

Pół godziny później pętla na drodze się kończy, a przed ich oczami znów rozciąga się plaża. Julie nieznacznie przyspiesza, by sprawdzić, czy jej przeciwnik jest już ugotowany. I rzeczywiście, słania się na nogach. Dziewczyna stopniowo wydłuża krok, biegnąc po wilgotnym piasku. To radosne uczucie, które wyobrażała sobie wczoraj, właśnie ją ogarnia. Bieganie po plaży. Prawie muskają ją wślizgujące się na piasek, zaczepne fale. W dali widać już dom. Julie odwraca głowę. Jérôme też jest daleko. Dziewczyna biegnie z uśmiechem na ustach. No

dobra, pomoże mu w tym gotowaniu. Bo taka już jest. Nie wywyższa się, nie pogardza innymi. Jest prosta. Choć teraz rozkoszuje się smakiem zwycięstwa. Będąc jakieś sto metrów od małego domu, spostrzega Paula stojącego na tarasie, trzymającego na rękach Ludovica okrytego kocymkiem. Mały kibicuje jej, wymachując rękami.

Paul wie, że nie trzeba zbytnio drażnić Jérôme'a. Prowokowanie go może się skończyć źle. Lepiej poczekać, aż przetrawi swoją porażkę i będzie w stanie się do niej przyznać. Jednak jest też pewien, że wyjdzie mu to na dobre.

Szacunek, mała!

– Niewiele trzeba do szczęścia, co? – rzuca Paul.

– Naprawdę niewiele... uff... do szczęścia – odpowiada jednak trochę zziębnięta Julie, wbiegając na taras.

– Ta mała kropka, która porusza się tam daleko w głębi plaży, to on?

– Jeszcze się porusza?

– Niedobra kobieto!

– Pójdę po świeży chleb, będzie potrzebował porządnej kromki z grubą warstwą nutelli, żeby się po tym pozbierać. Biorę pana portfel.

– Kup też brioszkę dla Lulu.

– Nie będzie mnie stać, by po powrocie kupować mu je codziennie.

– Zrozumię, że wakacje różnią się od codzienności.

Kiedy Julie wraca z pieczywem, Jérôme siedzi przy kuchennym stole ze szklanką soku pomarańczowego. Nie raczy nawet podnieść na nią wzroku. Zaciśnięte szczęki niemal zgrzytają. Paul puszcza do niej oko, kiedy dziewczyna posyła mu pytające spojrzenie.

*Przejdzie mu...*

Jérôme nagle bez słowa wychodzi z pokoju i idzie na plażę. Pojawiły się

pierwsze promienie słońca. Julie zostawia Lulu w połowie briozki z ciepłym mlekiem pod opieką Paula. Jakaś siła pcha ją do tego, by poszła za tym mężczyzną na plażę. Nie rozumiejąc dlaczego. Podąża za swoim instynktem. Usiadł na piasku w pół drogi między wysokimi trawami i wodą. Objął ramionami kolana. Wpatruje się w ocean. Jego ciało jest napięte. Julie widzi to już z daleka. Jakby chciał się odizolować za niewidzialnym ogrodzeniem, w którym Julie szuka teraz furtki. Siada obok niego bez słowa. Patrzy na przybliżanie się i oddalanie fal w ich nieustającym balecie. Upływają długie minuty, przerywane tylko falowaniem wody i krzykiem mew na przystani, nieco dalej na północ.

W końcu Julie bierze jego rękę w swoje dwie dłonie i mówi cicho:

– Czasami życie jest ciężkie i czasami nic nie możemy na to poradzić.

Jérôme bierze głęboki wdech i rzuca się dziewczynie w ramiona, wybuchając płaczem. Płacze długo. Paul, stojąc w kuchennym oknie, wzdycha z uśmiechem. Wreszcie tu jest, ten smutek, który gryzie go od tyłu miesiący. Wreszcie odważył się wyjść ze swej kryjówki, niezbyt dumny z tego, że chował się za pozorami. Pokaż się, cholerny smutku, żebyśmy mogli złoić ci skórę. Rozpuść się w słonej wodzie łez, by rozpuścić się w morskich głębinach. Julie przytula go mocno do siebie i kołysze tak samo jak Ludovica, kiedy ten ma jakiś kłopot. Czy można porównać smutek trzylatka, który właśnie zepsuł swoją ulubioną zabawkę, i smutek mężczyzny, który właśnie stracił ukochaną żonę? Kto wie?

Mieszanka potu i łez. Nie obchodzi ich, czy źle pachną po porannym bieganiu. Teraz liczy się tylko to, by znaleźć pocieszenie. Reszta jest nieważna.

Po ponad półgodzinie szlochów i ciszy Julie w końcu udaje się doprowadzić go do domu. Jérôme idzie pod prysznic, by woda zmyła pot i złagodziła obrzęk powiek opuchniętych od łez. Wraca kilka minut później z ręcznikiem na szyi. Dziewczyna przygotowała kawę i talerz kanapek z grubą warstwą nutelli. Skoro

słodycz uspokaja nowo narodzonych, powinna też zadziałać na zgnębionych, bez względu na wiek. Tak naprawdę nigdy nie opuszczamy do końca krainy dzieciństwa.

Paul zabrał małego na spacer do wsi, aby dać Jérôme'owi chwilę na złapanie oddechu. Julie zamyka się w łazience, pozwalając mu delectować się tą chwilą samotności w towarzystwie czekoladowych kanapek, na wypadek gdyby chciał po kryjomu wylizać słoik. Choć Julie ma nadzieję, że zostawi trochę kremu na jutro. Ona też nie opuściła do końca krainy dzieciństwa.

Po południu jest cudowna pogoda, ten wspaniały czas, kiedy jedni puszczają latawce na plaży, a inni moczą stopy w morzu. Radosne krzyki bawiących się dzieci niosą się ponad falami. To pierwszy raz, kiedy Jérôme spędza czas razem z nimi. Idzie nieco z przodu, po tym jak Julie i Paul zatrzymali się, by pokazać Lulu kraba. Jednak mały szybko zmienia obiekt swego zainteresowania i puszcza się truchtem za mężczyzną, który idzie dziesięć metrów z przodu. Dogoniwszy go, chwyta go za rękę. Jérôme podskakuje zaskoczony tym przypiływem czułości, po czym akceptuje pięć maleńkich paluszków w swojej zimnej dłoni.

– Ciemu nigdy nie żajtujeś? – pyta Lulu po chwili.

– Bo jestem smutny.

– Ciemu jesteś smutny?

– Bo moja żona umarła.

– Ciemu umajła?

– Ech... bo była smutna.

– Więc ty też umrześ?

– Ja... nie, niekoniecznie!

– No to ciemu nigdy się nie uśmiechaś, skojo nie umrześ?

Jérôme patrzy wtedy na chłopca i uśmiecha się do niego. Czasami życie jest takie proste. Bierze go pod pachy, unosi w górę i sadza sobie na ramionach.

Dziecko nie może już tego dostrzec, ale na twarzy Jérôme'a wciąż jaśniej uśmiech, jakby wreszcie pozwolił sobie na radość, po porannych łzach.

Wtedy mały zaczyna kaszleć.

– Jesteś chory?

– Nie, po prostu połknąłem kataj...

Jest ta cudowna pogoda, ten wspaniały czas, kiedy jedni puszczaają latawce na plaży, a inni moczą stopy w morzu. Radosne krzyki bawiących się dzieci niosą się ponad falami. A potem jest też trochę spokoju serca, teraz, gdy smutek, odchodząc, zrobił nieco miejsca dla całej reszty.



*W czasach czarownic łyzy mężczyzny musiały być bardzo poszukiwane. To rzadkość, niczym jad ropuchy. Co mogły z nich zrobić, tego nie wiem. Elikser czyniący ludzi bardziej uprzejmymi? Bardziej ludzkimi? Mniej zamkniętymi w sobie? Albo mniej owłosionymi?*

*Oni wszyscy połykają łyzy nawet w najstraszniejszych chwilach swego życia, by udowodnić swoją męskość. Jakby to cokolwiek zmieniało. A łyzy są dobre. Oczyszczają umysł, niczym wysokociśnieniowa maszyna wypłukująca smutek i żal. A więc skąd wzięli ten dziwaczny pomysł, że jeśli masz jaja, to nie wolno ci płakać?*

*Dziś rano, nie wiem, czy to zmęczenie, czy wypity zeszłego wieczoru alkohol, czy porażka w bieganiu, czy też to wszystko naraz spowodowało ten potop, ale wiem, że kilka godzin później uśmiechał się. Tym prostym i szczerym uśmiechem, który zwiastuje nadchodzący spokój.*

*Na szczęście wiedziałam, że przygniata go ciężar strasznej tragedii, inaczej mogłabym pomyśleć, że płacze nad swoją porażką niczym rozpieszczony bachor, który nie wylosował głównej nagrody na loterii. A ponieważ nie jestem z tych, którzy oszukują, by dać innym wygrać...*

*Jeszcze dziesięć dni temu to ja uroniłam łzę przy kasie, a potem nieznany facet położył swoje zakupy na taśmie, zaprosił mnie do restauracji i na wakacje do Bretanii, a teraz dziękuje mi, że doprowadziłam jego syna do łez.*

*Szalona historia!*

*Nic nie wskazuje na to, by stanowili część rozległej siatki przemytników handlujących żywym towarem. Ich więź wydaje się za to całkiem szczerą.*

*A ja jeszcze nigdy nie wydałam tylu pieniędzy, które nie są moje. Muszę uważać, bo zaczyna mi się to podobać. Chociaż od trzech lat tak uważnie liczę każdy grosz, że łatwo się od tego nie odzwyczaję. A poza tym przestań marzyć, Julie, to nie potrwa długo. Trzy tygodnie wakacji, a potem znów*

*czeka na ciebie twoja kasa. Twoi zrzędlivi, zniecierpliwieni klienci, podły szef, wredne koleżanki, twoje gówniane życie...*

*A więc korzystaj. Jest tu mały trzyletni chłopiec, w którego oczach migoczą gwiazdy, kiedy patrzy na morze. A to jest coś, czym można się zachłysnąć...*

*To się przeżywa bez zastanowienia.*

*Wieczorem powiedział mi: „Kocham cię”. Odpowiedziałam: „Ja też cię kocham”. Później dodał: „A więc kochamy się obydwój, mamusiu”.*

*Tak, mój Lulu, kochamy się obydwój...*

## W KONIUSZKACH PALCÓW

Jérôme wstał o świcie. Poprzedniego wieczoru nie musiał pić, żeby zasnąć. Małe zwycięstwo. Wkłada tenisówki i idzie w kierunku plaży. Potrzebuje odrobiny treningu, zanim znów rzuci wyzwanie tej małolacie, która wczoraj tak go upokorzyła, udowadniając mu, że stał się wrakiem, który co prawda jest jeszcze zdolny wstać rano z łóżka, ale zupełnie zapomniał, po co to robi. Oto jeden z powodów i dodatkowa motywacja. Odzyskać formę. Udowodnić jej, że pod tą maską jest jeszcze całkiem sprawny silnik. Może sobie mieć zgrabne pośladki, na które miło się patrzy, biegnąc z tyłu, ale zanim wróca do Alzacji, zamierza biec co najmniej obok niej.

Julie patrzy na niego przez okno. Wkłada spodnie i zamyka drzwi najciszej, jak potrafi, żeby nie zbudzić małego, który jeszcze śpi. Stara się nie robić hałasu, przygotowując śniadanie. Na dnie słoika zostało trochę nutelli. Zanurza w nim małą łyżeczkę i delektuje się krótką chwilą przyjemności, na jaką pozwoliła sobie ostatnio w zeszłe Boże Narodzenie. Co rok kupuje sobie słoik. Mogłaby kupować go co tydzień, gdyby tamtego wieczoru nie piła i nie uległa słodkim oczom, które robił do niej chłopak z drugiego końca sali w garażu, gdzie odbywały się zdecydowanie za bardzo zakrapiane urodziny, gdyby mogła kontynuować naukę i zostać biologiem molekularnym, tak jak planowała. Jej nauczyciel z klasy maturalnej poruszył niebo i ziemię, żeby mogła pójść na studia, załatwił nawet kwestię wpisowego. Ale co z całą resztą? Zatrzymała się więc na maturze z wyróżnieniem z przedmiotów ścisłych. Umiejętność liczenia

całkiem się przydaje, gdy jest się kasjerką. Ale nikogo nie obchodzą twoje świetne stopnie na maturze i to, kim chciałaś zostać.

Piątki z przedmiotów ścisłych nie wystarczą, by kupić sobie nutellę.

Mogłaby kupić sobie całą paletę nutelli, gdyby skończyła studia.

Ale wtedy nie byłoby Lulu.

Sam w sobie jest jej spełnionym marzeniem o biologii molekularnej.

A więc?

Jérôme wrócił zdyszany, spocony, ale trochę bardziej otwarty na innych niż w poprzednich dniach. Zastrzyk endorfiny pomaga spojrzeć na życie z innej perspektywy i nieco rozluźnić skrzywioną bólem twarz. Paul poszedł po chleb z Ludovikiem. Chrupiąca bagietka każdego ranka jest tak dobra jak nutella. Łatwo się do niej przyzwyczaić. A co dopiero do jednego i drugiego...

Jérôme poszedł pod prysznic. Julie przegląda lokalną gazetę przy kuchennym stole. Kiedy zgłębia różnorodne wydarzenia i wypadki, leżący na stole telefon lekarza najpierw zaczyna wibrować, a potem dzwonić. Julie nie odbiera. Nie jest jego sekretarką! Na ekranie wyświetla się „Gabinet”.

*Co za pijawka z tej lekarki!*

Komórka cichnie, lecz po kilku sekundach znów dzwoni. Ten sam nadawca. Julie odbiera, to może być coś poważnego.

– Halo?

– Halo, mam wypadnięcie pępowiny! Co mam robić!? CO MAM ROBIĆ!? – krzyczy przerażony głos.

– Zaraz dam pani Jérôme’a – mówi Julie, zrywając się z krzesła i biegnąc w stronę łazienki.

Mężczyzna właśnie zakręcił wodę. Julie nie dba o to, czy będzie ubrany, czy nagi. Wparowuje do łazienki bez ostrzeżenia, czując, że sytuacja jest pilna. Nie zna terminu użytego przez lekarzkę, ale potrafi poznać panikę w głosie.

– To Caroline, mówi, że ma opadnięcie pępowiny... – wyjaśnia Julie, podając mu telefon.

Jérôme chwytą komórkę, a drugą ręką łapie ręcznik i przeciera nim twarz i włosy, żeby woda nie skapywała na aparat. Reszta jest nieistotna.

– Kto to? Jak to się stało?

– To pani Humbert. Przyszła z powodu nocnych skurczów. Zbadałam ją, miała rozwartą szyjkę macicy i nabrzmiąły pęcherz płodowy, a dziecko było bardzo wysoko, w położeniu pośladkowym. Ledwie go musnęłam, a pęcherz pękł i poczułam w palcach sznur pępowinowy.

Odwracając się, Jérôme spostrzega, że Julie podaje mu szlafrok ojca, patrząc mu prosto w oczy, by nie zerkać niżej. Zanurza rękę w rękawie, przekłada komórkę w drugą dłoń i włożywszy szlafrok, staje przed kuchennym oknem wychodzącym na morze. Pozwala, by wzrok błędził w przestrzeni, co pomaga w maksymalnej koncentracji.

– I co pani zrobiła?

– Nawet nie poruszyłam palcami. Odpycham pośladki dziecka tak wysoko, jak to możliwe, i zadzwoniłam po pogotowie. Już jadą.

– To dobrze. Proszę nie przestawać. Szczęście chociaż, że było w pozycji pośladkowej.

Jérôme czuje dwie dłonie oplatające go w talii i związujące mu z przodu pasek od szlafroka. Delikatny dreszcz przebiega mu po kręgosłupie. Dziękuje ruchem dłoni.

– Miną wieki, zanim karetka tu dojedzie – niepokoje się młoda kobieta, a jej głos coraz bardziej drży.

– Zaraz będą. Czy czuje pani tętno w sznurze pępowinowym?

– Tak.

– Jakie?

– Sto trzydzieści, sto czterdzieści.

– Doskonale. Proszę powiedzieć mężowi pacjentki, żeby napisał na kartce „Nagły wypadek. Wrócę po południu” i przykleił ją taśmą na drzwiach gabinetu.

Caroline oddała na chwilę telefon od ust, by wydać polecenia mężowi pacjentki.

– Co jeszcze mam zrobić?

– Proszę mu powiedzieć, by przyniósł pani torebkę, bo pani nie może oderwać palców od jego żony.

– Czy mogę zrobić coś jeszcze? – pyta, wciąż przerażona.

– Może pani włożyć całą pięść, będzie pani miała więcej siły. Oczywiście, nie zgniatając pępownicy. I niech się pani modli. A teraz się rozłączymy, bo ci ludzie pani potrzebują. I proszę przestać panikować. Panika jest zaraźliwa i zabójcza, jatrogenna i co tam jeszcze pani chce, ale nie wnosi niczego dobrego. Uspokoi ich pani, powie, że póki co wszystko jest w porządku, że robi pani, co konieczne, że będzie pani musiała pozostać w tej pozycji przez całą drogę do szpitala, aż do wejścia na salę operacyjną, gdzie przeprowadzone zostanie cesarskie cięcie, że mąż pojedzie za karetką samochodem. Niech weźmie pani auto, to będzie miała pani czym wrócić. Proszę mu powiedzieć, na który oddział jedziecie. I przede wszystkim proszę się przygotować, że będzie panią bardzo bolała ręka, a nawet całe ramię.

– Już mnie boli.

– Będzie gorzej. Wkrótce w ogóle przestanie ją pani czuć. Mimo to trzeba wytrwać, bo trzyma pani cudze życie w koniuszkach palców. Więc to nie jest czas, by odpuścić. Wytrzyma pani, fizycznie i psychicznie, bo ci ludzie pokładają całą swoją nadzieję na pierwsze Boże Narodzenie spędzone we trójkę wyłącznie w pani. Teraz się pani rozłączy i ich uspokoje. Jakies skurcze?

– Nie, nic od wczorajszej nocy.

– Mogą się pojawić, skoro pęcherz płodowy pękł. Lekarz z karetki je

zatrzyma. Serce wciąż dobrze bije?

– Tak, dziecko wydaje się dość wysoko. Co zrobić, jeśli tętno spadnie?

– Naciskać mocniej palcami. Niech pani ułoży pacjentkę w pozycji Trendelenburga albo przynajmniej włoży jej dużą poduszkę pod pośladki.

– A jeśli nie będę już czuła palców?

– Nie chcę tego słyszeć. Naciska pani, i tyle. I proszę do mnie zadzwonić, jak tylko będzie pani mogła.

Następnie Jérôme się rozłącza zmartwiony.

– Już lepiej by było, gdyby trafiła się jej zatorowość płucna – mówi do Julie, która patrzy na niego pytająco.

– Co to jest opadnięcie pępowiny?

– Wypadnięcie. Dochodzi do niego, jeśli pęcherz płodowy pęknie przedwcześnie, gdy pod dzieckiem znajduje się sznur pępowinowy. Sznur wysuwa się wtedy do ujścia szyjki macicy, a dziecko uciska naczynia pępowinowe, powodując zaburzenia przepływu krwi.

– Czy ono umrze?

– To zależy od siły Caroline. Ryzyko jest ogromne, ale nie ma wyjścia, wóz albo przewóz. Jeśli da radę, to zdążą dojechać do szpitala i zrobić cesarskie cięcie. Jeśli nie da rady, dziecko prawdopodobnie umrze. Pozycja pośladkowa zwiększa nieco jego szanse.

– Cholera, to już lepiej być kasjerką! – wykrzykuje Julie.

– To zależy dla kogo.

– I co teraz?

– Teraz?

– Co pan teraz zrobi?

– Teraz będę czekał, aż zadzwoni. I będę się modlił.

– Pfff... bzdura.

- Co, modlitwa?
  - Tak.
  - Nie powiedziałem, że będę odmawiał różaniec i klepał kolejne zdrowaśki.
  - A więc jak się pan modli?
  - Tak samo jak pani, myślę.
  - Ja się nigdy nie modłę.
  - W takim razie powiedzmy „wierzę”.
  - W co?
  - W siłę, którą każdy z nas znajduje w sobie, gdy w grę wchodzi życie drugiego człowieka. Jak pani dla swego synka. I mam nadzieję, że Caroline też ją znajdzie.
  - Czasem sama wiara nie wystarcza.
  - Wiem. Ale pomaga.
  - No dobrze, to będę wierzyć razem z panem. A ona czuje tę naszą wiarę na drugim końcu Francji? – zastanawia się Julie bez większego przekonania.
  - Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że nic więcej nie mogę zrobić.
  - Przygotowałam śniadanie.
  - Nie jestem głodny. Czuję się bezsilny. Nie mogę znów siedzieć beczynn timer i niczego nie zrobić.
  - Dlaczego znów?
  - Bo z Irène też nic nie mogłem zrobić.
  - Czasem sama wiara nie wystarcza – mówi Julie.
- Mogłaby prosić go o wyjaśnienie, zadawać pytania, starać się zrozumieć, ale nie znosi naruszać prywatności innych ludzi, gdy ci nie mogą się bronić. Dobrze to zna, dlatego nie pozwala sobie na to w stosunku do innych. Jeśli naprawdę będzie chciał jej o tym powiedzieć, zrobi to bez przymuszania.



Czterdzieści pięć minut później komórka Jérôme'a znów dzwoni. Ten natychmiast odbiera. Julie i Paul wracają do kuchni i z niepokojem słuchają każdego słowa.

– Brawo, Caroline! Jesteś wielka! Ile w skali Apgar?

– Trzy punkty w pierwszej minucie po porodzie, sześć w piątej, osiem w dziesiątej minucie. Ma się dobrze. To dziewczynka. Dali jej na imię Wiktoria. 2780 gramów, to, że jest taka malutka, bardzo mi pomogło.

– Co to Apgar? – pyta Julie.

– Skala określająca stan zdrowia dziecka – odpowiada Jérôme na stronie... – A jak pani Apgar? – zwraca się znów do swojej zastępczyni.

– Też trzy, tylko w moim wypadku to się nie poprawia – odpowiada Caroline, nagle się załamując. – Myślałam, że ona umrze!

– Ale czuje się dobrze.

– Ale mogła umrzeć! – szlocha.

– Ale czuje się dobrze – powtarza Jérôme spokojnie.

– Tak, ale to była sytuacja graniczna, w karetce czułam, jak tętno słabnie.

– Ale czuje się dobrze.

– A gdyby umarła? – ciągnie kobieta.

– Jak teraz ma się dziecko?

– Dobrze – przyznaje w końcu Caroline.

– Świetnie. A pani palce?

– A z nimi wcale nie jest dobrze. Z ramieniem zresztą też nie, bolą mnie od tego nawet plecy. W życiu mnie tak nie bolało!

– Ale za to dziecko ma się dobrze. To chyba uczciwa wymiana?

– No, wiem, na co ja narzekam, prawda?

– Zadzwoń do przyjaciela, jest fizjoterapeutą, proszę od razu do niego iść, przyjmie panią między pacjentami.

– A co on na to poradzi?

– Właśnie skończył remont gabinetu, pewnie wala się tam jeszcze w rogu jakaś piła. W pani stanie nie widzę innego wyjścia jak tylko amputacja. Ale on pracuje szybko i dokładnie. A w dodatku jest wielkim miłośnikiem whisky, ma pełną piwniczkę, po wypiciu połowy butelki nic pani nie poczuje, a druga połowa przyda się do dezynfekcji kikuta.

– Potrafi pan naprawdę dodać człowiekowi otuchy!

– Tak dobrze rozmasuje pani rękę, że pożałuje pani, że nie użyła obydwu.

– Całe szczęście, że pacjentka nie może pana teraz usłyszeć – odpowiada z uśmiechem.

– Ale nie warto na jego temat fantazjować, jest żonaty.

– Nie jestem za bardzo w stanie o czymkolwiek fantazjować, wie pan.

– Nawet o mnie? Bądź co bądź byłem nagi, gdy z panią rozmawiałem.

– ...

– Halo?

– Proszę przestać, Jérôme, wprawia mnie pan w zakłopotanie.

– Chcę sprawić, by zapomniała pani o bólu.

– No to niech pan zadzwoni do tego fizjoterapeuty. On będzie bardziej profesjonalny.

– Ale mniej dostępny...

– Czy pan mnie uwodzi?

– Nie cofam się przed niczym. W końcu uratowała pani dziecko od niechybnej śmierci. To niezwykle ekscytujące, gdy patrzy się na to z zewnątrz.

– Chyba już lepiej się pan czuje – stwierdza kobieta.

– Tak. Robię porządki w głowie. Choć gorzej tu niż w nawiedzonym zamku, w którym pająki przyszły świętować Halloween. Ale sprzątam jedną komnatę po drugiej. Zrywam prześcieradła przykrywające meble. Są strasznie zakurzone, ale

robi się jaśniej.

– Cieszę się. Jeszcze jedno pytanie, zanim się rozłączymy.

– Słucham?

– Czy wypadnięcie pępowiny liczy się za zatorowość płucną?

– Chyba tak. W przeciwnym razie naprawdę miałyby pani pecha. Do jutra.

– Ależ nie, nie będę już potrzebowała do pana dzwonić, w końcu miałam swój poważny przypadek.

– To ja tego potrzebuję. Dobrze się czuję, gdy wiem, co słychać w gabinecie, u moich pacjentów... i u pani.

– Chce pan ode mnie codzienną relację?

– Z panią namiętną relację? – żartuje Jérôme. – Nie wiem, czy odzyskałem już na tyle formę.

– Dobrze, rozłączam się. Ma pan dziś kosmate myśli. Do usłyszenia.

Jérôme odkłada komórkę z uśmiechem. Tak dawno z nikim w ten sposób nie żartował. Caroline świetnie się do tego nadaje. Reaguje w mgnieniu oka. Nawet przez telefon słychać, jak się rumieni. A to go jeszcze bardziej zachęca. Podnosząc wzrok, odkrywa, że Julie i Paul patrzą na niego z rozbawieniem.

– No co?

– Nic! – odpowiadają zgodnym chórem, wychodząc z kuchni ze śmiechem.

To ocalone dziecko wprawiło wszystkich w dobry nastrój.

Jest się czym cieszyć.

*W sumie nie mam wcale tak źle w tym swoim supermarkecie. Grozi mi tam co najwyżej, że stłukę słoik, pomylę się, wydając resztę, rozedrę torebkę mąki albo zapomnę włączyć alarm. Żadne ludzkie życie nie leży tam na szali.*

*Właściwie nigdy wcześniej nie zastanawiałam się nad tymi zawodami, w których trzyma się w palcach bijące ludzkie serce. Jérôme zachował spokój, choć czułam jego zdenerwowanie, ale nie okazał go swojej spanikowanej zastępczyni. Myślę, że na ich miejscu kompletnie bym się rozsypała. Trzeba mieć niezwykłą siłę charakteru, by poradzić sobie z podobnymi sytuacjami.*

*Jest całkiem nieźle zbudowany. Typ faceta, w którym mogłabym się zakochać, gdyby nie ten jego paskudny charakter. Choć muszę przyznać, że się poprawia. Teraz lepiej już rozumiem, dlaczego Paul chciał, żeby się rozpłakał. Dzięki temu zrzucił ciężar, który niósł na plecach jak Chrystus swój krzyż. Nigdy bym nie pomyślała, że zwykły jogging może tak odmienić bieg wydarzeń.*

*Mimo wszystko ma paskudny charakter.*

*A do tego męski szowinista, odrobinę.*

*Pfff!*

## CEBULE

Uśmiechy się rozszerzają, języki rozwiązują, spojrzenia krzyżują. Powoli oswajanie zaczyna działać. Jérôme kryje się jeszcze za cienkim parawanem nieufności, ale stopniowo przeżuwa swą podejrzliwość. Póki co karmi się samą ich obecnością, jak człowiek bez apetytu przełykający pozbawione smaku jedzenie, tylko po to, by utrzymać się w pionie. Przynajmniej trzyma się w pionie. Być może właśnie tego najbardziej mu brakowało po śmierci Irène. Ludzkiego ciepła. Nie fizycznego. Niekoniecznie. Spojrzenia, uśmiechu, żartu, mieniającej się tęczy ludzi różnych kolorów, którzy stają dookoła ciebie, by dać ci znać, że inne serca wciąż jeszcze biją.

Tego ranka przy śniadaniu Ludovic wyjął pudełko farb i pędzelek. Zamaszystym ruchem maluje na kartkach kolorowe półkola. Koniuszek pędzelka niezmiennie ląduje w niebieskim kubeczku.

– Popać mamó, zjobiłem niebieską tęcią! – rzuca.

Ta patrzy na niego z życzliwością. Po chwili mały dodaje, chwytając nową czystą kartkę:

– A te jaz zjobię żółtą tęcią!

– Ładnie mówi – stwierdza Jérôme. – Szkoda, że „r” nie wychodzi.

– To tak jak ze łzami. Czasem szkoda, że nie wychodzą – odpowiada Julie. –

A potem nagle pewnego dnia się pojawiają...

Jérôme po prostu się do niej uśmiecha. Patrzy na ojca, który uwija się w kuchni. Wyjął przepis na potrawkę cielecą i stosuje się do niego co do literki,

ważąc nawet sól, co rozśmiesza Julie, która wierzy, że sztuka kulinarna jest instynktowna. Jérôme uważa ją raczej za odpychającą. Sztukę kulinarną, nie Julie. Już nie.

A tymczasem Paul płacze rzewnymi łzami. To cebula. Zapamiętałe coraz mocniej mruga oczami, aż w końcu gwałtownie porzuca swoje stanowisko pracy, wybiegając po omacku na zewnątrz, by spróbować znów podnieść powieki w kontakcie ze świeżym morskim powietrzem. Julie wstaje i bez słowa zabiera się do krojenia cebuli.

– A panią cebule nie doprowadzają do łez?

– Nie, nie tak łatwo doprowadzić mnie do płaczu.

– A zarzuca mi pani, że moje łzy nie wychodzą.

– Trzeba umieć płakać, kiedy to naprawdę konieczne. W wypadku cebuli nie wydaje mi się to zasadne. No chyba że darzy się to warzywo jakąś niezwykłą sympatią i nie jest się w stanie przekroić go na pół. Pana ojciec czuje jakieś specjalne przywiązanie do cebuli?

– To tylko reakcja chemiczna. A pani jakie ma na to niewiarygodne wytłumaczenie?

– Tylko się z panem drocę. Nigdy nie płakałam, krojąc cebulę. Już tak mam. Niektórzy ludzie mają niezwykle sprężyste palce stóp, inni potrafią zwinąć język w trąbkę, a ja nie płaczę przy cebuli. Powinnam się zatrudnić w piekarni specjalizującej się w cebularzach. Obieraczka cebuli to musi być niezły zawód.

– Obiera pani ludzi, to już nieźle!

– Obieram ludzi? – dziwi się Julie.

– Zdejmuje pani jedną warstwę po drugiej, odsłaniając tę, która znajduje się najgłębiej. A obierając, doprowadza ich pani do łez...

– Naprawdę? To niezamierzone.

W tej chwili do kuchni wraca Paul, ocierając ostatnie łzy mankietem, by nie potrzebować oczu palcami, na których wciąż znajduje się drażniąca substancja.

– Ale to wyłącznie wina cebuli – broni się Julie, wskazując go palcem.

Paul wzdycha z ulgą, widząc, że Julie skończyła za niego tę część pracy. Całuje ją w czoło, szepcząc, że czasem tak niewiele potrzeba do szczęścia.

Czasami tak niewiele.

– Czy mogę dziś wypłynąć łodzią? – pyta Jérôme ojca.

– Tak, jeśli chcesz. Pewnie zrobili już przegląd. Ale zapytaj Léona w porcie. Zabierz ze sobą Julie! – sugeruje po chwili.

– Ach nie, nie, nie! – broni się dziewczyna. – Jestem raczej szczurem lądowym. Lubię biegać po plaży, ale żeglowanie po falach, nie, nie, to nie dla mnie.

– Morze jest spokojne – mówi Jérôme.

– Zawsze są jakieś fale – oponuje Julie.

– Pani obiera cebulę bez płaczu, a ja mam sprężyste palce stóp i potrafię zwinąć język w trąbkę, o, proszę bardzo – mówi, zwijając język, by udowodnić swoje twierdzenie – ale przede wszystkim potrafię żeglować po Atlantyku bez paniki!

– Okej! Popłynę!

– Trzeba wejść pani na ambicję, żeby zmieniła pani zdanie?

– A co z Lulu?

– Ja go popilnuję – odpowiada Paul. – Jestem coraz lepszy w *Memory*, nie mogę się zatrzymać w pół drogi.

– Ale po południu, kiedy mały ma drzemkę, będzie pan musiał poćwiczyć sam.

– A ty na łódce będziesz miała czas, by pomyśleć o mówieniu do mnie na „ty”! – odpowiada Paul zrezygnowany.

Julie szykuje Lulu do popołudniowej drzemki, po czym łapie kilka rzeczy na

przebranie, na wypadek gdyby poziom morza się podniósł. Umiera ze strachu, ale się nie wycofa. To prawda, nie lubi tracić twarzy. W kamizelce ratunkowej chyba nic jej nie grozi. W końcu nie zamierzają przepłynąć przez Atlantyk. Z pewnością będą płynąć wzdłuż wybrzeża. Godzina czy dwie i udowodni mu, że obiera i kroi cebulę bez płaczu ORAZ nie wpada w panikę na morzu.

Co do zwijania języka w trąbkę, próbuje już trzy lata. Wygląda na to, że to kwestia genów i że nigdy jej się nie uda.

Ale nigdy nie mów nigdy. Nie traci więc wiary i ćwiczy przed lustrem. Krawędzie zaczynają się lekko podnosić.

Kiedy wsiada do zaparkowanego przed domem auta, Jérôme wita ją uśmiechem.

- Rozluźnij się.
- To teraz mówimy sobie na „ty”?
- Czekają nas tak intensywne przeżycia, że lepiej się zaprzyjaźnić.
- To ma mnie uspokoić?
- Nie, rozluźnić.
- Tak czy inaczej, nie działa.
- Co złego może ci się przydarzyć?
- Co złego może mi się przydarzyć na morzu? Atak rekina!
- Jesteśmy w Bretanii, nie na tropikalnej wyspie Réunion.
- Katastrofa i pójście na dno!
- Nie ma tu gór lodowych...
- Porwanie z żądaniem okupu!
- Mój ojciec miałby czym zapłacić.
- Ależ to było wredne!
- Przede wszystkim prawdziwe.



- Połknięcie przez wieloryba – mówi z coraz mniejszym przekonaniem.
- Czytacie z synem za dużo Biblii czy oglądacie za dużo kreskówek Disneya? – drwi.
- Że nie znajdziemy drogi powrotnej na suchy ląd?
- Popłyniemy w kierunku przeciwnym do zachodzącego słońca, w ten sposób dobijemy do brzegu...

Kiedy kończą się jej pomysły, Julie milknie. Nienawidzi się mylić, nienawidzi zdradzać swoich słabości i lęków. Nienawidzi pokazywać, że jest krucha. Nienawidzi wypływać w morze. Ponieważ to dla niej coś nowego. Nienawidzi wszystkiego, co nowe.

Kiedy zatrzymują się na małym parkingu w porcie, Julie przygląda się wszystkim przycumowanym tam łodziom, próbując zgadnąć, która zabierze ją ze stałego lądu. Najbardziej wyróżnia się Spadająca Gwiazda. Prosta, bez ozdobników, ale dobrze utrzymana. Ma nadzieję, że to będzie ta. Podoba jej się nazwa.

Jérôme, który poszedł porozmawiać z Léonem, wraca z uśmiechem na ustach, a podchodząc do Julie, pokazuje jej język, oczywiście zwinięty w trąbkę. Dziewczyna odpowiada grymasem. Któregoś dnia też jej się to uda.

- Przegląd zrobiony tydzień temu. Czekala tylko na nas – rzuca, odwiązując linę pontonu i sugerując, by weszła do środka.
  - To jest łódź?
  - Nie, to sposób, by sięgnąć spadającej gwiazdy.
- Julie się uśmiecha. Więc to jednak Spadająca Gwiazda.
- A są tam kamizelki ratunkowe?
  - Są nawet race. Ale nie będą nam potrzebne. Morze jest spokojne, nie denerwuj się.
  - Wcale się nie denerwuję.

– Kłamczucha.

Kiedy podpływają do łodzi, Jérôme przymocowuje ponton i trzymając Julie za rękę, pomaga jej wejść na pokład. Łódka się kołysze. Julie stara się utrzymać równowagę, zastanawiając się, jakim cudem się w to wpakowała. Wszystko przez głupią dumę, oto konsekwencje naprawdę idiotycznego zachowania. Sama w to wdepnęła i teraz jest już za późno.

*Przyjmij to na klatę, śliczna. To cię nauczy pokory!*

Jérôme prowadzi ją do małej kabiny, gdzie włącza silnik i zaczyna manewrować, by wyprowadzić łódkę z portu. Dziewczyna obserwuje go zaintrygowana swobodą i pewnością jego ruchów. Nie musi długo czekać na wyjaśnienie. Młody mężczyzna opowiada jej o wycieczkach łodzią, na jakie zabierał go ojciec po śmierci matki. O tych chwilach cichego porozumienia, kiedy samotność na oceanie koła ich ból, z dala od innych ludzi, z dala od wszystkich tych, którzy nie mieli pojęcia o tragicznym rozdarciu, z jakim muszą radzić sobie na co dzień. Od wszystkich tych, którzy nie brali tego pod uwagę. Walcz lub giń! Z perspektywy swych kilku lat nieraz widział w oczach ojca pragnienie, by zginąć, by do niej dołączyć. Ojca, który jednak postanowił walczyć, dla syna...

Przez ostatnie miesiące jego także to pragnienie śmierci wielokrotnie przeszywało na wskroś. Czasami niebezpiecznie się ociągając. Jednak tego popołudnia na łodzi ogarnia go nieoczekiwany spokój. Sam nie wie, czy to dzięki tej dziewczynie, jej rozczulającemu dziecku, ojcu, twardemu, lecz życzliwemu, czy całości, którą tworzą w trakcie tej bretońskiej eskapady. A może to ten jogging na plaży? Nokaut stulecia, lanie, które podziałało jak detonator, wyzwalając wszystko, co trzymał pod pokrywką? Nieważne. Choć wie, że to jeszcze nie koniec, że trzeba jeszcze sporo czasu, jedyne, co się liczy, to wypłynąć na powierzchnię. I nie ma znaczenia, pod jakim kątem i z jaką prędkością będzie się wznosił. Powierzchnia. Sam fakt jej istnienia dodaje mu otuchy.

Mijają kilka łodzi powracających do portu.

Wypłynęli późno. Jeśli to nie będzie krótka wycieczka, wrócą w nocy. Jednak Jérôme chętnie zanurzyłby się w tym magicznym bezmiarze uwypuklonym przez ciemność. Z przyjemnością wyobraża sobie siebie na pełnym morzu, jak gasi silnik łódki i patrzy na latarnię morską, której światelko zapala się regularnie, malutki punkcik tak odległy, że ledwie połyskujący, a za plecami czuje wzbierającą gęstość nocy. Zbliżyć się w ten sposób do tego, co być może czują ćmy.

Jednak daleko jeszcze do nocy. Wieczór jest piękny, a niebo jasne.

Płyną wzdłuż cudownego dzikiego wybrzeża, okrążają Quiberon i kierują się prosto ku wejściu do zatoki Morbihan. Jérôme pokazuje Julie monumentalny posąg Matki Boskiej z Kerdro stojący na skraju półwyspu Kerpenhir i czuwający nad statkami płynącymi tym przesmykiem i opowiada związaną z nim legendę. To zwodniczy, trudny do przebycia obszar, prądy są tu niezwykle silne. Już od jakiegoś czasu fale w zatoce są dość wysokie.

Julie odkrywa niesamowity krajobraz. Kocha góry, ale morze zaczyna podbijać jej serce. Najpierw były fale, teraz są szerokie wody zatoki Morbihan. Jérôme wydaje się znać te miejsca doskonale. Nie może być inaczej, skoro przyjeżdża tu od trzydziestu lat.

Po kilku godzinach żeglowania między wyspami, obserwowania miejscowej fauny i flory, małych przytulnych zatoczek, domów na brzegach wysp, tuż nad wodą, pół uprawnych pośrodku niczego łódź zawraca w stronę Quiberon. Tuż nad horyzontem pojawiają się pomarańczowe refleksy, podczas gdy niebo w zenicie wciąż jest błękitne. Zjawia się pierwsza gwiazda, zapowiadając pozostałe, niczym zwiadowca armię. Piękną migocącą armię, przewidzianą na dzisiejszą noc, zgodnie z prognozą pogody.

Jest zimno. Jérôme zabrał na później grube wełniane swetry i wielki koc. Październik jest bezlitosny, nawet gdy pozwala słońcu świecić przez cały dzień.

- A po co ten koc? – pyta Julie podejrzliwie.
- To na wypadek, gdybyśmy musieli okryć zranionego delfina.
- Żartujesz sobie ze mnie?
- Tak, a dlaczego pytasz?
- Planowałeś coś dla mnie?
- Mnóstwo rzeczy.
- Na przykład jakich?
- Sprawić, byś uwierzyła, że bardzo lubię bawić się w doktora.
- Uważaj, mogłabym poprosić o prywatne konsultacje – rzuca wyzywająco Julie.
- Sprawdzam – odpowiada Jérôme z lekkim uśmiechem.
- Dobrze, przestajemy już balansować na cienkiej czerwonej linii?
- Tak będzie lepiej – potwierdza mężczyzna.
- A więc po co ten koc?
- Kiedy niebo jest bezchmurne, można obserwować gwiazdy, ale chłód jest bardziej dotkliwy.
- Dlaczego mówisz mi o gwiazdach? Czy nie mieliśmy zrobić dwugodzinnej wycieczki i wracać?
- Tak powiedziałem?
- A Lulu?
- Lulu uczy mojego ojca, jak odczuwać dumę z faktu, że nie przegrywa się wszystkich partii po kolei z trzyletnim dzieckiem. Będzie na to potrzebował całego wieczoru. A potem zasną, nie zauważywszy nawet, że jeszcze nas nie ma.
- A jeśli chcę jednak wrócić przed zmrokiem?
- Umiesz pływać?
- Nie.
- Nie umiesz pływać? – powtarza Jérôme szczerze zdziwiony.

- Mówię ci, że nie umiem!
- W takim razie jesteś zdana na moją łaskę – mówi bardzo zadowolony.
- Cudownie – odpowiada Julie ironicznie.
- Znasz się na gwiazdach?
- Potrafię znaleźć Wielką Niedźwiedzicę.
- To dobry początek.
- A jak się pochoruję na łodzi?
- Nakarmię tobą ryby.
- Jak miło! – podsumowuje Julie z przekąsem.

Ostatecznie wycieczka okazuje się całkiem przyjemna dla Julie. Płyną wzdłuż wybrzeża. Jérôme opisuje jej geografię półwyspu, zatokę Quiberon, kiedy przepływają obok wyspy Belle-Île-en-Mer. Następnie Jérôme skupia się na nawigacji. Być może jest nieco onieśmielony. Mimo że nie miał zamiaru bawić się z Julie w doktora. Za młoda. Za wulgarna. Nie w jego typie. Choć jej małe, kształtne piersi ukryte pod golfem nie pozostawiają go obojętnym.

- Przestań się na nie ciągle gapić – zaskakuje go dziewczyna.
- Gapić na co?
- Na moje piersi.
- Wcale nie patrzę na twoje piersi!
- Kłamca!
- No dobrze, to prawda, ale przecież nie robię nic złego, prawda?
- Tak, jasne... Koc, gwieździsta noc, na łasce doktora, który twierdzi, że lubi się w niego bawić... a teraz jeszcze zerkasz na mój biust. Chyba jednak mam się czego obawiać.
- Jestem dobrze wychowany. Nie dotknąłbym cię. No chyba że naprawdę byś nalegała, wtedy mógłbym się ewentualnie postarać.
- Chyba w twoich snach! – odparowuje Julie. – Ależ ty potrafisz rozmawiać

z dziewczynami, nie da się zaprzeczyć! – dodaje. – Mógłby się postarać, jeśli będę go błagać! No nie wierzę! Zwykle mężczyźni nie muszą się zdobywać na straszny wysiłek, by dotknąć dziewczyny.

– Nie tak rozumiem miłość.

– Ja też nie.

– A więc jesteśmy zgodni – podsumowuje mężczyzna.

– W takim razie możesz się przestać gapić na moje piersi!

– Tak, mógłbym. Ale nie robię nic złego. A to jakoś dodaje mi sił.

– Może chcesz ich też dotknąć? – proponuje dziewczyna kpiarskim tonem.

– Nie, to zbyt niebezpieczne!

– To nie granaty!

– To niewiele zmienia.

– Jesteś na głodzie czy coś?

– Możliwe, że tak – stwierdza gorzko.

– Ale Irène, przecież to było niedawno.

– Od dawna nie spaliśmy razem.

– A czy nie na tym opiera się związek?

– Tak, jeśli jest zrównoważony. A ona była chora. Miała głęboką depresję. Nie mogła znieść czyjegokolwiek dotyku. Patologiczny stosunek do własnego ciała. Powtarzałem jej, że jest piękna, że mi się podoba. Jednak ona nie znosiła samej siebie.

– A ty to znosiłeś?

– A miałem jakiś wybór? Kochałem ją. Wiele można znieść dla miłości.

– Dlaczego ją kochałeś?

– A miłość można wyjaśnić? Kto by pomyślał!

– Nie, ale mogło cię zmęczyć to życie małżeńskie, które nim wcale nie było.

– Jakoś to szło. Nie mogłem jej przez to zostawić.

- Ale teraz ci tego brakuje.
- Sam nie wiem.
- Ale ja wiem. W przeciwnym razie nie patrzyłbyś na moje piersi jak wygłodniały, śliniący się lew na kawałek mięsa.

Jérôme ostentacyjnie przeciera podbródek wierzchem dłoni.

- Wcale się nie ślinię!
- Ależ tak, spójrz! – mówi, wskazując palcem kącik jego ust.
- Nie bierz wszystkich mężczyzn za nadpobudliwych samców. To nie tak.
- Jesteś pewny? Mam jednak ponure podejrzenia. Dlaczego twoja żona tak źle się czuła?

– Odkąd ją poznałem, zawsze czuła się źle w swojej skórze. Być może dlatego ją pokochałem. Pozwalała mi odgrywać rolę wybawiciela.

– I to działało... – stwierdza Julie obojętnym tonem.

– Dlaczego uważasz, że źle się czuję, że powinienem spróbować o wszystkim zapomnieć? Czuję się winny, że nie byłem przy niej bardziej obecny.

– Nie jesteś odpowiedzialny za jej śmierć. Mówi się, że Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomagają. Możesz podać komuś pomocną dłoń, ale nie wyciągniesz go z dołu, w którym się pogrzeża, jeśli tej dłoni nie chwyci. Chyba że wskoczysz tam za nim, co nie rozwiązuje sprawy. Co prawda jesteście na dnie we dwoje, ale wciąż jednak na dnie.

Jérôme milczy przez długą chwilę. Myśli o tym, co powiedziała mu ta dziewczyna, którą brał za opóźnioną w rozwoju nastolatkę w wytartych jeansach. To dokładnie ten sam obraz, którym się posłużył, by pomóc swojej zastępczyni, a jednak ciągle udaje, że to nie odnosi się do niego i Irène. A dlaczego to nie miałyby się odnosić także do nich?

Zapadła już noc. Jérôme włączył przednie reflektory łodzi. Nie widać już świateł na wybrzeżu, tylko latarnię, która migocze w oddali. Mężczyzna odpływa

jeszcze trochę, by jej mocne światło mu nie przeszkadzało, wyłącza silnik i reflektory. Julie drży. Ta nagła ciemność i cisza przerywana jedynie pluskiem fal uderzających o kadłub mrozą jej krew w żyłach.

– Jesteś pewny, że to bezpieczne? – pyta cichutko, podchodząc do niego bliżej.

– O wiele bardziej niż jazda samochodem autostradą. Co miałyby się nam przytrafić? Myślisz, że Moby Dick przewróci łódkę?

– Nie wiem, po prostu się boję.

– Chodź tu – mówi Jérôme, biorąc ją w ramiona. – Tak lepiej?

Pozostają tak długo w uścisku, w którym żadne z nich nie wie właściwie, kto kogo pociesza. Jérôme czuje się otulony przez ciepło, które promieniuje do jego wnętrza. Nie ma zbyt dużego doświadczenia w przeżywaniu tak intensywnych emocji. Wzbiera w nim odległe, zapomniane uczucie, prawdopodobnie to, którego doświadczał w ramionach matki. Mężczyzna zaczyna cicho płakać.

– Zabrałeś na łódkę cebulę? – pyta Julie poważnym tonem.

– Ty jesteś przekłętą cebulą – odpowiada, śmiejąc się przez łzy. – Widzisz, miałem rację. Doprowadzasz mężczyzn do płaczu!

– Ciebie doprowadzam do płaczu, przestań generalizować. A poza tym nie mam z tym nic wspólnego. Mówię, że się boję, ty mnie przytulasz, po czym zaczynasz płakać. Możesz mi wyjaśnić, gdzie zawiniłam?

– To nie twoja wina. Jestem palantem.

– To dlatego płaczesz? Nagle to sobie uświadomiłeś? No tak, to musi boleć, kiedy człowiek zda sobie z tego sprawę.

– Mogłaś chociaż odpowiedzieć: „Ależ nie, nie jesteś palantem”, poczułbym się lepiej.

– Nie lubię oszukiwać. Doskonale wiem, że brałeś mnie za zepsutą dziewczynę, kiedy wsiadłam do auta i przez całą drogę, i przez pierwsze dni. A więc tak, jesteś palantem, że mogłeś tak pomyśleć.



– Masz rację, to niewybaczone. Czy jednak mogłabyś uwierzyć w moją skruchę i żal za grzechy?

– Zawsze, ale pod pewnymi warunkami.

– Mogę ci zrobić niespodziankę?

– Zawsze możesz spróbować.

Jérôme znika w kabinie, zostawiając Julie na pokładzie w niemal zupełnej ciemności. Dziewczynę znów przechodzi dreszcz. Moby Dick! Mężczyzna wychodzi z dwoma materacami pod pachą, próbując zmieścić się w wąskich drzwiczkach. Rzuca materace na podłogę i wraca po koc.

– Oj! – krzyczy Julie. – I tak oto doszliśmy do chwili wykorzystania sławnego koca!

– Mam nadzieję, że będziesz bardziej otwarta niż Irène. Muszę w końcu uwolnić tę straszliwą frustrację, która narasta we mnie od lat.

– Teraz się boję... o czym ty mówisz?

– O gwiazdach!

– Jakich gwiazdach!?!...

– Kładź się – rozkazuje, wskazując materac.

Julie wykonuje polecenie, nie wiedząc, czego się spodziewać. Tak czy inaczej nie może uciec. Nawet gdyby umiała pływać, ta ciemność jest przerażająca. Leżąc na plecach, widzi, że Jérôme znów wraca do kabiny i przynosi z niej dwa grube swetry i poduszki pachnące wilgocią i jodem. Podaje jej mniejszy sweter, sugerując, by go włożyła, po czym kładzie się obok i przykrywa obydwójce kocem.

– A teraz zamkniemy oczy na jakiś kwadrans – zaczyna Jérôme.

– I to ta niespodzianka?

– Niespodzianka będzie zaraz potem. Najpierw musimy sprawić, by pod naszymi powiekami zapanowała ciemność.

– Rozśmieszasz mnie. Przecież jest ciemno jak oko wykol. Czuję się jak czopek w tyłku.

– Jesteś uosobieniem elegancji, Julie!

– Próbuję się wznieść na wyżyny twojego świata.

– Teraz jeszcze traktuj mnie jak dupka!

– Mówię o twojej specjalizacji, o świecie medycyny.

– Dobra, przestań gadać i rozkoszuj się chwilą. I nie otwieraj oczu.

Leżą tak dobre pół godziny. Julie pyta kilkakrotnie, czy może otworzyć oczy, niecierpliwa jak dziecko przed bożonarodzeniową choinką. Za każdym razem Jérôme odpowiada, że nie ma pośpiechu, ciesząc się, że może ją odrobinę podręczyć.

A co!

Julie w końcu otrzymuje zgodę, by otworzyć oczy, pod warunkiem że będzie patrzeć wyłącznie w niebo i nigdzie indziej. Dziewczyna zauważa, że wszędzie indziej jest całkiem czarno, ale Jérôme wyjaśnia, że oczy szybko się przyzwyczajają i jedyny sposób, by dać się porwać w otchłań wszechświata, to patrzeć prosto w gwiazdy.

Kiedy Julie powoli unosi powieki, czuje się, jakby podnosiła kurtynę w pogrążonej w mroku sali teatralnej. I przenosi się w trzeci wymiar. A może nawet czwarty. Długość, szerokość, wysokość, błogość.

Widok jest niezmierny, ogromna liczba gwiazd fascynuje. Pierwszy raz w życiu widzi tyle gwiazd. Malutkie, wielkie, migocące mniej lub bardziej, kolorowe. Julie odróżnia te, które są bliżej, od tych bardziej oddalonych. Już nie znajduje się na pokładzie łódki unoszącej się na wodach Atlantyku, lecz w samym środku kosmosu. Nigdy nie miała okazji oglądać ich w takich okolicznościach. Piękna niespodzianka...

– Zaczniemy od tego, co znasz. Spróbuj znaleźć Wielką Niedźwiedzicę.

– To proste! Jest tam! – mówi Julie, wskazując gwiazdozbiór palcem.

– Wiesz, jak odnaleźć Gwiazdę Polarną dzięki Wielkiej Niedźwiedzicy?

– Nie.

– Bierzesz odległość między dwiema ostatnimi gwiazdami Wielkiego Wozu, odmierzasz tę odległość pięć razy w górę i trafiasz na Gwiazdę Polarną, która jest ostatnią gwiazdą dyszla Małego Wozu, czyli Małej Niedźwiedzicy.

– Czy Gwiazda Polarna to Gwiazda Pasterzy?

– Nie. Nie mają ze sobą nic wspólnego. Gwiazda Polarna to gwiazda leżąca dokładnie na przedłużeniu osi obrotu Ziemi, przez co dla obserwatora, przynajmniej tego z półkuli północnej, wydaje się nieruchoma, a wszystkie gwiazdy obracają się wokół Gwiazdy Polarnej. Dlatego jest punktem odniesienia dla astronomów.

– A Gwiazda Pasterzy?

– To nie gwiazda. To planeta Wenus. Świeci niezwykle jasno, ponieważ znajduje się bardzo blisko Słońca. Czasami widać ją nawet w środku dnia.

– To ona prowadziła Trzech Króli?

– Nie! Nazywa się ją tak dlatego, że pojawia się tuż przed zachodem słońca, a znika chwilę po świcie, czyli akurat wtedy, gdy pasterze spędzali swe stada z pastwisk lub je wyprowadzali. Trzech Króli prowadziła kometa.

– W każdym razie i tak w to wszystko nie wierzę...

– Nie trzeba wierzyć, by interesować się dawnymi podaniami i legendami i wyciągać z nich naukę... Wenus jest gwiazdą kobiet...

– Jak to?

– Jej nazwa pochodzi od imienia bogini miłości i piękna z mitologii rzymskiej, której odpowiedniczką była w mitologii greckiej Afrodyta. To imię oznacza niezwykle piękną kobietę. Od niego pochodzi wiele słów odnoszących się do miłości i rozkoszy cielesnej. Jej symbol astronomiczny jest taki sam jak symbol płci żeńskiej w biologii. To koło z krzyżykiem skierowanym w dół,

zwany lustrem Wenus.

– Mężczyźni są z Marsa, a kobiety z Wenus.

– To uproszczenie, ale niech ci będzie. Poniżej Gwiazdy Polarnej, o tam, widać w tej chwili Kasjopeję, najjaśniejszą gwiazdę w konstelacji przypominającej kształtem rozchyloną literę „W”.

– Co to konstelacja?

– To zbór gwiazd, jak Wielka czy Mała Niedźwiedzica. Wyodrębniono je na niebie, by ułatwić orientację astronomom.

Jérôme ciągnie swój wykład, pokazuje jej Urana, Neptuna i mówi, że wkrótce pojawi się Saturn. Julie podziwia jego rozległą wiedzę. Ten świat wydawał się jej nieprzenikniony. Zaczyna jej być zimno. Przysuwa się do Jérôme’a znacznie bliżej, jednak on zdaje się teraz zupełnie zagubiony w gwiazdach, ze wzrokiem wbitym w przestrzeń.

Julie wie, o kim on myśli...

*Moje życie stało się surrealistyczne. Zostawiłam syna pod opieką kogoś, kogo znam zaledwie od dwóch tygodni, a ja leżę na pokładzie małej łodzi w samym środku niczego, obok mężczyzny, pod kocem, w miliardgwiazdkowym hotelu. Co za luksus! A przy tym wszystkim nie wiem nawet, czy mężczyzna, o którym mowa, zamierza się na mnie rzucić bez dalszych wyjaśnień, czy też, jak twierdzi, zadowoli się po prostu tym, że podzieli się ze mną swoją pasją do gwiazd.*

*Chcę to zobaczyć. To mogłoby pojednać mnie z gatunkiem ludzkim. Zwłaszcza jego męską częścią. Istnieją na tym łez padole mężczyźni zdolni do takiej powściągliwości?*

*Póki co leżę w jego ramionach. Wygląda na to, że zasnął. Jeszcze trochę płakał. Mężczyźni mają więcej warstw niż cebule. Albo miał cholernie ciężki balast do zrzucenia. Kilka słonych kropel więcej czy mniej w oceanie nie zmieni oblicza świata. Ale jego z pewnością tak – jutro rano, bo będzie miał strasznie spuchnięte oczy, i później, w kolejne dni, w zupełnie innym sensie, bo dzięki presji, która teraz z niego uchodzi, jego rysy nie będą już tak ściągnięte.*

*Coraz bardziej wierzę, że to była moja misja w trakcie tej wyprawy. Obrąć go aż do serca. Przynajmniej na coś się przydadę.*

*I pomyśleć, że to niczego w moim życiu nie zmieni. Mam głowę w gwiazdach, rękę w portfelu pełnym pieniędzy, przez kilka tygodni przeżywam swój sen na jawie, tak, ale co potem?*

*Potem wrócę do rutyny monotonnych dni, swojej kasy, kolegów, tych, których lubię, i pozostałych, tego łajdaka Chassona, absurdalnych godzin pracy, których nie mogę już znieść, strachu ściskającego żołądek za każdym razem, gdy odpalam samochód. I kogo to obejdzie?*

## POWTÓRKA Z GEOGRAFII

Julie budzi się o świcie. Pierwsze światła poranka malują niebo delikatnymi plamkami błękitu. Kilka blednących gwiazd ożywia wspomnienie cudownego nocnego spektaklu. A wśród nich Wenus. Morze jest niezwykle spokojne. Łódka prawie się nie porusza. Dziewczyna ledwie czuje delikatne kołysanie, do którego zdążyła się już przyzwyczać.

Jérôme jest do niej przyklejony. Oddycha spokojnie. Wtulili się jedno w drugie. Ich ciała wydzielają zapewne ciepło podobne do tego, jakie wydziela ciało psa zwiniętego w kłębek. Choć ma nadzieję, że nie podobny zapach. Mimo że zapach psa przeciągającego się o poranku należy do jej ulubionych, nawet bardziej niż niektóre delikatne zapachy kwiatów. Nigdy nikomu o tym nie powiedziała ze strachu, by nie uznano jej za wariatkę. Ale ona lubi ten zapach ciepłego psa. Nie mokrego! Ciepłego.

Ich ciepło też musi wydzielać miły zapach pod tym kocem utkanym z wełny, a wcześniej z gwiazd.

Kilka godzin temu, w ciemnościach nocy, jego dłoń torowała sobie po omacku drogę pod swetrem. Ta dłoń wspięła się powoli ku prawej piersi, badając jej kształt zdecydowaną pieśczołą. A później ta sama dłoń zeszła w dół, zawędrowała pod jej spodnie, pod bawełniane majtki, by ułożyć się delikatnie na wzgórkach Wenus i pozostać tam długą chwilę. Może godzinę. Jakby chciała odbić na sobie jego ślad, wchłonąć jego szczególne ciepło, nasiąknąć jego wilgocią.

Julie nic nie powiedziała. W tym geście była wyłącznie czułość. A zapewne także głęboka potrzeba odnowienia więzi z kobiecym ciałem. Mentalnej rekonstrukcji galaktyki kobiet, by nie być zbyt zagubionym w czasie następnej międzygalaktycznej misji, nawet jeśli jej data nie jest jeszcze ustalona. Pozwoliła mu na to, pierwszy raz doświadczając takiej delikatności. Jakim prawem miałyby odepchnąć tę dłoń, która musnęła ją tak, jak głaszcze się płatek polnego maku, uważając, by go nie uszkodzić? Jak mogła przerwać ten cenny moment ryzykownych poszukiwań, które wydały jej się szczerze? A może nawet zbawienne...

Pozwoliła na to i podobała jej się ta dłoń leżąca na niej z delikatnością.

Wielką delikatnością.

Jérôme zaczyna się poruszać. Julie nawet nie drgnęła. Medytuje, nie myśląc o niczym innym, tylko o tej łodzi, tych falach, tych gwiazdach, które stopniowo znikają z nieba, ale wciąż tam są. Lulu też wciąż tam jest. Pewnie na nią czeka. Będzie się martwił. Dziewczyna prosi Jérôme'a, by wracali. Mężczyzna wstaje i kieruje się do kabiny, przeciągając się długo, z rękami wyciągniętymi ku niebu. Przed uruchomieniem silnika wraca jeszcze, by pocałować Julie w czoło, szepcząc jej do ucha, jak wcześniej jego ojciec, że czasami tak niewiele potrzeba do szczęścia. Dziewczyna dziękuje mu za gwiazdy. Odtąd inaczej będzie patrzeć na niebo.

Droga powrotna upływa im w milczeniu. Wyłaniają się jeszcze ze zbyt krótkiej nocy. Z tego ciepła, którym się obdarowali. Z tej wielkiej czułości, która zaspokoila potrzebę każdego z nich. Jego pragnienie, by dotknąć kobiety. Jej tęsknotę za tym, by mężczyzna potraktował ją z delikatnością.

Kiedy Julie wchodzi do małego domku nad brzegiem morza, Lulu nie od razu zauważa, że wróciła. Biegnie małym korytarzem, pchając przed sobą plastikową taczkę, krzycząc: „Zaczekaj na mnie! Zaczekaj na mnie!”, i znika

w salonie. Julie pyta Paula, do kogo woła, by na niego zaczekał.

– Do swojej taczki – odpowiada, puszczając do niej oko.

W tej chwili dziecko wraca z salonu i zauważa mamę, którą najwyraźniej woli bardziej niż taczkę, bo porzuca zabawkę bezceremonialnie, by skoczyć mamie w ramiona i ścisnąć ją mocno swoimi pulchniutkimi rączkami.

– Gdzie byłaś? – pyta chłopczyk.

– Wśród gwiazd – odpowiada Julie.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Przyniosłam ci pamiątkę. Popatrz na moją dłoń, jest w niej jeszcze trochę gwiazdnego pyłu. Widzisz? – pyta, otwierając dłoń.

– Tak.

– A co u ciebie?

– Paul wygjał wćojaj jeden jaz.

– Ach tak? To ty dałeś mu wygrać?

– Tak – przyznaje dziecko.

– Ej! – protestuje Paul, idąc w stronę kuchni. – To nieprawda. Nie jestem jeszcze całkowicie zramolały. Robię postępy!

– Zjobił nam też kanapki z nutellą.

– Hej, skończyłeś już? Obiecałeś, że im nie powiesz!

– Co jeszcze zrobił, o czy nie powinniśmy się dowiedzieć? – ciągnie Jérôme rozbawiony.

Jednak chłopczyk wybiega w tej chwili z pokoju, rzucając za siebie, że idzie poszukać jakiejś książeczki do czytania, nie zaszczyciwszy Jérôme'a choćby spojrzeniem.

– No świetnie! Potraktował mnie jak powietrze! – woła Jérôme obrażony.

– Na uwagę mojego syna trzeba sobie zasłużyć – mówi Julie.

– Jaka matka, taki syn – odpowiada mężczyzna.



- Bo to, co robiliśmy wczoraj wieczorem, to dla ciebie za mało?
- A co takiego robiliście? – pyta Paul zaintrygowany.
- Oglądaliśmy gwiazdy – odpowiada mu pośpiesznie syn.
- I dobrze było? – ciągnie Paul podejrzliwie.
- Wspaniale. Piękna noc na obserwację... nowej gwiazdy, której nie znałem.
- Jakiej?
- Nie wiem, jak się nazywa, ale świeciła bardzo mocno – mówi Jérôme, uśmiechając się do Julie porozumiewawczo.

Julie odwzajemnia uśmiech. Paul patrzy na Jérôme'a, potem na Julie, znów na Jérôme'a.

- Ukrywacie coś przede mną czy co?...
- Wkręcamy cię – śmieje się Jérôme. – A ty dajesz się wyprowadzić w pole jak jakiś uczeń, mimo swojego brzuszka i trzęsących się kolan...

Paul staje w pozycji boksera i wymierza mu kilka ciosów w ramię, wołając: „Czekaj, już ja ci pokażę!”. W odpowiedzi Jérôme chwytając ojca za szyję, ciągnie do dużej sypialni tuż obok i powala na łóżko. Okładają się ze śmiechem, kiedy do pokoju wpada Lulu i wskakuje na dwóch mężczyzn, boksując z całej siły to jednego, to drugiego. Julie przygląda się im rozbawiona. W końcu i ona przyłącza się do tej kupy śmiechu, wijąc się niczym kłębowisko dżdżownic. Próbuje, jak może, osłaniać Lulu, który wkłada całą swą energię w walkę z dwoma dorosłymi, nie starając się nawet unikać ciosów. Nagle zdaje sobie sprawę, jak bardzo jej synowi musi brakować ojca, obecności mężczyzny, z którym mógłby się czasem skonfrontować. Wkrótce wszystkich bolą brzuchy, choć nikt nie został uderzony. Skurcze mięśni po wspólnym dzikim śmiechu. W końcu Paul wydostaje się z tej ludzkiej plątaniny, by przygotować obiad. Choć tym razem wypada kolej jego syna. Ale Paul zagustował w gotowaniu. Trzydzieści lat nie tknął nawet patelni, a tu proszę, kulinarne objawienie pod koniec wakacji nad morzem, w wyniku głupich pretensji feministki bez karty

kredytowej. Jérôme wyciąga się na plecach i wzdycha głośno. Lulu wskakuje na niego ostatni raz, co zapiera mu całkowicie dech w piersi. Julie idzie za Paulem do kuchni, pozwalając swojemu małemu Lulu postawić dorosłego do pionu, wyciągnąć go na powierzchnię.

– Mogę ci pomóc?

Paul patrzy na nią zaskoczony. Gotów by się uszczypnąć, czy raczej skaleczyć ostrym nożem, który trzyma w dłoni, by sprawdzić, czy nie śni.

– Jeśli się rozplączę, to nie przez cebulę... w końcu mówisz mi na „ty”.

– Cierpliwi zostają wynagrodzeni.

– To gwiazdy cię do tego natchnęły?

– Gwiazdy i wiele innych rzeczy.

– To dobrze.

Paul milczy przez kilka chwil. Stara się obrać cebule, nie otwierając przy tym oczu zbyt szeroko. Wyzywa je na pojedynek niczym kowboj, mrużący powieki od słońca i kurzu. O nie, nie będzie płakał. Nie tym razem. Naprawdę gotowa pomyśleć, że to przez to, że zwróciła się do niego na „ty”.

Płacze.

*Cholerne cebule!*

Julie chwyta nóż i kończy za niego pracę. Patrzy, jak wychodzi na świeże powietrze, chwytając po drodze mokrą ścierkę do naczyń.

Dziewczyna się uśmiecha.

Paul wraca po kilku chwilach. Właśnie minął w drzwiach Jérôme’a z Ludovikiem na barana, z łopatką w prawej i wiaderkiem w lewej ręczce, zmierzających na plażę. Słońce dziś znów pięknie świeci, sprawiając, że te wakacje są naprawdę sielskie.

– Spaliście ze sobą? – pyta Paul, nie owijając w bawełnę, gdy wchodzi do kuchni z zaczerwienionymi oczami.

- Dlaczego pytasz?
- Po prostu. Chciałbym wiedzieć.
- Nie.
- Wygląda jednak na to, że bardzo się do siebie zbliżyliście.
- Przeżyliśmy razem piękne chwile.
- A on cię nie tknął?
- Owszem.
- Ale nie spaliście ze sobą?
- Nie.
- W takim razie co robiliście?
- Zrobiłam mu powtórkę z geografii.
- Możesz wyjaśnić?
- Nie.
- Okej!
- Myślę, że po prostu potrzebował czułości. Co do reszty, to wyłącznie jego sprawa. Powie ci wszystko, jeśli zechce. Mnie opowiadał o gwiazdach i to było magiczne.
- To pewne, że ze swoją wiedzą i pasją mógł zrobić na tobie wrażenie.
- Kiedy wyjeżdżamy? – pyta Julie ze ściśniętym gardłem.
- Pod koniec tygodnia. Mam obowiązki zawodowe. Nie jestem tak całkiem na emeryturze. Jérôme też musi wracać.
- Koniec pięknego snu – rzuca dziewczyna z nutką melancholii.
- Dlaczego? Będziemy tu wracać, prawda?...
- Tak! Ale każdy wróci do swojego kąta, do swojego małego życia, i wszystko stanie się takie jak przedtem.
- Nie dla mnie. Nie, odkąd cię poznałem. Będziemy się widywać. Nie mieszkamy daleko.

- Skoro tak mówisz. Do czego te cebule?
- Do tarty. Trzeba posiekać kilogram.
- Jesteś masochistą?
- Liczyłem na ciebie – odpowiada z szerokim uśmiechem.

*Tak mi smutno, że muszę wyjechać...*

## WYJAZD

Cztery dni dzielące ich od wyjazdu upływają z zawrotną, przerażającą, bezczelną prędkością. Ale też z dużą naturalnością. Niemal jak w rodzinie, tylko że bez pary małżeńskiej, za to z coraz głębszym wzajemnym przywiązaniem.

Jérôme siada jeszcze czasem samotnie na piasku, twarzą do morza. Rozmyśla, prowadzi wewnętrzną walkę, powoli wynurza się na powierzchnię, jeszcze do niej daleko, ale stała się przynajmniej osiągalna. Szum wody go uspokaja. Utożsamia się z muszelkami, rozrzuconymi bezceremonialnie przez fale przyboju. Z tymi muszelkami czasem zatopionymi lub roztrzaskanymi, przewróconymi, rozbitymi na kawałki. Ale są też inne, prawie nietknięte, leżące na piasku, jakby nigdy nic im się nie przydarzyło. Piękny cel do osiągnięcia. Na powierzchni, całe i zdrowe. Julie czasem podchodzi i spędza z nim kilka chwil, bierze go za rękę lub ściska za ramię, albo przytula się do niego, by odnaleźć to ciepło, które tak spodobało jej się na łódce.

A kiedy indziej Jérôme jest radosny, bawi się z Lulu, gotuje z ojcem w kuchni. Nie jest jeszcze gotowy tańczyć jak Baloo, ale jest mu do tego coraz bliżej. Nie ma już czego przeżuwać, wszelkie uprzedzenia, jakie miał, zabierając tę dziewczynę w podróż, uleciały. Wciąż czeka na chwilę, gdy ojciec podejdzie i powie mu „A nie mówiłem?”.

Ale Paul tego nie robi. Domyśla się słusznie, że Jérôme chętnie się bez tego obędzie i że potrzebuje tylko uzdrowienia, a nie zbędnych, przemądrzałych uwag.

Paul przyłapuje się na tym, że przygląda się Julie wielokrotnie w ciągu dnia i zastanawia się, jak ona to robi, że tak dobrze na niego działa. W końcu nie ma w niej niczego niezwykłego. Nie bardziej niż w innych. Poza tym światłem, które wydobywa się z niej niczym promień słońca przez szczelinę w żaluzjach. A więc znaleźli gwiazdę, on i jego syn. Jest szczęśliwy, że zaufał pierwszemu wrażeniu. Szczęśliwy, że jego mrożona pizza i zgrzewka piwa przeszły wtedy przez jej ręce. Szczęśliwy, że zaprosił ją do restauracji, a później do Bretanii. Szczęśliwy, że pomogła Jérôme'owi uwolnić się choć na chwilę od pracy, która utrzymywała go na dnie. Szczęśliwy, że nauczył się lepiej grać w *Memory* i gotować.

Szczęśliwy.

Jest niemal wdzięczny Marlène za to, że wpadła na ten świetny pomysł, by go porzucić. „Niemał” jest niepotrzebne. Jest jej wdzięczny.

Julie i Ludovic spędzają czas nad morzem, ubrani w grube swetry, ale na słońcu. Gdyby mogli zapakować plażę do samochodu, zrobiliby to. Do walizki trafiają jednak tylko wspomnienia szumu fal. Korzystają więc, ile mogą, z zapachów morza, krzyków mew, promieni zachodzącego słońca.

A później pakują bagaże. Paul kupił Julie dużą czerwoną walizkę, by włożyła tam swoje rzeczy, te stare oraz te nowe, bardziej dostosowane do tego, jak tutejsze jedzenie podziało na jej uda.

Julie jest przygnębiona, że musi się spakować. Chciałaby zostać na wakacjach na zawsze. Lulu nauczyłyby się tu więcej niż w przedszkolu. Ale życie tak nie wygląda. Trzeba pracować, by opłacić rachunki, posiłki czy rozrywki, jeśli na koniec miesiąca cokolwiek zostanie w portfelu. Teraz bardziej niż kiedykolwiek czuje, że urodziła się pod nieszczęśliwą gwiazdą. Która bardzo słabo świeci. Przeznaczenie, którego się nie wybiera. Jedna harowa za drugą i poczucie, że goni się za szczęściem jak za autobusem, którego drzwi zamknięto ci właśnie przed nosem. Płacze nad swoją walizką.

Paul wchodzi do pokoju, czując, że blask jakby przygaśł. Odwraca

dziewczynę za ramiona i przytula.

– Przestań płakać, bo tu miejsca brak.

– Nie mam za bardzo ochoty wracać do swojego dawnego życia.

– A więc nie wracaj do niego. Uznaj, że to życie po życiu. Dla mnie tak właśnie jest. Było życie przed tobą i kiedyś będzie prawdopodobnie życie po tobie, pewnego dnia. Ale teraz jesteś ty i tylko to się liczy.

– To brzmi jak deklaracja miłości.

– Tak, bo to jest deklaracja, ale nie miłości, tylko czegoś więcej.

– Czy jest coś większego od miłości?

– Jesteś ty!

– Wielkie słowa!

– Lek na całe zło!

– Nikogo nie wyleczyłam.

– Nie, ale położyłaś balsam na nasze życie, jak kładzie się balsam na skórę, by się zagoiła.

– A ty i Jérôme będziecie chcieli jeszcze balsamu, kiedy wszystko już się zagoi?

– To nigdy nie goi się do końca. A kiedy się już zablizni, pojawiają się nowe rany do wyleczenia. Takie jest życie. Skaleczenia, otarcia, skręcenia i balsamy.

– A ja jestem bez parabenów. Ale z was szczęściarze!

Paul patrzy na nią i uśmiecha się, po czym przytula ją jeszcze mocniej.

– Oj, uważaj, zgniatasz tubę, cały balsam się wyleje!

– No dobra, kończ się pakować, zamiast opowiadać głupoty – mówi, potrząsając ją za ramiona. – Musimy jeszcze wstąpić do piekarni. Annette przygotowała nam mały pakunek na drogę i na kilka pierwszych dni w Alzacji, by dalej tuczyć cię dobrym bretońskim masłem!



*Naprawdę mi smutno, że muszę za chwilę wsiąść do samochodu.  
Będziemy podróżować nocą, dzięki temu nie poczuję mijających kilometrów.  
Mam nadzieję, że to prześpię.*

*Chcę tu zostać.*

*Chcę być zamkiem na piasku.*

*Chcę być piaskiem.*

*Mewą.*

*Morzem.*

*Falą.*

*Chcę być falą, która rozlewa się na plaży.*

*Albo plażą, czekającą na delikatną pieszczotę fal.*

## W KILKA SEKUND

Jest czwarta nad ranem. Wyjechali wczoraj, późnym popołudniem, z żołądkiem ściśniętym, że trzeba zatrzasać okiennice, które pozostaną zamknięte przez wiele miesięcy, z ukłuciem w sercu, że trzeba przekręcić klucz w zamku i schować go w małym korytku za domem. Paul przespał się kilka godzin, żeby odpocząć przed jazdą. Na początku prowadził Jérôme, ale później oddał kierownicę ojcu, by zasnąć z tyłu, razem z Lulu i Julie. Chłopczyk ściska swoją przytulankę z błogą radością malującą się na śpiącej buzi. Jest daleko, w krainie snów, ukołyszany warkotem silnika. Julie zasnęła, próbując stłumić szloch i ukryć łzy. Jednak dwaj mężczyźni usłyszeli jej płacz. Paul czuje się dobrze. Nie jest smutny. Wie, że powrót z Bretanii nie oznacza końca, lecz początek historii.

Lubi prowadzić nocą, gdy w samochodzie i wszędzie dookoła panuje spokój. Pogoda jest doskonała. Gwiazdy na niebie pozwalają przypuszczać, że nad ranem na polach pojawi się szron. Na autostradzie nie ma zbyt dużego ruchu. Ledwie kilka świecących czerwonych punkcików w oddali, kilka mijanych świateł reflektorów. Nie może się już doczekać powrotu. Mijając Sarre-Union, wie, że są już niedaleko.

I wtedy, wtedy, daleko z przodu widzi to auto, które robi nagły zwrot, i światła mijania, które pojawiają się prosto przed nim, zataczają się niebezpiecznie, zbliżając z zawrotną szybkością. Paul pojmuję, że ten samochód nie znajduje się po drugiej stronie barierki, lecz tuż przed nim. Jego terenówka

jedzie z pełną prędkością, jedyne, co Paul może zrobić, by uniknąć zderzenia, to skręcić gwałtownie kierownicą. Biała ciężarówka wbija się w jego tył z prawej strony.

Siła uderzenia jest ogromna.

*Czuję się lekka. Mam wrażenie, że jestem szmacianą lalką wypchaną watą. Wokół mnie wszystko jest jasne. Jakbym znajdowała się w chmurze. Jest pięknie. Unoszę się ponad morzem, fale wpełzają na plażę. Zauważam mały domek w Bretanii, wybrzeże, którym biegliśmy razem z Jérôme'em. Lulu siedzi na piasku i niestrudzenie napełnia wiaderko po brzegi i wyrzuca z niego piasek, napełnia i wyrzuca. Paul stoi przede mną i uśmiecha się. Wydaje się smutny. Ale i tak się do mnie uśmiecha. Ma zaczerwienione oczy. Pewnie znów robił tartę cebulową. A potem nagle zapada ciemność i nie jestem już szmacianą lalką, jestem ciężka niczym ołów, nie unoszę się, lecz spadam i słyszę wrzask Paula: „Co to za szalenie!?”.*

*Podskakuję.*

*Budzę się.*

*Wszystko dookoła jest białe. Leżę na łóżku. Nie jestem ani z bawełny, ani z ołowiu. Jestem cielesną skorupką z dziurą na kroplówkę w ramieniu. Ale Paul rzeczywiście stoi przede mną ze smutnym uśmiechem i zaczerwienionymi oczami.*

*Boję się zrozumieć.*

## DWIE SEKUNDY PRZED CUDEM

Julie podnosi się gwałtownie na zimnym metalowym łóżku, co wywołuje nagły zawrót głowy. Paul bierze ją za rękę i prosi, by się uspokoiła.

- Co się dzieje? – pyta roztrzęsiona.
- Mieliśmy wypadek samochodowy – odpowiada Paul spokojnie.
- Gdzie jest Lulu? – pyta dalej, przerażona.
- Na sali operacyjnej.
- Gdzie to jest?
- Na pediatrii.
- Chcę tam iść.
- Trzeba zapytać pielęgniarki, czy mogą wyjąć ci to coś z ramienia.

Julie siada na brzegu łóżka i bez wahania, zdecydowanym gestem wrywa plastikowy wenflon ze swojej żyły. Natychmiast zaczyna płynąć krew. Julie bierze z szafki opatrunek, otwiera opakowanie zębami i przykleja go na ranę, by zatamować upływ krwi.

- Którędy to?
- Nie możesz tak po prostu wstać i pójść, Julie, jesteś jeszcze słaba.
- Nic mi nie będzie. Gdzie on jest? – pyta stanowczo.

Paul podtrzymuje ją za ramiona, prowadząc do drzwi. Mijają pielęgniarkę, której wyjaśnia, że zabiera dziewczynę do jej synka i że za chwilę wróca. Kobieta nie ma nawet czasu protestować, dwuskrzydłowe drzwi zamykają się za nimi.

Kiedy docierają na chirurgię dziecięcą, ktoś wskazuje im poczekalnię przy

wejściu na blok operacyjny. Dalej iść nie wolno. Muszą czekać tutaj. Nie ma wyjścia.

Julie prosi, by Paul opowiedział jej wydarzenia tej nocy. Ona zupełnie nic nie pamięta. To przerażające. Brakuje jej kawałka życia na liczniku. Samochód, który jedzie, ale nie wyświetla przebiegu. Paul wyjaśnia, że lekarz z pogotowia podał jej środki uspokajające, ponieważ była zbyt roztrzęsiona po wypadku. Opowiada jej o ciężarówce jadącej pod prąd. Ledwie pół godziny temu policjanci potwierdzili, że tamten kierowca zginął na miejscu, a wynik testu na zawartość alkoholu we krwi był dodatni, trzy i pół promila. Przepięstwo. Paul mówi o uderzeniu w bok terenówki, z drugiej strony, niż siedział on i Julie. Jérôme został ciężko ranny, ale jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. To mały ucierpiał najbardziej, mimo fotelika za dwieście euro. Paul myśli sobie, że pewnie już by nie żył, gdyby jechał w tym starym.

– Jak się czuje Jérôme?

– Złamanie miednicy i liczne złamania w prawej nodze. Bark też jest uszkodzony, ale wyjdzie z tego.

– A Lulu? – pyta cichutko drżącym głosem.

– Nie wiem, Julie. Trzeba czekać.

W małej sali, gdzie na niskim stoliczku rozrzucono niedbale kilka kolorowych magazynów, zapada cisza. W kącie wegetuje jakaś zielona roślina, jakby chciano dodać temu miejscu nieco życia. Na ścianach wiszą uspokajające obrazy: tu ocean, tam piaszczysta wydma, jeszcze dalej ośnieżone szczyty jakichś gór. Taki bezkres w tak małym pomieszczeniu! A dla Julie tyle niepokoju w tak małym sercu. Płacze w ciszy. Paul przysuwa się jeszcze bliżej i przytula ją jeszcze mocniej, delikatnie gładząc po ramieniu.

Trzy godziny po rozpoczęciu operacji boczne drzwi nagle się otwierają. Pojawia się w nich wysoki, ubrany na niebiesko mężczyzna w zielonym czepku

na głowie. Ściąga maskę z twarzy i siada przy nich na krześle. Wie, że Julie jest matką, ale upewnia się, czy może przedstawić jej informacje o stanie zdrowia dziecka w obecności siedzącego obok mężczyzny. Julie się zgadza, czując ulgę, że nie jest w tej chwili sama. Głęboki wdech...

– Jestem doktor Mercier, chirurg. Mam dobre i złe wiadomości. Pani syn Ludovic doznał poważnych obrażeń. Udało nam się zatrzymać wylew krwi do mózgu. Niestety musieliśmy usunąć śledzionę.

– Czy to groźne?

– To ważny narząd dla układu immunologicznego, ale można żyć bez śledziony, biorąc leki zapobiegające infekcjom.

– To są te złe wiadomości, tak?

– Nie, złe wiadomości są o wiele bardziej przygnębiające. Ludovic doznał urazu czaszki, ucierpiały niektóre części jego mózgu. W tej chwili jest w śpiączce. Nie wiemy, czy się obudzi ani kiedy. To może się stać za dwie godziny, dwa dni, dwa tygodnie, a być może i dwa lata. Medycyna nie jest jeszcze w stanie przewidzieć, kiedy nastąpi wybudzenie ze śpiączki. Ale elektroencefalogram jest raczej dobry i jeśli się obudzi, powinien wrócić do pełni zdolności intelektualnych. Choć nie od razu oczywiście. Jednak w trakcie wypadku został uszkodzony jego kręgosłup. W tej chwili kończyny dolne nie reagują i tutaj też nie jesteśmy w stanie powiedzieć, czy to jest nieodwracalne.

Julie wysłuchała jasnej, rzeczowej wypowiedzi lekarza. Jest zupełnie oszołomiona. Po kilku chwilach całkowitego paraliżu, kiedy przed oczami staje jej Lulu bawiący się jeszcze wczoraj w piasku na plaży w Bretanii, wybucha płaczem, zdając sobie nagle sprawę z powagi sytuacji. Teraz to ona przeżywa gwałtowny szok. Płacze, gwałtownie wtulając się w ramię Paula.

W małej poczekalni czas się zatrzymuje, obrazy niezmiernych przestrzeni zakrawają na kpinę, nic już nie jest wielkie, tylko strach. Zdjęcie oceanu drażni Julie, która uświadamia sobie, że Ludovic prawdopodobnie już nigdy nie będzie

mógł tam wrócić.

Czuje silną dłoń doktora Merciera na swoim ramieniu. Dotyk, który ją wzrusza, niemal uspokaja. Następnie lekarz znika za drzwiami, nakładając z powrotem maskę na twarz.

Znów zapada milczenie ciężkie niczym ołów. Choć Paul jest strasznie smutny, czuje ulgę. Bierze Julie za brodę i uśmiecha się do niej czule.

– Julie, Ludovic żyje. Jest w śpiączce, ale żyje.

– ...

– Mam nadzieję. Ty też miej nadzieję. Proszę cię, nie poddawaj się, nie pozwól, by opadły ci ręce, dobrze?

– „Nie opuszczaj rąk, bo możesz to zrobić na dwie sekundy przed cudem”. Od lat stosuję to arabskie przysłowie. Ale teraz nie czuję, bym w ogóle miała ręce.

– Są tu, nie czujesz ich, ale tu są.

Julie chroni się w jego ramionach, które też tu są. Próbuje się uspokoić, wsłuchując się w oddech Paula. Mężczyzna, który ją tuli, jest wysoki i szeroki. Trochę miękki. Niczym wielki silny dąb, o porowatym, porośłym mchem pniu... A ona jest małą ranną sarną, która szuka przy nim schronienia...

– A jeśli się nie obudzi?

– Obudzi się, Julie, nie może być inaczej. Trzymaj się tej myśli.

– Staram się tego uchwycić, ale ciągle się ześlizguję, czuję, jakbym wspinała się po szklanej ścianie, bez raków, bez czekana.

– A więc wesprzyj się na innych. Wesprzyj się na mnie.

Julie jeszcze bardziej wtula się w jego ramiona...



## MIĘKKOŚĆ JEGO SKÓRY

Julie zasnęła z głową na kolanach Paula i nogami podkulonymi na krześle obok. Paul delikatnie gładzi ją po włosach, patrząc w przestrzeń.

Julie czeka, aż pozwolą jej zobaczyć synka. Kiedy widziała go ostatni raz, spał spokojnie w foteliku, tuląc w ramionach ukochaną szmatkę-przytulankę.

Na intensywnej terapii oddziału pediatrycznego panuje cisza, jest weekend, nie ma tu nikogo poza Ludovikiem.

Tchnie spokojem, mimo groźnego wyglądu całej aparatury, do której został podpięty. Respirator unosi jego klatkę piersiową z regularnością metronomu i z cichym odgłosem wymuszonego oddechu. Podchodząc do synka, Julie drży, jego bladość jest lodowata. Gdyby nie słyszała regularnego dźwięku wydawanego przez podpięty do jego serca monitor, myślałaby, że nie żyje. Ale on żyje, jest prawdopodobnie gdzieś daleko, ale żyje.

Żyje.

Po prostu.

Całuje go długo w policzek, w czoło, w powieki. Czuje miękkość jego skóry na swoich wargach i odnajduje to uczucie, które miała, tuląc go do siebie, gdy był niemowlęciem. Uśmiecha się do niego, szepcząc mu do ucha.

Pielęgniarka wypełnia kartę przy małym stoliczku obok jego łóżka.

– Jego taty nie ma?

– Żyjemy bez niego.

Kobieta pograża się znów w papierach, a Julie w ciepłe swego synka.

- A jeśli obudzi się, kiedy mnie tu nie będzie?
- Natychmiast panią powiadomimy, mamy numer pani komórki.
- Nie mam komórki.
- Ten mężczyzna, który jest tu z panią, podał nam numer.
- Naprawdę?
- To pani bliski?
- Tak.
- Jego dziadek?
- Nie – waha się Julie. – Chociaż może.

Pielęgniarka spogląda na nią z lekkim pytającym uśmiechem.

Jak miałyby zrozumieć? Jak Julie miałyby jej wyjaśnić tę sytuację? Mógłby być jego dziadkiem, zważywszy na wiek i na przywiązanie. Ale po zaledwie trzech tygodniach znajomości?

A więc?

Paul wyciągnął jakiś magazyn z dna stosu, przekartkował, po czym szybko odłożył na miejsce, nie mogąc się na niczym skoncentrować. Jakże głupie i płytkie są te artykuły w świetle tego, co wydarzyło się kilka godzin temu! Słyszając szybkie kroki w korytarzu, od razu wie, że to nie Julie, to nie jej sposób chodzenia. Zna ją już na tyle, by wychwycić nawet takie szczegóły.

- Dzień dobry.
- Ach, Caroline! Przyszła pani, to dobrze. Widziała się pani z Jérôme'em?
- Tak, właśnie od niego wracam. Powiedział mi o małym. Jak on się czuje?
- Jest w sali pooperacyjnej. Musieli go operować.

Paul powtarza jej wszystko, co powiedział doktor. Oczy Caroline napęcznieją się łzami.

– Co za koszmar! To straszne. Jak to wszystko znosi Julie?

– Jest wstrząśnięta. Ale silna.

Zapada cisza. Trudno w takiej chwili prowadzić rozmowę.

Ale jaka ta cisza jest ciężka.

## PRZYTULANKA LULU

Po przebudzeniu Julie potrzebuje kilku chwil, by dojść do siebie, ale nie rozpoznaje miejsca, w którym się znajduje. Skoro leży w wielkim łóżku stojącym w nowocześnie umeblowanym pokoju o neutralnej kolorystyce, to z całą pewnością nie jest już w szpitalu. Wstaje, by rozsunąć zasłony i wyjrzeć przez okno, i wtedy spostrzega Paula wracającego od skrzynki na listy z poranną gazetą. A więc jest u niego.

Patrzy na ubranie, w którym spała, na swoje majtki i za szeroki męski T-shirt. Niczego nie pamięta, włącznie z chwilą, gdy Paul położył ją do tego łóżka.

Odwracając się, Julie spostrzega swoje odbicie w lustrze. Przeróżające. Jej oczy są czerwone i podkrążone, powieki napuchnięte. Na czole widnieje paskudny siniak, jedyny ślad po wypadku. Całą resztę wziął na siebie Lulu. Przy łóżku leży duża czerwona walizka. Julie łapie kilka rzeczy i wślizguje się do przylegającej do sypialni łazienki, by wziąć gorący prysznic, licząc na efekt wygładzający i przeciwobrzękowy.

Kilka minut później jej nadzieje okazują się płonne.

Nawet nie próbuje nałożyć makijażu, bo nie wiadomo, kiedy znów cały spłynie...

A spłynie na pewno.

Julie idzie do kuchni, skąd dochodzi brzęk naczyń. Paul krząta się przy stole, przygotowując śniadanie.

– Spałaś? – pyta, całując ją w czoło.

– To ty mnie rozebrałeś?

– No przecież nie kot – odpowiada, wskazując na wielkiego szarego kocura, śpiącego na poduszce w rogu kuchni. – Nie martw się – mówi, widząc jej zmieszanie – obrzuciłem twoje ciało jedynie dobrotliwym spojrzeniem. Kiedy wychodziliśmy ze szpitala, byłaś wykończona.

– Chciałabym tam wrócić.

– Zawiozę cię. Ale najpierw coś zjedz.

– Nie jestem głodna.

– Wypij chociaż trochę herbaty z cukrem. Jutro kupię ci komórkę, będzie ci potrzebna.

– Nie, nie, nie mam pie...

– Cicho! Ja się tym zajmuję, okej? – mówi zdenerwowany.

– Nie złość się, Paul – prosi, wstrzymując oddech.

Wtedy Paul odwraca się i opierając się dwoma rękami o zlew, wbija wzrok w okno. Julie zauważa, że jego ciałem wstrząsają drgawki. Dziewczyna podchodzi i wślizguje się między niego i zlew. Paul bierze ją w ramiona i zaczyna płakać.

– To moja wina, gdybym tylko zareagował inaczej.

– A mogłeś?

– Wszystko działało się zbyt szybko. Ledwie zdążyłem pojąć, co się dzieje, a ciężarówka już w nas uderzyła. A ten sukinsyn nie może nawet zobaczyć, co zrobił!

– Dlaczego wyprałeś przytulankę Lulu? – pyta Julie, widząc, że ta schnie na kuchennym kaloryferze.

– Była w kiepskim stanie. Nie pytaj więcej, Julie, tak będzie lepiej.

Stoją tak przez kilka chwil, po czym połykają szybko ciepłą herbatę i udają się do szpitala, gdzie Paul zostawia Julie przed wejściem na oddział pediatryczny,

a sam wybiera inne schody, prowadzące do sali Jérôme'a.

Lulu został przeniesiony na intensywną terapię.

Wystrój jest przyjemny. Kojące kolory, obrazy na ścianach. Mimo nieustającego szumu ciągle pracujących maszyn atmosfera jest spokojna, niemal pogodna, w każdym razie jakby życie było tu zupełnie normalne. Jedna z dwóch pielęgniarek wciąż się uśmiecha. W pierwszej chwili jej energia zadziwia Julie. Praca na oddziale takim jak ten wydaje jej się niesamowicie trudna. Jednak wchodząc do sali, zdaje sobie sprawę, że ta radość życia jest niemal zaraźliwa. Nie wierzy, by to było możliwe, ale bardzo chciałaby się nią zarazić.

– Czy mogłabym zobaczyć się z lekarzem, by trochę porozmawiać o synku?

– Tak, oczywiście, spotka się pani z doktorem Lagarde'em, to szef oddziału.

Przychodzi o dziewiątej, w tej chwili ma zebranie.

Po szybkim zwiedzeniu oddziału Julie wraca do sali Ludovica, przysuwa do jego łóżka mały fotel i siada na nim. Bierze jego wiotką rączkę i mocno ściska, gładząc go po włosach. Przez jego brwi biegnie wielki szew. Inne drobne rany zostały opatrzone.

Julie patrzy na wszystkie rurki i przewody, które biegną do jej synka.

Do sali wchodzi pielęgniarka z tacką w dłoni. Bierze jedną z kroplówek i zamienia ją na nową. Kobieta rozsiewa spokój ducha niczym piękny zapach perfum. Można niemal dostrzec wirujące wokół niej płatki kwiatów. Odpowiada na pytania, które zadaje jej Julie, po czym wychodzi, uśmiechając się do niej miło.

Ach, jak dobrze!

Kilka minut później słychać pukanie do drzwi i do sali wchodzi lekarz. Jeszcze raz wyjaśnia Julie sytuację. Słuchając go, zaczyna rozumieć.

– Czy są jakieś oznaki wskazujące, że może się wybudzić ze śpiączki?

– I tak, i nie. Może się obudzić spontanicznie, kiedy nie będziemy się tego spodziewać.

– A w tym czasie możemy coś zrobić, by mu pomóc?

– Tak, trzeba do niego mówić, dotykać go, stymulować, przywołując wspomnienia. Zachęcam, by osoby z jego otoczenia, które są dla niego ważne, odwiedzały go, żeby mógł je także usłyszeć. Nawet rodzeństwo...

– Nie ma rodzeństwa...

– W takim razie dziadkowie, niania...

– A co z jego nogami?

– Tutaj też niewiele mogę powiedzieć. Tego rodzaju obrażenia, jakich doznał rdzeń kręgowy Ludovica, są zwykle odwracalne. Wszystko zależy od tego, jak długo będzie w śpiączce, i od jego chęci. Wolimy podchodzić do sprawy raczej pesymistycznie, by była pani gotowa na najgorsze, ale zrobimy wszystko, by zdarzyło się to, co najlepsze.

– To, co najlepsze, to powrót do stanu przed wypadkiem?

– Kiedy człowiek spodziewa się najgorszego, nawet mniejsze zło ma szczególny smak, który sprawia przyjemność, mimo że nie jest tym, co najlepsze. Nie wiemy jednak, jak długo to wszystko potrwa. Ważne, by pani o siebie dbała, a przede wszystkim, by nie straciła pani pracy. Rozumiem, że wychowuje pani dziecko samotnie. Przyjdzie do pani pracownik socjalny, ale świadczenia, które pani otrzyma, nie wystarczą na przeżycie. A poza tym musi pani czasem wyjść na świat, zobaczyć coś innego, przewietrzyć się, odpocząć, inaczej pani nie wytrzyma. Czy ktoś poza panią mógłby go odwiedzać?

– Myślę, że tak.

– To dobrze. Proszę się na tych ludziach oprzeć.

Julie spędza resztę poranka z Ludovikiem. Wkłada mu do rączki jeszcze trochę wilgotną przytulankę, opowiada mu o kolegach z przedszkola, o domu, o zabawkach, o pogodzie, o tym, co widzi za oknem. Czasem milczy.

Grzebie w torebce w poszukiwaniu małej kulki z drzewa sandałowego, którą podarował jej nauczyciel plastyki z liceum, kiedy bardzo zaangażowała się w projekt pracy w drewnie. Mała kulka o średnicy dwóch lub trzech centymetrów, o nieregularnym kształcie, ale niezwykłym uroku, kiedy się jej dotyka, obraca ją, ściska. Odkąd dostała ten kawałeczek drewna, zawsze nosi go przy sobie.

Wyciąga kulkę i ściska mocno w dłoni. Trzeba się czegoś ucześcić.

Późnym rankiem zaczyna odczuwać brak świeżego powietrza, wychodzi więc trochę odetchnąć.

Na dworze jest pięknie. Zimno, sucho i słonecznie. Babie lato.

Przed wejściem do dziecięcej izby przyjęć parkuje karetka. Julie drży.

Po kilku minutach woli już wracać do swojego syna. Przechodzi obok szpitalnego kiosku z gazetami. Lokalny dziennik krzyczy w nagłówku o wypadku. Julie kupuje egzemplarz.

Wczorajszej nocy na autostradzie doszło do strasznego wypadku z udziałem ciężarówki i auta terenowego, którym czteroosobowa rodzina wracała z wakacji. Najprawdopodobniej kolejny raz do kolizji doszło z powodu alkoholu. Kierowca ciężarówki, który zginął na miejscu, miał 3,54 promila alkoholu we krwi. Wjechał na autostradę pod prąd, a kierowca terenówki nie mógł uniknąć zderzenia. Dwoje dorosłych wyszło z wypadku bez szwanku, trzeci z nich, trzydziestotrzyletni lekarz, ma liczne złamania kończyn, ale najbardziej ucierpiało podróżujące z nimi trzyletnie dziecko. Chłopiec pozostaje w śpiączce, a lekarze nie chcą się wypowiadać co do rokowań.

Julie gwałtownie mnie gazetę i wyrzuca ją do śmietnika, jakby takim gestem mogła wymazać te wszystkie okropne słowa.

Oni nie znają Lulu, on się tak łatwo nie poddaje! Pokaże temu dziennikarzowi, że nie ma prawa pisać takich zabójczych zdań.

Julie czytuje regularnie doniesienia o wypadkach i tragediach. Tak, ale tym



razem to ona jest ich bohaterką. I to jest nie do zniesienia.

W sali zastaje pielęgniarkę, która znów zmieniła kroplówkę, tym razem to krew.

– Jutro albo pojutrze możemy pokazać pani, jak go umyć, gdyby chciała to pani zrobić sama – oznajmia pielęgniarka.

– Z całą tą aparaturą?

– Proszę się nie martwić, to nie jest takie skomplikowane, pomożemy, kiedy będzie trzeba. Ale nie ma pani takiego obowiązku.

– Nie, nie, chciałabym móc się nim trochę zająć, jak w domu.

– Tak, to rzeczywiście ważne, zwłaszcza dla Ludovica. Dla pani oczywiście też. Pracuje pani?

– Tak, jestem kasjerką. Ale mam jeszcze tydzień urlopu...

– A godziny pani pracy są elastyczne?

– Moje godziny pracy są skandaliczne. Ale chciałabym tu być, kiedy się obudzi.

– To jest takie nieprzewidywalne, chociaż wie pani... pracuję tu już dwadzieścia trzy lata i sporo podobnych przypadków widziałam. Podejrzewam, że ten mały wybierze odpowiedni moment. I odpowiednią osobę!

– Wszyscy się obudzili?

– Nie, kłamałabym, odpowiadając inaczej. Ale dzieci mają w sobie niewiarygodną energię, by znaleźć siłę i wrócić. Niech mu pani da tę chęć, to pragnienie.

– Nie wiem, jak to zrobić.

– Radość życia jest dobrym lekarstwem.

– Chciałabym ją odzyskać.

– Jeśli miała ją pani w sobie wcześniej, to zobaczy pani, ona szybko wróci.

## DŹWIG

Caroline odwiedza Jérôme'a co wieczór, po zamknięciu gabinetu. Opowiada mu szczegółowo o wszystkich pacjentach, pyta o rzeczy, które ją męczą, masuje mu plecy, podaje wodę, przynosi gazety, dotrzymuje towarzystwa, uśmiecha się do niego.

– Wie pan już, kiedy stąd wychodzi?

– Może moglibyśmy jednak przejść na „ty”?

– Tak, czemu nie – zgadza się Caroline. – A więc kiedy wychodzisz?

– Za dwa tygodnie, gdy opatrunki nie będą już tak ważne.

– A co z chodzeniem?

– O, to już zupełnie inna historia. Tam w środku jest kompletna miazga. Kości muszą mieć czas, by się zrosnąć. Jeszcze przez parę miesięcy będę podzwaniał na lotniskach. Jestem niczym skrzynka z narzędziami. Lubisz puzzle? Popatrz na moje prześwietlenie, dwieście pięćdziesiąt elementów, czarno-białe. Sztuka współczesna. Zrobi furorę, jak je powieszę na ścianie w gabinecie!

– A właśnie, co z pacjentami?

– Miałaś jakieś plany na przyszłość?

– Nie bardzo – odpowiada, spuszczać wzrok.

– Więc zostań! Potrzebuję cię. Ja mógłbym ci pomagać w podejmowaniu decyzji, za to ty byłabyś moimi rękami, oczami i uszami przy badaniu pacjentów

– Jesteś ze mnie zadowolony?

– Nie, jest do bani. Przyciągasz pecha, niemalże wskakujesz do dołów za

ludźmi, którzy do nich wpadają, zawałasz robotą laborantów i jesteś niemiła.

Caroline wstrzymuje oddech, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami.

– Oczywiście, że jestem zadowolony, inaczej nie proponowałbym ci, żebyś została – ciągnie. – Musisz tylko przestać zlecać w kółko skomplikowane badania. Ubezpieczyciel cię przyszpili. Rozwijaj swój talent diagnostyczny, kompleksowe podejście, umiejętność słuchania, a przekonasz się, że czasem niczego więcej nie potrzeba.

– Muszę się jeszcze wiele nauczyć.

– Ciesz się! To się nazywa doświadczenie. Przecież nie możesz być lepsza ode mnie! Więc jak, zostaniesz?

– Tak – odpowiada młoda kobieta z uśmiechem. – A co z mieszkaniem?

– Możesz zostać w małym pokoju. Nie będę z niego korzystał.

– A jak ty będziesz wchodził na górę?

– Dobre pytanie. Ech... Dobre pytanie! – mówi zmartwiony.

– Zostaje nam tylko zainstalować dźwig.

– Dziękuję za komplement.

– Ależ nie, chodzi mi o te małe krzeselka, które montuje się przy schodach, dla staruszków.

– I te wszystkie kwiaty, naprawdę Caroline, jestem wzruszony.

– To nie jest dobry pomysł?

– Jest – odpowiada Jérôme z rezygnacją. – Zajmiesz się tym?

– Jeśli chcesz.

– A mały, jak on się czuje? – pyta Jérôme.

– Został przeniesiony na intensywną terapię. Mój ojciec jest szefem oddziału.

– Ach tak? – dziwi się Jérôme.

– Tak. A co?

– Nic. W takim razie miałaś porządną szkołę.

– Tak.

– Dlaczego to przede mną ukrywałaś?

– Niczego nie ukrywałam. A ty o nic nie pytałeś. To nie jest pierwsza informacja, z którą się afiszuję. Ponieważ istnieję też sama przez siebie. Nie chcę być szufladkowana jako „córka doktora Lagarde’a”.

– No to co on mówi na temat Lulu?

– Nie chce się za bardzo wypowiadać. Mały jest stabilny, ale obrażenia są poważne. To on ucierpiał najbardziej. Czekają. W tej chwili nic lepszego nie mogą zrobić.

– A Julie? Jak ona się ma?

– W porządku.

– Gdzie nocuje?

– Póki co u Paula. Ale mówi o powrocie do domu. Od Paula będzie miała daleko, kiedy wróci do pracy.

– Zabierz ją do mnie. W końcu korytarza jest jeszcze jeden pokój. Nie powinna teraz zostać sama.

– Musi się jeszcze zgodzić. Ona mnie nie zna.

– Ona w ogóle nie ma zbyt wielu znajomych. Wszystko w twoich rękach. Użyj swoich atutów.

– Jakich atutów?

– No, nie tych – mówi, patrząc na jej biust. – To dziewczyna.

– Umarłam ze śmiechu! – odpowiada Caroline, krzywiąc się.

– Nie wiem, wymyśl coś. Możesz mnie tu podrapać? – prosi, wskazując miejsce między nogą a początkiem gipsu.

Caroline spełnia prośbę, przykucnąwszy przy krześle. Jérôme się odpręża. Wzdycha z przyjemnością. Jakie błogie uczucie. Jaka kompromitująca pozycja. Jakie czerwone policzki Caroline.

Kobieta nagle wstaje, gdy Jérôme ma jeszcze zamknięte oczy, i całuje go w policzek.

– Uciekam, muszę zainstalować dźwig.

– Już? A kto mnie podrapie?

– Poproś pielęgniarkę.

– Dzisiaj w nocy jest pielęgniarz.

– Też dobrze.

I znika w korytarzu.

*Nie, tak dobrze nie będzie!*

Jérôme dzwoni po pielęgniara, by pomógł mu położyć się w łóżku na noc. Nic mu nie mówi o drapaniu. Wystarczy mu drut do robótek ręcznych...

Sięga po czasopismo medyczne, które przyniosła mu Caroline, i pograża się w lekturze, kiedy rozlega się nieśmiałe pukanie do drzwi. Julie zagląda cichutko, by sprawdzić, czy jeszcze nie śpi.

– Wejdz, Julie! Dobrze, że przyszedłeś Chodź!

Julie wchodzi i zamyka za sobą drzwi, zostając jednak blisko wyjścia. Jest zawstydzona jak mała dziewczynka pierwszego dnia w nowej szkole, nie śmie na niego spojrzeć. Nie widziała go od wypadku.

– Chodź, podejdz tu – prosi Jérôme, wskazując jej krawędź łóżka.

Julie podchodzi pomału, patrząc w podłogę. Łzy znów płyną.

– No, chodź, przytulę cię. Teraz to ty potrzebujesz pocieszenia. Wypłacz się porządnie! Ty mi nie powiesz, że nie wolno. W przypadku cebuli mówię „nie”, ale tym razem masz pełne prawo.

Julie długo wylewa łzy. W powietrzu unosi się klimat bretońskiej plaży. Jérôme kołysze ją delikatnie, chroniąc swoją nogę-puzzle przed ruchem i starając się nie wskoczyć za nią do dołu. Ona tego nie potrzebuje. Julie wydostaje się w końcu z jego ramion i po prostu się do niego uśmiecha, ocierając oczy.

- Nie swędzi cię za bardzo pod gipsem?
- Okropnie. To niemal nie do zniesienia.
- Podrapać cię?
- Nie trzeba, dziękuję, to miło z twojej strony. Mam etatową drapaczkę. Nie chcę ci tym zawracać głowy. Nie pytam, jak on się czuje. Caroline przekazała mi wiadomości. Jej ojciec jest szefem oddziału.
- Naprawdę? – odpowiada Julie zaskoczona. – Jest bardzo miły.
- Ona też.
- To ona jest twoją etatową drapaczką?
- Tak, świetnie drapie.
- Ja bardzo lubię, jak ktoś drapie mnie po plecach.
- Odwróć się! – mówi Jérôme.
- Tutaj?
- A czemu nie? Przecież nie robimy nic złego – dodaje, wsuwając dłonie pod jej T-shirt. – Na łódce robiliśmy gorsze rzeczy...
- Byliśmy sami – odpowiada Julie.
- W każdej chwili Moby Dick mógł tam wtargnąć bez ostrzeżenia. Tak dobrze?
- Trochę wyżej.
- Tutaj?
- Bardziej na prawo. A jak wejdzie pielęgniarka?
- To pielęgniarz.
- Tym bardziej. Inny rodzaj Moby Dicka!
- Drapię cię po plecach. Co w tym złego? Możesz zamieszkać u mnie z Caroline, wiesz?
- Nie, nie chcę przeszkadzać. Wracam do pracy, mam dziwaczne godziny.
- Ona przez cały dzień pracuje, nawet nie zauważy twoich wyjść i powrotów.

A przynajmniej nie będziecie wieczorami same. Wiesz, ona jest naprawdę miła. Jej towarzystwo dobrze ci zrobi.

– Sama nie wiem, przemyślę to.

– Wszystko już przemyślane. To w połowie drogi między twoją pracą a szpitalem. Zaoszczędzisz czas i energię. Zmień otoczenie i pozwól sobie pomóc.

– Ale ty wkrótce wrócisz do domu!

– Jeszcze zobaczymy. Długo już tu siedzę, ale najpierw trafię pewnie na oddział rehabilitacji.

– Tak samo jak Lulu?

– Nie wiem. Może. Mam nadzieję. A więc jak, zgadzasz się dotrzymać Caroline towarzystwa?

– Spróbuję. Zobaczymy, jak to się ułoży.

– Poprosiłem, by użyła swoich atutów, aby cię przekonać. Spraw, żeby myślała, że to dzięki niej. Ta dziewczyna nie ma za grosz pewności siebie. To jej pomoże.

– Jakich atutów?

– No właśnie, powiesz mi, jakich użyła – odpowiada z uśmiechem. – A teraz idź i odpocznij trochę – mówi, opuszczając jej T-shirt.

## AUTOMAT DO KAWY

Kilka dni później.

Dochodzi dwudziesta.

Julie idzie do szpitalnej kawiarni, już o tej porze zamkniętej, ale stoi tam automat z gorącymi napojami, w którym wybiera cytrynową herbatę z cukrem. W tej chwili tylko to jest w stanie przejść przez jej ściśnięty żołądek.

Moneta utyka po drodze, automat się blokuje. Pierwsza myśl: dlaczego życie tak się na nią uwzięło? Jakby straciła perspektywę, zdolność odróżniania rzeczy ważnych od głupich i banalnych.

Zaczyna stukać obok dziurki, do której wrzuca się monety.

Nic.

Uderza mocniej, z boku.

Nic.

Rozejrzawszy się dookoła, by się upewnić, że jest sama, Julie kopie maszynę z całej siły. Przez chwilę ściska w dłoniach bolącą stopę, klnąc pod nosem jak szewc, ale moneta wpada do wnętrza automatu, który wreszcie wypluwa z siebie plastikowy kubek. Jej stopa się zagoi, za to maszyna zachowa ślad po ich spotkaniu.

Julie mogłaby dać upust złości i wyładować się na czym innym, ale padło na automat do kawy. Czuje się lepiej, nie wiedząc, czy to zasługa herbaty, czy kopniaka.

Pewnie jednego i drugiego!



# PROUSTOWSKA MAGDALENKA

- Podrapać cię? – pyta Julie, wchodząc do sali Jérôme’a.
- Jeszcze tu jesteś?
- Lulu zasnął. Będę wracać do domu.
- A nie jest w śpiączce? Nie doszukuj się w tym żadnej ironii...
- A przydałoby się, prawda? – mówi bez przekonania.
- Caroline powiedziała, że wprowadziłaś się do niej wczoraj.
- Tak, bardzo mi się podoba twój dom. Jest większy niż moje trzydziestometrowe mieszkanko. I nie mam pod nosem pokoju Lulu, a to pozwala mi myśleć o czymś innym...
- No to jakich atutów użyła?
- Że dobrze się zrozumiemy, między nami dziewczynami...
- Taaa. Nie wiem, czy jesteście tym samym typem dziewczyny.
- Że będzie mogła pożyczać mi kosmetyki do makijażu i podpaski.
- Tak powiedziała???
- Nie, szlifuję swój dowcip i próbuję cię wkręcić, co w twojej sytuacji, musisz przyznać, jest raczej komiczne.
- Cieszę się, że odzyskujesz pozory złośliwości, nawet jeśli dzieje się to moim kosztem. No serio, powiedz.
- Sam ją zapytaj!
- Nigdy mi się nie przyzna.

- Powiedziała, że potrzebuje towarzystwa, bo czuje się samotna.
- To nie jest żaden atut! – stwierdza Jérôme.
- Rzeczywiście. Ale dobry powód.
- Jak się czujesz, Julie?
- Cóż... Za dwa dni muszę wrócić do pracy.
- Dasz sobie radę. A ja mogę przy nim posiedzieć. Paul też. Powiadomiłaś swoich rodziców?
- Tak. Zostawiłam wiadomość na ich automatycznej sekretarce. Mama oddzwoniła – oznajmia, nie mówiąc nic więcej.
- I co powiedziała? – pyta Jérôme po chwili milczenia.
- Niewiele. Jest jej przykro. Nie może go odwiedzić, sama nie czuje się najlepiej.
- A twój ojciec?
- Cisza w eterze.
- Cholera! – wścieka się Jérôme.
- To nic. Nie potrzebujemy go.
- Ten człowiek, którego zaprzęta wyłącznie religia, będzie potrzebował listy wyjaśnień równie długiej jak Biblia, by przejść rozmowę kwalifikacyjną u Świętego Piotra.
- Trzymaj, coś ci przyniosłam...
- Co takiego?
- Twoją Proustowską magdalenkę – odpowiada Julie, wyjmując małą siateczkę ze swojej torebki. – Znalazłam je w szufladzie komody stojącej w pokoju, który mi odstąpiłeś, w głębi korytarza.
- Tulisie! Skąd ty o nich wiesz?
- A jak myślisz?
- Mój ojciec miał czelność ci o tym powiedzieć?

- Nawet o tulisiu olbrzymie!
- A ty miałaś jakiegoś swojego tulisia?
- Ja? Maskotkę małpkę. Wszędzie ją ze sobą nosiłam. Kiedy miałam siedem lat, tata uznał, że jestem już za duża na taką dziecinadę. Pewnego wieczoru wyrwał mi ją z rąk i wrzucił do pieca.
- Chcesz kilka moich tulisiów?
- To nie będzie to samo.
- W takim razie chodź tu do mnie. Będę twoją przytulanką.
- To była małpka!
- Od siedzenia w tym łóżku mój tyłek przypomina zapewne pupę makaka!
- Nie zamierzam tego sprawdzać!... – odpowiada Julie, uśmiechając się do niego.

## POWYKRZYWIANY DĄB

Julie wyszła odetchnąć. Ta jesienna niedziela jest bardzo przyjemna. Jutro musi wrócić do pracy. Nie wie, jak to wytrzyma. Urzędniczka z opieki społecznej powiedziała jej o możliwości pracy w niepełnym wymiarze ze względu na chorobę dziecka. Musi tylko poinformować o tym kierownika. To prawo przysługuje jej automatycznie, wie jednak, że on znajdzie jakiś sposób, by nie mogła z niego skorzystać. Tak dla zasady. Ponieważ złośliwość to jego chleb powszedni.

Pojechała tramwajem do centrum miasta, zmienić otoczenie, pospacerować wśród parkowej zieleni. Usiadła na ławeczce pod dębem. Patrzy na to stare drzewo, które owinęło się wokół taśmy, którą go przewiązano i zapomniano zdjąć, gdy stała się za ciasna. Dąb musiał sobie jakoś z tym poradzić, zaczął więc rosnąć dookoła, wypuszczając powykrzywiane narośle. Nie ma tak harmonijnej budowy jak jego sąsiedzi, ale wyrósł równie wysoki. Z daleka nie widać żadnej różnicy. Po ścięciu być może nie byłoby z niego pięknych desek, ale rzuca cudowny cień, tak samo jak wszystkie inne drzewa. A jego szczególny wygląd sprawia, że jest wyjątkowy, stał się nawet miejscem spotkań, jest rozpoznawalny. Stał się punktem odniesienia. Inne są anonimowe, nieciekawe.

Julie myśli o Ludovicu, o tej taśmie, która go teraz otacza i w której być może pewnego dnia będzie mu za ciasno, o jego urazach po wypadku, których nikt nie będzie mógł wymazać. On także stanie się wielkim dębem, mocnym i wyjątkowym.

Kto by się przejmował deskami!

## PILNE BŁAHOSTKI

Poniedziałek. Powrót do pracy.

Julie korzysta z przerwy, by zadzwonić do Paula ze swojego nowego telefonu. Próbuje zrozumieć działanie komórki niczym trzyletnie dziecko stojące w kokpicie airbusa A350. Paul, przewidujący i pragmatyczny, przypisał swój numer do odpowiedniego klawisza. Julie naciska długo dwójkę i niczym za sprawą czarów na ekranie pojawia się numer jej przyjaciela. Pod trójką kryje się numer na oddział Lulu, pod czwórką numer Jérôme'a, pod piątką Caroline, a pod szóstką Manon. Paul pokazał jej także, jak za pomocą jednego przycisku wrócić do głównego menu, kiedy się zgubi.

Paul konsekwentnie odpowiada wszystkim, że jest na spotkaniu. Przywilej urzędników wyższego szczebla tuż przed emeryturą, z którego skrzętnie korzysta. Uprzedził swoich kolegów: „Jeśli się rozłączę, znaczy, że to pilne”, ogłaszając jednocześnie, że wszystkie telefony od Julie są pilne, nawet jeśli dzwoni w sprawie jakiejś błahostki. Niektóre błahostki są jednak pilne.

Opowiada mu o swoim powrocie do pracy, o tym kierowniku, który odrobinę odziedziczonego po rodzicach człowieczeństwa musiał chyba zgubić w łożysku, które towarzyszyło mu w dniu narodzin. W każdym razie owa krztyna filantropii skończyła w koszu na śmieci, ustępując miejsca nieprzerwanej złościwości.

- Ale nie odmówił ci zgody na pracę w niepełnym wymiarze?
- Nie, nie miał prawa, chociaż powiedział mi, że to nie jest ważny powód i że

zobaczę, jaki będę miała piękny grafik. Mam ochotę rzucić tym facetem o ścianę.

– Nie zrobiłaś tego?

– A przyjrzałeś mi się dobrze? Co prawda podtuczyłeś mnie w Bretanii, ale to wciąż nie moja kategoria wagowa.

– Julie, pewnego dnia za wszystko nam zapłaci. Jeszcze nie teraz, masz inne rzeczy na głowie, ale snuj plan zemsty, by w odpowiedniej chwili był gotowy. Tak czy inaczej, będziesz miała teraz więcej czasu. I trzymaj się. To wszystko dla małego.

Znów panuje hałas i przeciąg typowy dla kasy numer dwanaście, przy której ją posadzono, znów przewijają się nachmurzeni niczym chmury gradowe klienci, którzy nie mówią jej dzień dobry, ledwie zaszczycając ją spojrzeniem, wzdychają ostentacyjnie, kiedy nie może znaleźć kodu kreskowego, niecierpliwia się, gdy klient stojący przed nimi daje jej siedem kuponów promocyjnych, które musi wprowadzić ręcznie. Znów są kupony rabatowe, dodawane do każdego rachunku, które będą zaśmieszać półki w kuchniach klientów, ale dzieci za żadne skarby świata nie odpuszczą ani jednego, nawet jeśli kasjerce już się skończyły. Znów tyle straconego czasu, kolejni jęczący klienci, tysiące spraw do ogarnięcia, maksimum koncentracji, by nie popełnić błędu, który zaprowadziłby ją do biura kierownika. A przede wszystkim znów jest to zmęczenie, wywołane koniecznością zajmowania się idiotycznymi drobiazgami, podczas gdy tam, kilkadziesiąt kilometrów stąd, dziecko śpi snem zbyt głębokim, po tym jak nieodpowiedzialny pijak postanowił przekręcić kluczyk w stacyjce, nie zastanawiając się nawet, że tej nocy może zniszczyć czyjeś życie. Swoje własne życie Julie ma gdzieś, ale życie Lulu...

A jeśli chodzi o te kupony promocyjne i rabatowe, mogą je sobie wsadzić, zwłaszcza kierownik!

– Już ci mówiłem, że możesz rzucić pracę, a ja zatroszczę się o wszystkie

twoje potrzeby – powtarza jej Paul niezmordowanie.

- Nie, nie chcę być od nikogo zależna.
- Jesteś uparta!
- Pragmatyczna...
- Dumna!
- Racjonalna...
- Zawzięta!
- Zdecydowana...
- Okej, poddam się, ale jestem tu, wiesz o tym.

Wie.



## PRZYSŁOWIE

Julie właśnie skończyła toaletę Ludovica. Mały leży tu już trzynaście dni. Lekarz po chwili wychodzi z sali. Wyniki badań pooperacyjnych są całkiem niezłe, a najgorsze chwile należą już do przeszłości. Mocz znów stał się przejrzysty, blizny przyblakły, wyniki morfologii są w normie. Znów oddycha samodzielnie, więc można było odłączyć go od respiratora. Ostra faza się skończyła, ustępując miejsca fazie przewlekłej – to określenie napawa Julie przerażeniem.

Przewlekły: przymiotnik, oznacza „trwający długo, mający długotrwały przebieg”.

Przygotowuje się do tego myślami, planuje, jak wykorzystać czas. Udało im się już ustalić stały rytm dyżurów przy łóżku małego. Julie przychodzi rano, po czym zastępuje ją Jérôme, który opowiada mu bajki, siedząc przy nim na wózku inwalidzkim, którym jeździ, czekając, aż kości nogi się zrosną; potem znów zmienia go Julie, wracając z supermarketu. Czasami Paul przychodzi wieczorami, by dać jej trochę czasu dla siebie, żeby mogła odetchnąć. Julie nie potrafi zostawić Lulu samego w ciągu dnia. Czułaby, że go porzuca, zdradza, że przynosi mu zawód, że jest niegodna.

Drzwi otwierają się po krótkim, cichym pukaniu.

– Dzień dobry! Pani jest mamą Ludovica? Nazywam się Romain Forestier, jestem tutejszym fizjoterapeutą, będę się nim zajmował. Miło mi panią poznać.

Uścisk dłoni jest mocny i pewny. Spojrzenie przenikliwe, tak długie, że

graniczące niemal z prowokacją, jakby chciał sprawdzić, czy stojąca przed nim osoba to wytrzyma, czy spuści wzrok. Julie nie odpuszcza. Na pewno nie ona. Skoro nie opuszcza już rąk, nie będzie też spuszczać oczu. Spojrzenie trwa dłużej niż uścisk dłoni. To ledwie kilka sekund, które jednak zdają się ciągnąć w nieskończoność.

– Pracuję w centrum rehabilitacji na drugim końcu miasta, słyszała pani o nim?

– Tak, coś słyszałam.

– Zwykle zajmuję się tu dziećmi, które prawdopodobnie później tam trafią, po wyjściu ze szpitala. Kilka dni temu dostałem kartę Ludovica...

Pochyla się nad chłopcem, ściska jego dłoń i wpatruje się w niego, tak jak wcześniej w jego mamę, jakby chciał zajrzeć za jego zamknięte powieki.

– Dzień dobry, Ludovic, możesz mi mówić Romain, zdaje się, że spędzimy razem sporo czasu. Przyszedłem zrobić ci masaż, rozruszać trochę twoje ciało, zanim się obudzisz. A o tym, co dalej, porozmawiamy w odpowiednim czasie.

Mówi do chłopca jak do dorosłego, bez rozczulania się. Z szacunkiem i prostotą.

Otwiera małą buteleczkę z olejkiem do masażu. Wlewa kilka kropel w zagłębienie dłoni i rozciera drugą, aby go ogrzać. Pierwszy dotyk nie może być niemiły, wystarczy, że ugniatanie nie ma w sobie nic kojącego. Bardzo powoli zbliża dłonie do skóry chłopca i muska ją niemal niedostrzegalnie. Zaczyna od stóp, siadając w nogach łóżka i kładąc sobie dziecięcą stópkę na udzie. Julie obserwuje go dyskretnie. Jego ramiona znaczą długie niebieskie żyły. Jego błyszczące dłonie zwinnym, pewnym gestem poruszają się wzdłuż nogi dziecka. Są szerokie i wydają się bardzo miękkie. Lekko falujące kasztanowe włosy podążają dyskretnie za ruchem głowy. Na twarzy delikatny zarost, równo przystrzyżony. Męska kokieteria, wzruszające.

Romain pracuje w milczeniu. Julie szanuje ten intymny moment. Cichy

dźwięk przykuwa jej uwagę. Jego ruchom towarzyszy delikatne grzechotanie. Zdaje się pochodzić spod jego podkoszulka. Na szyi błyszczą srebrny łańcuszek, to zapewne jakiś wisiołek tak śpiewa...

Kwadrans upływa w takiej ciszy, że można niemal usłyszeć szelest skrzydeł przelatującego anioła.

Julie jest rozbawiona, uśmiecha się. Jej anioł nie odlatuje, wślizguje się pod palce tego mężczyzny.

– A pani? Jak się pani czuje? – pyta w końcu.

– W porządku, na ile to możliwe w podobnych okolicznościach. Trzymam się. Świat się rozpada, ale ja się trzymam.

– ...

– ...

Anioł obserwuje ich za kulisami, gotowy do działania...

– To, co panią spotkało, jest bardzo trudne, ale cokolwiek się stanie, poradzi sobie pani, bo nie ma innego wyjścia. Życie toczy się dalej, niestrudzenie.

Julie nic nie odpowiada, choć doskonale rozumie, o czym on mówi.

Mężczyzna kontynuuje:

– Arabskie przysłowie mówi: „Nie opuszczaj rąk, bo możesz to zrobić...

– ...na dwie sekundy przed cudem”.

Romain nie patrzy w jej stronę, ale Julie widzi, że mężczyzna uśmiecha się pierwszy raz. Po czym niepostrzeżenie uśmiech znika z jego ust, niczym kolor, który nagle zbladł.

Anioł wraca na miejsce...

– Będę przychodził codziennie, z wyjątkiem weekendów. Pobudzanie Ludovica jest bardzo ważne. Pani też może go masować.

– Już trochę próbuję.

Mężczyzna wychodzi.

Jaka tajemnicza postać. Na pierwszy rzut oka dosyć chłodny, ale ostatecznie jego obecność zadziałała kojąco. Wydaje się tak pewny siebie wobec przeciwności losu. Bez wątpienia ma wielkie doświadczenie w pracy z takimi małymi pacjentami. Tymczasem jest całkiem młody. Załedwie koło trzydziestki.

I jeszcze to przysłowie. Julie powtarza je sobie w kółko od pięciu lat. Być może pierwszy raz ktoś nie pozwolił mu skończyć zdania.

To był pierwszy raz.

I to ciche grzechotanie...

## MAŁE ZMARSZCZKI WOKÓŁ OCZU

Kilka dni później.

Julie już dawno skończyła toaletę Ludovica. Fizjoterapeuta jeszcze nie przyszedł. Uczucie pustki, jakby nicość rozlewała się w jej wnętrzu, przyprawiona odrobiną zniecierpliwienia. Czeka na niego.

Mężczyzna przychodzi pół godziny później. Niczego nie tłumaczy. Coś mu wypadło? Musiał się zająć innym małym pacjentem?

Romain Forestier jest bardzo małomówny. Pozostaje skupiony na swojej pracy, nie uśmiecha się zbyt wiele, rzadko patrzy na Julie. Jest coś uspokajającego w głosie, spojrzeniu i postawie tego człowieka. Jest w nim także jakaś tajemnica. I to ciche grzechotanie pod T-shirtem, kiedy pochyla się nad chłopcem, robiąc mu masaż i próbując choć trochę rozruszać jego bezwładne, pogrążone we śnie kończyny.

U nasady czoła, między brwiami pojawia się głęboka zmarszczka. Ciągnie się prosto, pionowo przez kilka centymetrów. Nadaje to jego twarzy wyraz powagi i koncentracji. Wokół oczu promieniują delikatne zmarszczki. Wreszcie dwa głębokie, łukowate rowki po dwóch stronach ust strzegą jego, zapewne ciepłego, uśmiechu. Julie próbuje wyobrazić go sobie poza pracą. Jakie życie prowadzi? Czy jest żonaty? Czy ma dzieci? Czy chodzi do kina z przyjaciółmi? Jaki ma charakter? Zawsze jest tak poważny jak w tej sali czy po zdjęciu białego fartucha zmienia się w wesołka?

Sekrety ludzi wcale nie są wypisane na ich twarzach. Czasami zdaje się nam,

że je odkryliśmy, a potem okazuje się, że to zupełna pomyłka.

Na serdecznym palcu lewej dłoni nie ma obrączki. Czy zdejmuje ją w godzinach pracy, dla higieny i wygody w trakcie masażów?

Julie wstaje gwałtownie, podchodzi do okna i przygląda się życiu na zewnątrz. Jak może zadawać sobie takie pytania, podczas gdy Ludovic leży tam w śpiączce, ze straszliwymi obrażeniami po wypadku, który zdarzył się zaledwie kilkanaście dni temu? Julie czuje wstyd, wstyd, że ośmiela się myśleć o czymkolwiek poza swoim synkiem, wstyd, że ośmiela się myśleć o tym mężczyźnie.

W odbiciu szyby widzi Romaina, który przygląda się jej, masując spokojnie nogi chłopca. Później odwraca głowę w stronę Ludovica.

– Wie pani, kiedy zaczynam się zajmować jakimś dzieckiem, staram się dowiedzieć o nim więcej.

– ...

– Czy mogłaby mi pani napisać kilka słów o Ludovicu?

– To znaczy?

Julie odwraca się, opiera plecami o szybę, nie ośmielając się podejść bliżej. Woli zachować dystans, by oddalić natrętne myśli.

– To znaczy coś o jego charakterze, przyzwyczajeniach, zainteresowaniach, zachowaniu. Co pani chce. Ważne, żebym go trochę znał, kiedy się obudzi, żeby nie czuł się bardzo zagubiony.

– Będzie się pan nim zajmował, nawet jeśli zmieni oddział?

– Zwykle w podobnych przypadkach, kiedy dziecko budzi się ze śpiączki, jeszcze przez jakiś czas zostaje tutaj, by dojść do siebie, później zostaje przeniesione, by przejść rehabilitację. Spędzimy razem sporo czasu... Przynajmniej kilka miesięcy, czasem kilka lat, to zależy od stanu dziecka i od szybkości postępów.

– ...

– Przykro mi to mówić, ale będzie mnie pani miała na głowie przez dłuższy czas.

Julie się uśmiecha, po czym powoli podchodzi do fotela przy łóżku.

– Może to pan będzie musiał nas znosić.

– Jestem silny, proszę się nie martwić.

Uśmiechają się obydwójce.

– Dowiemy się, kiedy znów będzie mógł chodzić?

– Wszystko po kolei. Musimy dać mu czas. Najpierw, by się obudził.

– Martwię się o to, co będzie potem.

– Jak już pani mówiłem, cokolwiek się stanie, jakoś z tego wyjdziemy. Czasem trochę poobijani przez życie, ale wyjdziemy. A dzieci mają w sobie niewiarygodną siłę. Bardzo szybko przystosowują się do nowych warunków. W jego wieku umiejętność uczenia się osiąga niemal swój szczyt, zobaczy pani.

Julie patrzy, jak mężczyzna układa Ludovica wygodnie w łóżku. Na koniec delikatnie gładzi go po policzku, tak samo jak ostatnim razem.

– Liczę na pani mały raport o Ludovicu. Może go pani przygotować na poniedziałek?

– Napiszę go tutaj, powinnam znaleźć wolną chwilę – mówi Julie, uśmiechając się do fizjoterapeuty.

Romain patrzy Julie głęboko w oczy, jak to ma w zwyczaju. Dwie bruzdy podkreślają uśmiech, drobne zmarszczki wokół oczu promienieją.

To spojrzenie zostaje w niej jeszcze po jego wyjściu, niczym ślad stopy odbity w mokrym piasku, nim zmyje go fala.

## KOPERTA

Następny poniedziałek.

Julie podała mu kopertę, zanim zdążył podejść do łóżka Ludovica. Waży ją w dłoni, zaskoczony jej grubością. Zwykle rodzice zostawiają kilka słów na skrawku papieru. Julie zapisała imię Ludovica ozdobnym pismem, każdą literę w innym kolorze, narysowała też kilka motyli, wielkie słońce i kwiaty na trawniku...

Zawsze można sobie pomarzyć, prawda?!

Zdumione spojrzenie Romaina spotyka roześmiane oczy Julie, dumnej z siebie i wzruszonej. Ofiarowała mu jakąś część swojego syna. Ożywiła go, tylko na papierze, ale dzięki temu mogła zanurzyć się we wspomnieniach.

Romain nie ma odwagi zgiąć koperty i włożyć jej do kieszeni, stawia ją więc na stoliku obok łóżka:

– Przeczytam w wolnej chwili, dziękuję.

– To ja dziękuję, dobrze mi to zrobiło.

Reszta wizyty przebiega w milczeniu. Jednak na ustach Julie pozostaje uśmiech. Rowki w kącikach ust Romaina delikatnie się pogłębiają. A anioły przelatują tam i z powrotem. Istny festiwal, podniebny balet, całe mnóstwo tańczących cherubinów...

Późnym wieczorem Romain czeka, aż Charlotte zaśnie, po czym siada na kanapie. Mała lampka w salonie świeci dosyć słabo, ale to wystarczy. Zbyt dużo



światła zaślepiłoby słowa.

Otwiera kopertę, której Julie nie zakleiła.

Kiedy rozkłada kartkę papieru listowego, na jego kolana spada zdjęcie. Ludovic z mamą nad brzegiem morza. To wygląda na Bretanię. Twarzyczkę dziecka rozjaśnia szeroki uśmiech. Julie wpatruje się w synka.

Ludovic urodził się nieco ponad trzy lata temu, kilka pięter poniżej sali, w której leży w tej chwili. Okno było uchylone, dochodził przez nie śpiew ptaków.

Jego taty przy nas nie było. Nie było go już wtedy, gdy Ludovic był ledwie zlepkiem komórek.

Kilka miliardów komórek później otworzył swoje pełne determinacji oczka, patrząc na moją skórę. Jego spojrzenie było tak głębokie, że można w nim było utonąć. Dziś jego nieobecne oczy sprawiają, że z moich ciągle płyną łzy.

W tym cudownym momencie towarzyszyła mi przyjaciółka z dzieciństwa. Dwie wróżki pochylone nad jego łóżeczkiem, życzące mu szczęśliwego i spokojnego życia. Trzeba było poważnie pomyśleć o jakimś kursie posługiwania się czarodziejską różdżką... prawda? Albo może jednej wróżki zabrakło, by czar był skuteczny, no chyba że jakaś zła czarownica pojawiła się tam niezauważona i rzuciła zaklęcie na mojego śpiącego królewicza.

Lulu zawsze wykazywał niezwykłą determinację. Od pierwszego karmienia piersią doskonale wiedział, czego chce: żyć, rosnąć, odkrywać świat, można to było dostrzec w jego małych, okrągłych oczkach.

Kiedy znalazłam pracę – trzeba z czegoś żyć – powierzyłam go niani. To do niej pierwszy raz się uśmiechnął, przy niej pierwszy raz chwycił w rączkę zabawkę, postawił pierwszy krok, wypowiedział pierwsze sylaby. Ale wszystko mi opowiedziała. Samotna matka musi dokonywać w życiu wyborów. Zdecydowałam się zachować Ludovica, gdy był jeszcze czas, by go usunąć z mojego brzucha. Każde spojrzenie na niego potwierdza mi codziennie, że dokonałam dobrego wyboru.

Zawsze był bardzo wrażliwy. Boi się nawet, gdy ktoś trzaśnie drzwiami.

Kiedy poszedł do przedszkola, ledwie kilka tygodni temu, długo płakał. Ja też. Rozłąka była bolesna. Grupy żywiołowych i hałaśliwych dzieci raniły jego wrażliwość.

Ludovica fascynują tęcze, zwłaszcza jeśli łuk rozciąga się od krańca do krańca horyzontu... Zresztą, dwa miesiące temu powiedział mi:

– Mamusiu, wiesz, że u podnóża tęczy jest skarb?

– Tak, wiem.

– Może pójdziemy go poszukać pewnego dnia?

– Tak, moglibyśmy, ale wiesz, że to trudne, bo im bardziej zbliżasz się do tęczy, tym bardziej ona się oddala...

– A więc będziemy musieli bardzo szybko biec!!!

A Ludovic szybko biega, cały czas.

Jest małym figlarzem. Ciągłe chowa mi różne przedmioty, których czasami szukam przez długą chwilę, aż mały nie może już dłużej wytrzymać i pokazuje mi swoją kryjówkę. Na nieszczęście dla mnie jest w tych sprawach bardzo wytrwały...

Ludovic szybko się uczy, ma też bardzo dobrą pamięć, ale jest marzycielem. Potrafi siedzieć zamyślony przez długie minuty.

Zaczyna sobie tworzyć wyimaginowanych przyjaciół. Jest wśród nich Krokiet, Artur, Gwiazdka, Śnieżynka. Czasami przygotowuje dla nich przyjęcie, zostawiając im kawałek swojej bułeczki. Spędzają razem popołudnia, bawiąc się w jego małym pokoju.

Inne dzieci bardzo go lubią. Nie jest agresywny, tylko łagodny i miły.

Lubi, kiedy czytam mu bajki. Niektóre z nich zna już na pamięć i biada mi, jeśli zmienię choćby jedno zdanie.

Uwielbia oglądać błyszczące świąteczne dekoracje na wystawach sklepowych i cieszy się tymi, które wieszamy na Boże Narodzenie w naszym mieszkaniu. Wciąż jeszcze mówi „najodzenie”, bo wszystkie głoski „r” ciągle zatrzymuje dla siebie.

Ludovic jest nieco drażliwy, czasami marudny. Boi się ciemności, uwielbia płomień świecy, który tańczy, kiedy na niego dmucha, swoją ukochaną przytulankę nazwał

„Królik”, lubi prostotę, spokój, wąskie strumyki, na których można budować tamy, czasami śmieje się przez sen. Przed wyjściem do przedszkola zapomina czasem wytrzeć swoje czekoladowe wąsy. Zawsze zostawia sobie górę płatków zbożowych na koniec śniadania, lubi lody waniliowe, nie lubi cukinii, szpinaku, kawałków owoców w jogurcie i najgorszych ze wszystkiego: brokułów. Używa ich nazwy jak najobrzydliwszej obelgi! Uważaj, jeśli pewnego dnia nazwie cię brokułem. Wylizuje naczynia, kiedy pieczemy ciasto, boi się tłumy, bierze mnie za rękę, kiedy oglądamy kreskówki. Udaje, że gwizdże, wkładając dwa palce do buzi i wydając z siebie śmieszny pisk... Uśmiecha się do mnie, gdy przychodzę po niego do przedszkola, bardzo lubi Camille, koleżankę z grupy, bo jej buzia jest cała w piegach i dlatego że dziewczynka lubi kopać piłkę. Czasami przychodzi z płaczem do mojego łóżka, bo przyśnił mu się koszmar. Biegnie w głąb ogrodu, by zrobić siusiu jak najlepiej ukryty przed wzrokiem innych. Zbiera małe suche patyczki, bo takie najlepiej pływają w kanale za naszym domem. Przesypuje całą zawartość nowej paczki płatków śniadaniowych do miski, żeby wydostać znajdujący się zawsze gdzieś na dnie prezent. Podnosi z ziemi ładne kamyki, wkłada je do kieszeni, po czym zawsze o nich zapomina, ku wielkiej rozpaczki pralki. Lubie ciszę. Układa swoje szklane kulki kolorami, w małych pudełeczkach. Bierze kosmyk włosów i okręca go dookoła kciuka, ale woli moje włosy.

Ludovic jest wrażliwy, szlachetny, delikatny, silny, odważny, radosny. Kocham jego śmiech, spojrzenie, energię, łagodność.

Kocham go...

Julie

Romain składa trzy kartki i długo wpatruje się w zdjęcie.

Długo...

## OCZEKIWANIE

Miesiąc. Ludovic jest tu już cały miesiąc. Wciąż śpi. Bardzo długo śpi. Czasami Julie wychodzi wieczorem nieco wcześniej. To nie tak, że oddala się od synka, tylko czasem musi się naładować. Czekanie jest długie, czekanie jest trudne. Niekiedy opada ją zwątpienie, ma ochotę zrezygnować, poddać się, przerwać ostatnią nitkę nadziei, która ją z nim wiąże, opuścić rękę. Jednak te chwile są rzadkie i krótkie. Przychodzą, kiedy Julie robi krok w tył, by ocenić własne położenie, mieć pełny obraz, i wtedy nagle zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. Szybko wraca do swojej bańki niepewności, do nieco odruchowych, instynktownych działań. Człowiek wariuje, kiedy spojrzy takiej prawdzie prosto w twarz. Lepiej ukryć to, co jest zbyt trudne, nie zastanawiać się, postawić codzienność na pierwszym planie, żyć, nie myśląc o konsekwencjach, pogрузić się we wspomnieniach, by uciec od teraźniejszości, a tym bardziej od tego, co może przynieść przyszłość. Julie bierze rzeczy takimi, jakie są, żyje chwilą, pomału na nowo powraca do życia. Rozpacz i przygnębienie jeszcze nikomu nie pomogły przezwyciężyć trudności. Więc Julie wychodzi z przyjaciółką i regularnie jada kolacje z Paulem. Dbą o relacje z innymi i dzięki temu pozwala kilku promykom słońca przebić się przez spowijające ją chmury.

## KRYSTAŁEK CUKRU

Julie zasnęła z głową na łóżku przy ręce Ludovica, którą trzyma w swoich dłoniach. Kiedy Romain Forestier wchodzi do sali, tak cicho jak zawsze, Julie jest zbyt mocno pogrążona we śnie, by to zauważyć.

Mężczyzna delikatnie gładzi ją po policzku wierzchem dłoni, by ją obudzić, ale nie przestraszyć, tak samo jak zwykle muska policzek Ludovica, gestem, który tak podoba się Julie. Dziewczyna nieznacznie porusza powiekami, lecz natychmiast znów zapada w sen.

Romain siada więc na krześle po przeciwnej stronie łóżka i przygląda się im. Przypomina sobie fotografię zrobioną na plaży, tak pełną życia, w porównaniu z tą chwilą, kiedy obydwójce są nieobecni. O ile twarz Ludovica od wielu tygodni pozostaje spokojna i bez wyrazu, twarz Julie przemawia. Jest pogodna, niemal radosna. Kąciki ust zdają się nieznacznie unosić w uśmiechu. Romain próbuje sobie wyobrazić, co ona przeżywa, tam gdzie teraz jest.

Jeszcze kilka minut przyjemność, jaką odczuwa, podziwiając ten obraz, walczy w nim z żalem, że powinien ją obudzić, bo musi się zająć Ludovikiem.

Kolejny raz muska policzek dziewczyny swoją ciepłą, miękką dłonią. Czy Julie poczuła jego dotyk tam, skąd właśnie wraca? Otwiera oczy i niemal podskakuje na widok fizjoterapeuty, który patrzy na nią z nieco zakłopotanym uśmiechem, jak dziecko przyłapane na gorącym uczynku.

– Bardzo przepraszam, chętnie pozwoliłbym pani jeszcze spać, ale obowiązki wzywają i przed południem muszę odwiedzić jeszcze jedno dziecko.

Julie zaczyna się tłumaczyć, zmieszana i pełna wyrzutów sumienia.

– Dobrze pani zrobiła, takie krótkie chwile odpoczynku są bardzo ważne. Z pewnością ich pani potrzebuje.

Julie wstaje, wciąż jeszcze trochę zamroczone, przygląda dłonią nieco rozczochrane krótkie włosy. Na lewym policzku odcisnęło się zagięcie prześcieradła. Rozczulający szczegół.

Jednak Romain czuje, że Julie ma się źle. Dziewczyna wierci się niespokojnie na krześle, rozgląda się dookoła, a w oczach zaczynają szklić się łzy.

– Wszystko w porządku?

– Tak, tak... to znaczy, nie, nie bardzo, to mi się zdarza, kiedy nagle się obudzę. No a teraz jestem trochę nadwrażliwa.

Szybko ociera łzę, ale jej gest nie uchodzi uwagi Romaina.

– Czy mogę zaprosić panią na kawę, jak wrócę od kolejnego pacjenta, na przeprosiny?

– Och! Nie ma pan za co przepraszać, wykonuje pan tylko swoją pracę...

– W takim razie jedynie dla przyjemności?

Julie waha się przez chwilę, wciąż rozdrażniona bolesną pobudką. W końcu przyjmuje zaproszenie.

– Przyjdę po panią.

– A ja skorzystam, że jest pan tu w tej chwili, i pójdę przemyć twarz zimną wodą.

Po powrocie Julie widzi, jak Romain trzyma Ludovica za rękę i szepcze mu coś do ucha. Pierwszy raz został z nim sam na sam, bez mamy, która słyszy wszystko, co do niego mówi. Julie jest wzruszona uwagą, jaką poświęca chłopcu, i tą bliskością w jego relacji z Ludovikiem i prawdopodobnie wszystkimi innymi dziećmi, którymi się zajmuje. Nie wygląda na to, by ta praca była dla niego ciężarem. Dziewczyna chrząka cicho, by zauważył jej obecność i nie czuł się

niemile zaskoczony w tej intymnej chwili. Romain gładzi Ludovica po policzku, uśmiecha się do Julie i wychodzi z sali.

– W takim razie do zobaczenia później, myślę, że za jakąś godzinę.

Zdażyła jeszcze zauważyć łańcuszek na jego szyi, który ten jeden raz wydostał się spod koszulki. Charakterystyczne grzechotanie jest mniej przytłumione niż zwykle. Dwie obrączki uderzają o siebie przy każdym jego ruchu. Dwa małe pierścionki...

Znaleźli wolny stolik w kafeterii. Romain niesie tacę, na której stoją dwa kubki z kawą. Z daleka gestem ręki zapytał, czy słodzi, potwierdziła skinieniem głowy. Siada, podając jej kubek, cukier i cienkie plastikowe mieszadło.

– Już lepiej?

– Tak, zimna woda dobrze mi zrobiła. Chyba brakuje mi nieco snu. Wczoraj poszłam do kina.

– To wspaniale! Niektórzy rodzice nie rozumieją, że trzeba o sobie dbać, próbować prowadzić niemal normalne życie. I zobaczy pani, że przyjdzie w końcu taka chwila, że roześmieje się pani z całego serca i poczuje się winna z tego powodu. Kiedy spotyka nas w życiu wielka tragedia, wydaje się nam, że spojrzenia innych ludzi nie pozwalają nam okazywać radości, podczas gdy w głębi duszy czujemy, że tylko dzięki temu uda nam się jakoś przetrwać. Japońskie przysłowie mówi: „Szczęście przychodzi do tych, którzy potrafią się śmiać”.

– Widzę, że Japończycy konkurują z Arabami.

Romain się uśmiecha.

– To, co pan mówi, jest tak prawdziwe, że można by pomyśleć, że sam pan przez to przeszedł.

Romain spuszcza wzrok w milczeniu.

– Proszę mi wybaczyć, to nie moja sprawa – przeprasza Julie.

– Wolę o tym nie mówić. W porównaniu z tym, co pani przeżywa, to śmieszne.

– Tak, mężczyzna, który się zwierza, jest śmieszny. Dlatego postanowiliście nigdy tego nie robić. Tymczasem kobiety rozumiały, że śmieszność nie zabija. I że czasem to jest zbawienne, nie śmieszność, tylko zwierzenie się z tego, co człowiekowi leży na sercu. Bo mężczyźni też mają serce, nie mam racji?

– Tak. Czasami złamane. Moja żona odeszła.

– Odeszła? – pyta zaniepokojona Julie. – To znaczy opuściła nas?

– Nie, nie. Tylko mnie opuściła. Ale tak to już jest.

– ...

– Odeszła z adwokatem. Adwokat to brzmi lepiej, lepiej wygląda, lepiej zarabia. Bez najmniejszych skrupułów przekreśliła całe swoje dawne życie. Ja jakoś to przeboleję, ale nie rozumiem, jak mogła to zrobić Charlotte.

– Charlotte?

– Mojej córce. Właściwie, naszej córce. Widzi pani, zacząłem już o niej mówić tak, jakby nie miała matki.

– Nie przyznano jej wspólnej opieki?

– Nie wystąpiła o nią. Jej drogi adwokat uznał, że to kłopotliwe.

– Ale widuje ją mimo wszystko?

– Rzadko. Przeprowadzili się do Paryża.

– Naprawdę ją pan kochał?

– Naprawdę.

Julie nie wie, co powiedzieć. Czy to w ogóle możliwe? Matka, która porzuca dziecko, by odejść z innym mężczyzną? Dla niej to zupełnie niepojęte. Absolutnie niepojęte.

Romain odruchowo podniósł rękę do szyi, by chwycić palcami dwie obrączki. W drugiej dłoni obraca kubek kawy. Julie ścisza papierowy kubek,



próbując znaleźć odrobinę ciepła.

– Prędzej czy później wszystkie rany się zablizniają, lepiej lub gorzej, ale skóra się goi. Zostaje po nich ślad, ale człowiek jest silniejszy

Zapada długa cisza, przerywana tylko kilkoma nieśmiałymi łykami kawy. Bez wątplenia relacja tych dwojga przyciąga całe tabuny aniołów...

Julie wciąż miesza kawę małym plastikowym patyczkiem, powolnym ruchem, bezwiednie.

– Myślę, że cukier już dawno się rozpuścił.

– Tak – odpowiada Julie, wybuchając śmiechem.

Spoglądają na siebie co chwilę ze zrozumieniem, które być może przeczuwali już od pierwszego spotkania, a które nabrało kształtu właśnie przy tym małym kwadratowym stoliku, w hałasie anonimowej kawiarenki.

– A tata Ludovica?

– Nie wie pan?

– Tak, wiem, wszystko jest w karcie pacjenta. Nigdy nie dochodził swoich praw rodzicielskich?

– Nigdy.

– A pani nigdy nie chciała znaleźć mu adopcyjnego ojca?

– Każdego poranka, który Bóg nam zsyła, mam nadzieję, że znajdę tatę dla Ludovica. A przy okazji mężczyznę dla jego mamy.

– I?

– I każdego wieczoru utwierdzam się w swoim ateizmie.

– Ale jest pani bardzo miła.

Nieśmiały uśmiech pojawia się na jej ustach. Taki, jaki wywołuje dobrze trafiony komplement. Na policzkach wykwitają rumieńce, niczym dwa płatki róży...

Teraz cieszy się, że trzyma w palcach plastikowy patyczek, który daje jej

wymówkę, by spuścić wzrok i nie napotkać spojrzenia mężczyzny. Jest przekonana, że na dnie kubka musiał się jeszcze uchować jakiś kryształek cukru, zaczyna więc gorączkowo mieszać kawę.

– Dziękuję...

– Jestem po prostu szczery...

– Nie mogę znaleźć idealnego mężczyzny dla Ludovica i dla siebie!

– Nikt pani nie ostrzegł? Bajki są tylko w książkach!

A jeśli Julie ma ochotę wierzyć w bajki? Hę? To komuś przeszkadza?

Już ma odpowiedzieć, gdy Romain dodaje:

– Jeśli postawi pani poprzeczkę zbyt wysoko, żaden mężczyzna nie będzie na tyle duży, by nad nią przejść. Wszyscy przejdą dołem.

– Ile pan ma wzrostu?

Romain uśmiecha się, nie udzielając odpowiedzi.

– Wiem, nie ma idealnych mężczyzn – ciągnie Julie. – Ale nie spieszę się z wyborem. Już raz się pomyliłam, chcę ustrzec Ludovica przed kolejnym błędem.

– Nigdy się nie mylimy, kiedy kochamy.

W tej chwili jego pager dzwoni. Wzywają go na oddział. To dobrze.

## WINDA

Czekając na zamknięcie się przesuwanych metalowych drzwi, Paul nie spodziewał się, że ręka, która pojawiła się znikąd, by je przytrzymać, będzie należała do Manon.

Dosłownie wskakując do windy, bo taka już jest, zawsze w niedoczasie, całe życie w biegu z prędkością dwustu kilometrów na godzinę, Manon nie spodziewała się, że wpadnie tam na Paula, który właśnie podnosił palec w kierunku guzików wskazujących numer piętra, by wybrać właściwy, zaskoczony, że mu tak nagle przerwano.

– Mało brakowało, a oglądałbym makabryczny spektakl miażdżenia palców! – woła.

– A ja o mały włos bym pana nie złapała!

– Cieszę się, że się pani udało.

Manon się rumieni. Zwłaszcza w takiej małej, zamkniętej przestrzeni.

– Jedziemy w to samo miejsce? – pyta, by zmienić temat.

– Cóż, myślę, że tak. Pani się denerwuje?

– Nie lubię wind, ale wspinać się piechotą na ósme piętro?

– Dlaczego nie lubi pani wind?

– Mam klaustrofobię.

I wtedy nagle winda zatrzymuje się między dwoma piętrami, a w środku niespodziewanie zapada ciemność.

– To pan ją zatrzymał? – pyta Manon zaniepokojona.

– Ależ skąd, nie zrobiłbym pani tego, po tym jak wyznała mi pani, że cierpi na klaustrofobię.

– I co teraz zrobimy?

– Och, w zaistniałej sytuacji miałbym dla pani cały wachlarz ciekawych propozycji.

– To nie jest zabawne, nienawidzę ich.

– Nienawidzi pani moich propozycji, nie wiedząc nawet, co się za nimi kryje?

– Nienawidzę wind, zwłaszcza gdy się psują.

Całe oświetlenie windy ogranicza się do małej lampki awaryjnej, która pozwala im jedynie dostrzec niewyraźny czarny kontur tego drugiego. Manon jest zdenerwowana, naciska na wszystkie guziki naraz.

– A jeśli winda się zerwie i spadnie?

– Rozbijemy się razem. To znaczy, nie jesteśmy zbyt wysoko, powinniśmy z tego wyjść z niewielkimi obrażeniami. Mogę panią przytulić, moje ciało zamortyzuje wstrząs.

– Niech pan przestanie, to naprawdę nie jest śmieszne. Ja się boję.

– Czego się pani boi? Mnie?

– Nie, oczywiście, że nie pana! Boję się, że stąd nie wyjdziemy.

– Dlaczego mielibyśmy stąd nie wyjść?

– Moglibyśmy umrzeć z głodu lub z pragnienia albo mogliby o nas zapomnieć.

– Bez wody wytrzymamy jeszcze pięć dni. A tak nawiasem mówiąc, w podobnej sytuacji lepiej jednak zbyt dużo nie pić, bo skutki szybko stałyby się przykre do zniesienia. Co do braku pożywienia, potrzeba od pięciu do sześciu tygodni, by głód miał skutek śmiertelny. To daje nam pewien margines. Szczególnie mnie, jeśli porównamy nasze zapasy.

– Trzeba było iść schodami. Nie byłoby mnie tu.

– Ale by mnie pani nie złapała.

– Dobra, poważnie, co robimy?

– Zadzwonimy do technika – proponuje Paul, naciskając odpowiedni guzik.

Dzwonek rozbrzmiewa, ale nikt nie odpowiada. Dźwięk odbija się echem w windzie niczym krzyk rozpaczony pośród nocy.

– No a teraz co zrobimy? – martwi się Manon.

– Mógłbym zaoferować, że panią przytulę i tak zaczekamy, aż ktoś przyjdzie nam z pomocą, myślę, że to by pani dobrze zrobiło.

Manon natychmiast podchodzi do Paula i przywiera do niego.

– Nie wahała się pani długo.

– Julie mi o panu opowiadała. O tym, jak potrafi pan wesprzeć i pocieszyć. A ja naprawdę tego teraz potrzebuję.

– Jesteśmy w szpitalu, Manon, nie mogą sobie pozwolić na to, by o nas zapomnieć, proszę się nie martwić...

– Julie miała rację. Pana uścisk działa uspokajająco.

– Czyżby zaczynała pani mieć nadzieję, że ta awaria potrwa dłużej?

– Tak daleko bym się nie posunęła.

W tym momencie winda rusza i jednocześnie zapala się światło, uświadamiając im nagle, jak blisko siebie stoją. Manon robi krok w tył, uśmiechając się do Paula z zakłopotaniem, po czym dyskretnie poprawia włosy.

Jakby były zmierzwiłone...

## DZIEŃ BEZ SŁOŃCA

Julie nie usłyszała budzika. Bardzo późno przyjeżdża do szpitala, po tym jak niemal trzy kwadranse przeklinała w korkach na czym świat stoi.

Nie lubi się spóźniać, nawet jeśli wie, że znajdzie Ludovica w tym samym miejscu, leżącego niezmiennie w tej samej pozycji, bez ruchu, z zamkniętymi oczami, ale nie wybaczyłaby sobie, gdyby był sam, gdy się obudzi. Przypomina sobie jednak słowa pielęgniarki i uspokaja się, w głębi duszy wiedząc, że Ludovic zaczeka na nią, by wyjść ze śpiączki.

Kiedy szybkim krokiem zmierza z parkingu do głównego wejścia, z naprzeciwka nadjeżdża samochód. Stare zabytkowe auto, jakie widuje się czasem w rajdach albo na alzackim szlaku wina. Dopiero w ostatniej chwili Julie rozpoznaje Romaina, który posyła jej pozdrowienie i nieśmiały uśmiech, ledwie widoczny za odbijającymi się w przedniej szybie drzewami. Kurczę, minęli się o włos. Zapomniała, że on we wtorki zwykle przychodzi wcześniej i szybko wychodzi, by zdążyć do centrum rehabilitacji na odbywające się tam o dziesiątej cotygodniowe zebranie.

Julie również macha mu na powitanie. Romain widzi ją w lusterku wstecznym, jak stoi nieruchomo przez kilka chwil, rozczarowana, że nie zamieni z nim dziś choć kilku słów. Jego codzienne spotkania z Ludovikiem stały się rytuałem także dla niej. Poczucie straty, jakie wywołało w niej to spóźnienie, uświadamia jej, jak dobrze czuje się w jego obecności, że czerpie z niej siłę, by się trzymać, nie poddawać, wytrwać.

Jednak w chwili rozpaczy Julie mówi sobie, że będzie jeszcze wiele takich samych poranków jak ten, a więc jeden mniej czy więcej...

Wchodzi do sali, w której leży Ludovic. Wciąż w tej samej pozycji. Wciąż z tą samą kamienną, nieporuszoną twarzą. Otoczony tą samą aparaturą. To samo łóżko, ta sama sala, ta sama śpiączka...

Zdecydowanie, bywały radośniejsze poranki...

Jednak ucałowawszy synka, Julie zauważa karteczkę leżącą na brzegu łóżka.

Dla Mamy Ludovica

Rozkłada ją.

Najwidoczniej coś Panią zatrzymało...

Chciałem zaproponować Pani wizytę w centrum, by zobaczyła Pani, jak wygląda i funkcjonuje to miejsce. W tej chwili nie ma tam zbyt wielu dzieci, więc może warto skorzystać z okazji?

Dziś po południu, około czternastej, będę miał okienko, mógłbym Panią wtedy zabrać... wracam do szpitala po inne dziecko... zostawiam Pani numer komórki, proszę dać znać, czy to Pani odpowiada i czy Pani może...

Do zobaczenia.

Romain Forestier

Oczywiście, że Julie chciałyby zobaczyć centrum, w którym Ludovic spędzi najprawdopodobniej dużą część dzieciństwa. To, co nieznane, zawsze trochę przeraża, więc jeśli można temu zaradzić, trzeba to zrobić.

Julie bierze telefon i dodaje numer Romaina do listy kontaktów. Zrobiła spore postępy w szkole obsługi komórki. Waha się między „Fizjoterapeuta” a „Pan Forestier”. W końcu wpisuje „Romain”.

Wysłała mu wiadomość, potwierdzając, że jest zainteresowana wizytą i ma na

nią czas dziś po południu.

Julie trzyma rączkę Lulu w swojej dłoni, dotyka palcem wskazującym każdego paluszka, rysuje ślimaka w zagłębieniu dłoni, później przyciska ją do swego policzka. Patrzy na synka i cicho płacze.

Kilka łez, by pozbyć się nadmiaru, który ciąży jej na sercu. Nadmiaru smutku. Dzisiaj jest dzień bez słońca. Nie można mieć słońca każdego ranka. Czasami niebo się chmurzy i rzuca na życie inne światło, nieco przyćmione, trochę szarawe, mniej radosne.

Julie akceptuje te chwile słabości, wie, że są nieuniknione. Patrzy przez okno, na świecie niebo też jest szare. Na miasto spada ulewa. Krople rozbijają się o szyby. Woda spływa po szkle, najpierw wielkimi kroplami, które spotykając inne, łączą się w szerokie strumienie, a po nich przychodzą kolejne fale i kolejne, jakby deszcz tańczył walca w rytm podmuchów wiatru. Pejzaż za oknem staje się niewyraźny, jakby rozmyty, można rozróżnić kształty, ale nie widać już szczegółów, tak jak w rysującej się przed nią niepewnej przyszłości. Szkic obrazu, który ma nadzieję z czasem ukończyć, wypełniając go wieloma kolorami.

Komórka zaczyna wibrować.

„Cześć, Baloo! Nie mogę się doczekać, kiedy znów będziesz mieć ochotę na tańce, drzewo się nudzi. Jestem tu, myślę o Tobie... Paul”.

Promyk słońca, który przebija się przez chmury...

Julie odpisuje, że to wróci, że drzewo wciąż tu będzie, kiedy Baloo obudzi się z letargu. Stare dęby żyją długo.

Paul ją rozśmiesza, słucha, zwierza się jej, daje do myślenia, dzieli się wspólnymi pasjami. Paul jest zawsze obecny, gdy go potrzebuje. Mógłby być jej najlepszym przyjacielem, gdyby ich historia nie była tak świeża. Jednak czy naprawdę trzeba czasu, by usankcjonować przyjaźń? Zwierza mu się bez zadawania pytań, zupełnie naturalnie. On ją ochrania. Jest jej pierwszym na linie



w czasie wspinaczki na szczyt, a stok jest teraz bardzo stromy, ale on znajduje się nieco wyżej, zachęca ją, prowadzi, wskazuje najlepsze chwyt, odrobinę pociąga za linę w chwilach, gdy Julie chce się poddać, ale niezbyt mocno, tak aby kiedy dotrze na górę, mogła czuć satysfakcję, że jest autorką własnego sukcesu.

Paul jest tym, kogo nazywa się „najlepszym przyjacielem”.

Kilka minut po czternastej rozlega się pukanie do drzwi, po czym pojawia się w nich głowa Romaina Forestiera. Mężczyzna uśmiecha się, widząc Julie, a następnie podchodzi do Ludovica.

– Jak się pani dziś czuje?

Julie opowiada mu szczerze o swoim podłym humorze tego ranka. Przy nim to wydaje się tak proste. Romain jest jedną z tych rzadko spotykanych osób, które zaraz po przywitaniu pytają, jak się czujesz, i są naprawdę zainteresowane odpowiedzią. W jego oczach i postawie maluje się szczerą chęć wysłuchania drugiego człowieka.

– Jest pani gotowa?

– Ech, nie wiem. Zobaczymy.

– Przekona się pani, atmosfera jest tam bardzo ciepła, jeśli to panią przeraża...

– Nie wiem, co mnie przeraża. Chociaż nie, wiem doskonale.

– A więc poczuje się pani lepiej, bo tam widzimy przyszłość w jasnych barwach, bo ciągle jest coś do zrobienia, żadna bitwa nie jest z góry przegrana, nie poddajemy się.

– I zdarza się tam wiele cudów?

– Jeśli uśmiech niepełnosprawnego dziecka jest cudem, to zdarzają się nam cały czas. Proboszcz z Lourdes może zzielenieć z zazdrości.

– W takim razie nie mogę się już doczekać!

– No to ruszamy. Zabierze się pani ze mną?

– Jak pan chce. Ale wtedy będzie pan musiał tutaj wrócić.

– To nic. I tak mam tu jeszcze kilka papierów do wypełnienia.

Julie całuje Lulu, wyjaśniając, że wróci do niego zaraz po wizycie w centrum.

– Idziemy schodami czy bierzemy windę? – pyta Romain.

– Wolę schody...

– To dobrze, jest pani wysportowana...

– Teraz to już nie wiem...

Julie nie ma odwagi przyznać, że będzie mniej skrępowana na schodach niż w windzie, w tej małej zamkniętej przestrzeni, z której nie ma ucieczki, a każde milczenie staje się znaczące.

Kiedy Romain otwiera drzwi zabytkowego auta, zaparkowanego pośród zwyczajnych samochodów, Julie waha się, onieśmielona.

– Proszę wsiadać, to auto jest niezniszczalne!

– Przede wszystkim jest bardzo piękne.

– No to będziecie do siebie pasować...

– Sprawia pan, że zaczynam się rumienić.

– Pani też zawstydza moje auto, proszę spojrzeć, jest całe czerwone.

Wsiadając do samochodu Romaina, Julie przekłada leżące na siedzeniu pasażera płyty CD. Nie wierzy własnym oczom i ogarnia ją coś na kształt rozbawienia, co jest chyba zauważalne, bo Romain pyta:

– Coś panią rozśmieszyło?

– No tak.

– Proszę mi szybko powiedzieć, bardzo chciałbym się dowiedzieć, co taki stary samochód jak ten ma w sobie zabawnego.

– To nie samochód, tylko płyty Tracy Chapman.

– Zna ją pani?

– Myślę, że słowa jej piosenek zapisały się już na ścianach mojego mieszkania, tak często ich słucham.

– Aż tak?

– Aż tak.

Minęły dwie godziny. Dwie godziny przemierzania korytarzy i odwiedzania przeróżnych sal centrum rehabilitacji, krótkich rozmów z rodzicami lub z dziećmi. Lecz przede wszystkim odkrywania szczególnej radości życia, która unosi się nad tym miejscem, jakby na przekór nieszczęściu.

To wszystko przywróciło Julie odrobinę wiary w przyszłość, choć wciąż jest ona nietrwała jak pierwszy zimowy śnieg.

Romain odwozi Julie do szpitala.

– Tu panią zostawię, moje papiery poczekają, muszę o szesnastej odebrać Charlotte od niani.

– Dziękuję za tę wizytę.

– Widzi pani przyszłość w nieco jaśniejszych barwach?

– Ludzie tu nie wyglądali na nieszczęśliwych, ale nie wiem, czy jeszcze kiedyś powiem sobie, że życie jest piękne.

– To nie życie jest piękne, to my widzimy je jako piękne lub nie. Niech pani nie próbuje osiągnąć idealnego szczęścia, tylko cieszy się małymi rzeczami, które razem, ziarnko do ziarnka, pozwalają zachować dystans.

– Co pan rozumie przez te małe rzeczy?

– Różne drobiazgi życia codziennego, z których zwykle nie zdajemy sobie nawet sprawy, ale to one, w zależności od tego, jak je przeżywamy, sprawiają, że dana chwila może być przyjemna i dać powody do uśmiechu. Wszyscy mamy takie swoje drobiazgi. Trzeba je tylko dostrzec. Proszę się zastanowić, jestem pewien, że znajdzie ich pani na pęczki.

– Pomyślę o tym.

Godzinę później, gdy Julie siedzi w fotelu przy łóżku Ludovica, komórka w torebce zaczyna wibrować.

„Siedzieć i obserwować pająka tkającego swoją sieć między kroplami rosy”.

Julie uśmiecha się przez chwilę. Patrząc w przestrzeń, wyobraża sobie, że siedzi w ogrodzie. Chociaż wcale nie lubi pajaków, musi przyznać, że budowa pajęczej sieci to ładny widok. Następnie zaczyna stukać w klawiaturę komórki.

„Słuchać skrzypienia śniegu pod podeszwami, gdy całą naturę dookoła spowija gruby biały płaszcz...”

„Wiedziałem, że gdzieś głęboko skrywa pani w sobie małe okruchy szczęścia. Niech im pani pozwoli wydostać się na zewnątrz... I podzieli się ze mną, jeśli zechce...”

## SZLAKIEM SWEGO LOSU

Codzienna rutyna nieuchronnie zajmuje należne sobie miejsce. Na szczęście – można by powiedzieć. Czasami ma to swoją dobrą stronę.

Jérôme wrócił do domu, nie przechodząc przez oddział rehabilitacji. Za wcześniej. Wciąż nie może postawić nogi na podłodze, puzzle długo się układają. Ale zapał się rękami i nogą – tą jedną, którą jest w stanie poruszyć – że nie odbędzie rehabilitacji, lecz jak najszybciej wróci do domu, miotając się w swojej szpitalnej sali jak lew w klatce. Jeśli Caroline zainstalowała wyciąg, to z pewnością nie dlatego, że Jérôme jest dla niej ciężarem, wręcz przeciwnie, młoda kobieta z trudem ukrywała szczęście z jego powrotu. Julie, która była świadkiem sceny powitania, nie wiedziała, czy ta euforia wynikała z tego, że cieszy się na jego widok, czy z powodu ulgi, że odtąd nie będzie już musiała sama przyjmować pacjentów. Tak jak obiecywał, to on podejmuje decyzje, po tym jak ona wykona badanie. Jeśli badania nie są konieczne, młoda lekarka się wycofuje, pozwala działać lekarzowi, obserwuje, uczy się, próbuje nie wskakiwać do dołów i coraz szybciej wygania z głowy pomysły zrobienia rezonansu magnetycznego czy pełnej morfologii.

Julie także ucieszyła się z jego powrotu. Nigdy do końca nie wiedziała dlaczego, ale obecność mężczyzny w domu, gdzie śpi, zawsze działała na nią uspokajająco. Czy to większe poczucie bezpieczeństwa, czy pewność, że jej nieco chłopięce zachowanie, które stara się ukrywać, ale które wraca niezmordowanie, niczym jej druga natura, znajdzie wreszcie zrozumienie?

Choć Jérôme wciąż ma na nodze wielki gips, Julie wątpi, by westchnienia, które słyszy czasem zza drzwi jego pokoju, gdy jest w nim Caroline, były związane wyłącznie z drapaniem skóry ukrytej głęboko pod szorstką białą skorupą. Cieszy ją to. Jérôme potrzebował przewrócić stronę, wydostać się z dołu, do którego rzucił się na oślep, nie chcąc tego przyznać. I to Caroline, która sama wskakuje do dołów bez zastanowienia, podała mu drabinę.

W końcu pasują do siebie. Zupełnie się różnią, ale przy tym uzupełniają. Tam gdzie Caroline panikuje, Jérôme wnosi spokój. Gdy on się denerwuje, ona łagodzi sytuację. Gdy ona czegoś nie wie, on ją uczy. Gdy on jest głodny, ona gotuje. Tam gdzie ona przesadziłaby z badaniami, on tylko słucha. Gdy ona drapie, on wzdycha. Gdy on jest czuły, ona oddycha.

Paul jest przy Julie.

Bardziej niż kiedykolwiek.

Oscyluje niczym wskazówka metronomu między swoją pracą a szpitalem. Czasami odpuszcza sobie wszystko, niczym nastolatek, który dopiero co wyfrunął z rodzinnego domu i zapomina, że dom się sprząta, bieliznę się pierze, odkurzacz jest do odkurzania, a ścierka do wycierania. Kto by się tym przejmował. Po zrewidowaniu swego życia zmienił priorytety, z gorzkim poczuciem, że przez ostatnie trzydzieści lat błędził. Jednakże z nadzieją, że odzyska równowagę i wróci na właściwe tory, podążając za światłem dobrej gwiazdy, a nie śpiewem podstępnej syreny.

Wytrwale szuka mieszkania, w które mógłby zainwestować pieniądze, a następnie wynając je Julie za śmiesznie niski czynsz, mniejszy nawet niż za mieszkanie socjalne. Stosunek jakości do ceny będzie tak nieprzyzwoity, że nie będzie miała innego wyboru, jak tylko przyjąć ofertę.

Paul z wielką niecierpliwością czeka na ten dzień, gdy Julie zaakceptuje jego hojność, nie czując się, jakby próbował ją kupić. Podejrzewa, że do pełnego

sukcesu jeszcze daleko, ale wie, że ten dzień kiedyś nadejdzie. Przecież w końcu zaczęła mu mówić na „ty”.

Manon zupełnie naturalnie stała się częścią grupy zmieniającej się przy łóżku Ludovica, którego jest matką chrzestną. Młoda kobieta wiele razy minęła się z Paulem w szpitalu. Krótkie serdeczne rozmowy przeszły niepostrzeżenie we wspólną troskę o podtrzymywanie Julie na duchu i przyjemność ze spotykania się przy tej okazji.

Jeśli chodzi o Julie, zadomowiła się w tym życiu pełnym niepewności, płynącym w rytm wizyt w szpitalu. Cała reszta ma drugorzędne znaczenie. Pracuje niczym automat, przemieszcza się na autopilocie, rozrywki mają posmak niezwykłości, takie rzadkie się stały.

Tak to już jest. Nie ma sensu protestować, przeznaczenie wyznacza szlak. Można nim podążać lub nie. Lecz jeśli zejdzie się z trasy, w końcu się zabłądzi.

Julie idzie więc szlakiem swego powikłanego losu, nie stawiając oporu. Tak czy inaczej, nie mieści się w odpowiedniej kategorii wagowej. Bretońskie kragłości zniknęły wraz z apetytem.

Trzyma się prosto, to już coś.

## PUŚCIE MNIE

Po umyciu Ludovica Julie zasnęła, czekając na Romaina. Nagle czuje, że coś łaskocze ją w rękę. Nie do końca rozbudzona podnosi głowę w poszukiwaniu tego, co mogło ją musnąć, ale widzi tylko rączkę Lulu w swojej dłoni. A później palec Ludovica zaczyna się poruszać, ledwie widocznie. Julie patrzy wtedy na jego twarz i uświadamia sobie, że otworzył oczy.

Zdjęta paniką, Julie zamierza nacisnąć dzwonek, by wezwać pielęgniarkę, ale zmienia zdanie. To jej Lulu, jego chwila, ich moment. Jeśli maszyny zaczną pisać, wtedy zadzwoni.

Obiecuje!

On patrzy na nią i uśmiecha się delikatnie. Julie nie jest już Julie. Jest fajerwerkami, który mieni się, żarzy, błyszczy, świeci. Och, jak cudownie. Jaka cudowna chwila.

W kątku oka Ludovica pojawia się łezka. Od tak długiego czasu nie otwierał oczu. Po policzkach Julie płyną całe strugi. Uspokaja go, mówi, że wszystko będzie dobrze, że się nim zajmą, że wszystko się ułoży.

Przepełniona nieopisaną radością nie zauważyła przyjścia Romaina, który obserwuje scenę z daleka. Przede wszystkim nie chce im przeszkadzać, po co? Ważne jest tylko to, by pozwolić im cieszyć się chwilą.

Lecz po chwili z ust Lulu wydobywa się ledwie słyszalny szept: „Puśćcie mnie”, a jego oczy znów się zamykają.



W tej samej chwili urządzenia zaczynają wydawać z siebie przeraźliwie ostry pisk. Julie nie rozumie, co się dzieje.

Romain pędem wybiega z pokoju i wraca z pielęgniarkami, które zaczynają rozpakowywać sterylne tacki. Julie prawie nie czuje, jak ręce Romaina chwytają ją za ramiona i odciągają w stronę korytarza. Mija dyżurnego lekarza, potem następnego, który o mało jej nie potrąca.

Jej klatka piersiowa zaraz eksploduje. Serce bije jak oszalałe. Z ust nie wydobywa się żaden dźwięk. Romain próbuje utrzymać ją w pewnym oddaleniu, ale Julie czuje przygniatającą potrzebę, by znów zobaczyć synka. Wydostaje się z silnego uścisku Romaina i wraca do sali. Przekraczając próg, prawie go nie widzi, ukrytego za tymi wszystkimi ludźmi, którzy wokół niego pracują, przygotowują nieskończone ilości leków, strzykawek, narzędzi. Jeden z lekarzy robi mu masaż serca, podczas gdy drugi go intubuje, tak jak w dzień wypadku.

Ta chwila zdaje się nie mieć końca. On musi wrócić, prawda? Julie nie zdążyła mu przecież wszystkiego powiedzieć.

Musi wrócić.

Julie stoi nieco w głębi sali i z całej siły modli się, by znów otworzył oczy. Do kogo? Tego nie wie, wciąż nie wierzy w Boga, ale wierzy w życie i chce nadal w nie wierzyć, tak jak wtedy, gdy trzeba było wierzyć dla Caroline i nienarodzonego dziecka, które ona trzymała w koniuszkach palców. Romain stoi tuż obok, ściskając mocno jej ramię.

Wymieniają spojrzenia. Pierwszy raz wygląda na zaniepokojonego i to mrozi jej krew w żyłach.

Dziesięć minut. Dziesięć minut, które zdają się trwać godzinę. Dziesięć minut paniki wśród lekarzy i pielęgniarek – nawet jeśli starają się jej nie okazywać, i tak ją widać. W chwilach takich jak ta nie da się oszukiwać.

A potem w końcu znów słycać zwykły szum maszyny. Julie oddycha z ulgą, nawet jeśli naprawdę nie rozumie, co się właściwie stało, czuje ulgę, słysząc uspokajający, regularny odgłos monitora serca, którego słuchała do tej pory.

Stopniowo atmosfera w pokoju się uspokaja. Lekarze wpatrują się z napięciem w cyfry wyświetlające się na monitorach, pielęgniarce zaczynają pomału sprzątać rozrzucone w pośpiechu sprzęty i środki medyczne. Na koszulce małego widać plamy krwi, świadczące o tym, jak gwałtowna była reanimacja. Łóżko Ludovica przypomina pole bitwy, którą lekarze póki co wygrali. A co z wojną? Julie nie ma żadnej innej broni poza małym kwiatkiem, który można włożyć w lufę karabinu.

Śmieszny.

Żałosny.

Banalny.

Mały kwiatek bez znaczenia.

Podchodzi bliżej i bierze synka za rękę. Doktor Lagarde patrzy na nią bez słowa. Nie ma potrzeby. Oczy wystarczą.

A później wychodzą, jeden po drugim, co raczej uspokaja Julie. Jeśli sobie idą, to znaczy, że nie ma się już czym martwić. Lekarz kładzie dłoń na jej ramieniu. Przyjdzie do niej później.

Dlaczego wszyscy poklepują ją po ramieniu?

Tylko pielęgniarce stoi w rogu sali, wypełniając dokumenty. Romain podszedł bliżej.

– Co się stało, Romain?

– Nie wiem, doktor pani wyjaśni.

– Myśli pan, że to coś poważnego?

– Nie wiem, Julie, nie wiem. Niech pani nie traci wiary, nie ma pani wyboru.

Muszę już iść, ale proszę mnie o wszystkim informować. Ja też spróbuję się czegoś dowiedzieć. Odwagi!

Romain oddała się korytarzem. Nie wie dlaczego, ale ma złe przeczucia. I nienawidzi tego.

## W JEJ RAMIONACH

Lekarz właśnie ogłosił wyrok. Zatrzymanie akcji serca, możliwe uszkodzenie mózgu. Przyszłość pod wielkim znakiem zapytania.

Julie cicho płacze. Kolejny raz nadzieja się załamuje, a ona wpada w wir, który zasysa ją i ciągnie w dół. Zahacza, o co się da, paznokciami, by spadać nieco wolniej. To boli.

Najbardziej przeraża ją to wrażenie, które miała, widząc, że się do niej uśmiecha, jakby przyszedł się z nią pożegnać. A potem te dwa słowa: „Puśćcie mnie”. Ale Julie nie może się zdecydować na taką alternatywę. Matka nie może pozwolić swemu dziecku odejść! To burzy porządek rzeczy. To jest sprzeczne z naturą. Nie znajduje się już na ścieżce, którą wyznaczył jej los, lecz na jakimś niepojętym bezdrożu, poza szlakiem, gdzie nieuchronnie czeka ją zasypanie przez schodzącą lawinę.

Właściwie to znajduje się pośród nicości.

W nieokreśloności.

W miejscu, którego nie da się pojąć.

Ani przewyciężyć.

Kiedy wraca do synka, ten przeklęty respirator znowu dzwoni. Jest jakiś problem z utrzymaniem właściwego poziomu natlenienia i pielęgniarka musi nieustannie zmieniać ustawienia aparatu.

– Chciałaby pani potrzymać go trochę na rękach?

– To możliwe? To znaczy, czy to nie jest zbyt skomplikowane, z tymi wszystkimi rurkami i przewodami?

– To nie będzie proste, ale mogę pójść po pomoc i jakoś sobie poradzimy.

– W takim razie bardzo bym chciała.

Chwilę później Julie siedzi w fotelu z Lulu w ramionach. To rzeczywiście było dość skomplikowane. Przenieść to bezwładne ciało, które zdaje się ważyć dwa razy więcej, niż powinno, a wraz z nim wszystkie rurki i przewody, tak, by niczego nie odłączyć, nie oderwać. Ale Julie jest szczęśliwa, że może go tulić. Jak dawniej. To było tak dawno.

Ale Lulu nie jest już maleństwem ważącym kilka kilogramów. Po godzinie zeszywniałe ramiona Julie niepostrzeżenie zaczynają słabnąć. Ale jakoś sobie radzi, dzięki temu, że pielęgniarka podłożyła jej kilka poduszek pod łokcie, i delektuje się tą chwilą, to, że ją boli, nie ma znaczenia. Byłaby gotowa wziąć na siebie całe cierpienie synka! Jego śpiączkę i kręgosłup w strzępach, wszystko!

Pielęgniarka, która przyszła sprawdzić, czy wszystko w porządku, szykuje się do wyjścia.

– Pan Forestier dzwonił, powiedział, że wpadnie tu niedługo, nie miał dziś wiele pracy po południu – mówi.

– To miło z jego strony.

– Myślę, że przywiązał się do Ludovica, nawiązuje szczególną więź z wszystkimi dziećmi, ale żeby do tego stopnia, to rzadkość. Dobrze, zostawię panią teraz, gdyby coś było nie tak, proszę dzwonić...

Julie powoli się uspokaja. Patrzy na synka leżącego w jej ramionach, przypominając sobie te długie chwile, które spędzali tak razem, gdy był całkiem malutki i zasypiał najedzony przy jej piersi albo padając ze zmęczenia.

Nikommu jeszcze nie powiedziała o tym, co się stało, wszystko działo się tak szybko. Powiadomi ich wieczorem.

Julie jest zaskakująco pogodna, mimo niepewności, która zawisła nad ich przyszłością.

Chwila obecna.

Jest jej dobrze, gdy tak go przytula.

Jest jej dobrze.

Julie zadzwoniła do Paula, wychodząc ze szpitala, a do Manon, wsiadając do samochodu. Długo wyjaśniała sytuację po przyjeździe do Jérôme'a.

Za każdym razem taka sama reakcja. Oszołomienie, żal, słowa wsparcia.

Gdyby tylko to wszystko mogło zmienić los Lulu.

Julie szybko zamyka się w swoim pokoju. Nie ma już na nic siły, kładzie się na łóżku w ubraniu, chwyta poduszkę i chowa w niej twarz, by stłumić rozdzierający szloch.

I nienawiść do tego kierowcy bez sumienia.

Nienawiść.

Godzinę później Julie jest już w samochodzie, w drodze do szpitala. Kiedyś powiedzieli jej, że może przychodzić, kiedy tylko chce.

Teraz chce.

Nie może postąpić inaczej. Jakaś niewidzialna siła podpowiada jej, żeby pojechała tam na noc, żeby być obok niego, blisko.

Na przekór wszystkiemu.

## ŻAŁOSNE MAŁE FALE

Tuż nad ranem, kiedy zasnęła już na skraju łóżka, Julie czuje nagle, że ręka jej synka porusza się gwałtownie, nagłymi zrywami, chaotycznie. Nie tylko dłoń się porusza, ale całe ramię. I drugie. A później także nogi.

Julie naciska guzik dzwonka...

Podjeżdżewa, że to drgawki, co potwierdza pielęgniarka, która wraca po chwili z lekami, by spróbować je zatrzymać.

Julie wie, że drgawki są oznaką uszkodzenia mózgu, pierwszego organu, który ucierpiał na skutek zatrzymania akcji serca, jak mówił lekarz. Ostatnie okruchy nadziei wypadają jej z rąk, niczym kawałki kry, które odrywają się i roztopiają w zbyt ciepłych wodach morza. Nieuchronny rozpad tego, co uważała za trwałe.

Wiara może przenosić góry, ale czasami to nie wystarcza. Góry chwieją się i rozpadają, a tych, co stoją poniżej, przysypuje lawina.

Kilka godzin później, kiedy Julie wraca z krótkiej przerwy, jaką sobie zrobiła, by spróbować odetchnąć świeżym powietrzem, głowa Ludovica jest najeżona przewodami zbiegającymi się w maszynie, której igły mają zapisywać obraz aktywności jego mózgu. Kobieta, wykonując test, woła do niego bardzo głośno po imieniu, wydaje z siebie różne głośne dźwięki.

Julie śledzi te igły, które ledwie się poruszają! Wołałaby trzęsienie ziemi, wybuch wulkanu, tsunami na papierze, a nie żalosne, małe fale, które rysują się nieśmiało niczym zmarszczki na spokojnych wodach przy opustoszałej plaży.

Ale tak właśnie jest.

To koniec.

To koniec. Julie wie, że nigdy już nie odzyska swojego Lulu. Cud się nie wydarzył. Na darmo wznosiła ręce wysoko w górę. Zresztą, jakie ręce. Ona nie ma już rąk ani nóg, ani serca, niczego, Julie stała się czarną dziurą.

Oddałaby własne życie, by uratować życie synka, ale nie może, nikt tego od niej nie chce. Wręcz przeciwnie, już stąd słyszy, jak mówią, by uczepiła się życia. Nieszczęsna ocalała będzie musiała wrócić z tej wojny i zbudować sobie inne życie. Jeśli da radę.

Jeśli da radę...

Milcząca wymiana spojrzeń z doktorem Lagarde'em wystarczy, by potwierdzić, że to koniec. Julie wie, że nie ma sensu trwać w uporze.

Ale przede wszystkim wie, że obudził się i uśmiechnął do niej na pożegnanie i że nie chce, by trzymano go tu na siłę.

„Puśćcie mnie”.

Romain poczekał, aż lekarz i pielęgniarka wyjdą, by dołączyć do Ludovica i jego mamy.

Podchodzi do niej i po prostu ją przytula, bez słowa, a później długo na nią patrzy, a jego oczy błyszczą nieco bardziej niż zwykle.

Cisza ma tę zaletę, że pozwala przemówić spojrzeniu, temu zwierciadłu duszy. Kiedy się milczy, lepiej słyszeć to, co w głębi.

Julie usłyszała. Pozwoliła wybuchnąć rozpacz. Tej, która zastąpiła jej ręce nogi, serce i całą resztę. Płacze już od piętnastu minut. Spadające potoki deszczu, który niosą powódź, a człowiek zastanawia się, czy kiedykolwiek się skończą.

Romain milczy. Co miałby powiedzieć? Podtrzymuje ją, podpira. Dziewczyna płacze tak mocno, że z trudem oddycha, zatkany nos zupełnie to



uniemożliwia, tylko usta łapią powietrze niekontrolowanymi haustami. A potem nie jest już w stanie utrzymać się na nogach. Rozpacz niczego nie podtrzymuje. Romain to czuje, więc kładzie ją na sąsiednim łóżku i delikatnie głaszcze po głowie.

Siedzące w swym gabinecie pielęgniarki nienawidzą tej chwili. Chwili, w której rodzice uświadamiają sobie, że to koniec, nawet jeśli serce ich dziecka jeszcze bije. Chwili, kiedy dają upust swojej rozpacz, bo nie da się jej już opanować. One wiedzą, że ta chwila nie trwa długo, zmęczone ciało w końcu się uspokaja, nawet jeśli serce wciąż krwawi, rozdarte na pół. Ale nie, do tej chwili, kiedy krzyk rozlega się na całym oddziale, nie przyzwyczajają się nigdy.

Nigdy.

Pielęgniarka Émilie przysłała z zimnym kompresem i położyła na czole Julie, której krzyk zamienił się w milczenie, przerywane czasami przez bezgłośnie spazmy. Dziewczynie kręci się w głowie. Pielęgniarka wraca z kubkiem posłodzonej herbaty. Julie nic nie jadła od wczoraj, być może też nic nie piła. Myślała tylko o Lulu.

Budzi ją wchodzący do sali lekarz.

Nie wie, jak długo spała. Nie ma już przy niej Romaina, na zewnątrz słońce nie świeci już tak mocno.

Doktor ściska jej ramię.

– Była tu pani i widziała, że elektroencefalogram nie jest dobry, pani Lemaire. Nie jest całkiem płaski, ale nie jest dobrze. Jeśli wziąć pod uwagę stan kliniczny Ludovica przed zatrzymaniem krążenia, nie zostaje nam wiele nadziei.

– Chcę, żebyście pozwolili mu odejść.

– ...

– Powiedział mi to, kiedy się obudził, by się do mnie uśmiechnąć. Powiedział: „Puśćcie mnie”!

– Nie wiemy, jak długo to potrwa. Pod respiratorem jest stabilny, może odejść za kilka godzin lub za kilka dni. Może jeszcze później.

– A jeśli odłączymy go od respiratora? Co się wtedy stanie?

– Odejdzie bardzo szybko, jest całkowicie zależny od tego urządzenia.

– Będzie cierpiał?

– Nie, jego serce przestanie po prostu bić. Ale to trudna sytuacja, to byłoby dobrowolne zaprzestanie sztucznego podtrzymywania życia.

– Resuscytacja też była dobrowolna, ale to go nie uratowało, gdybyście nie zrobili masażu serca i intubacji, już by go tu z nami nie było.

– To prawda, ale to dla nas trudne.

– A myśli pan, że dla mnie to nie jest trudne? Sądzi pan, że chcę odłączyć ten respirator?

Lekarz nie odpowiada. Ona się nie myli, a on wie, że upór nie ma sensu, ale to jest takie trudne. Ludovic jest połączony z życiem niczym astronauta w przestrzeni kosmicznej podłączony do swego statku za pomocą jednej zwykłej liny. Przetniesz linę, a odleci.

Trudno przeciąć linę.

Trudno.

– Pójdę powiadomić moją rodzinę – kończy rozmowę Julie.

– Proszę się nie spieszyć...

## CZAS POŻEGNANIA

Jérôme przesiedział cały dzień w poczekalni przy wejściu na oddział. Przyjechał się z nim zobaczyć z samego rana i szybko opuścił salę, nie chcąc ryzykować, że zwali się ze swego wózka. Patrząc na bezwładne ciało leżące na szpitalnym łóżku, wciąż powtarzał sobie w głowie tę krótką rozmowę na plaży:

- *Ciemu nigdy nie żajtujeś?*
- *Bo jestem smutny.*
- *Ciemu jesteś smutny?*
- *Bo moja żona umarła.*
- *Ciemu umajła?*
- *Ech... bo była smutna.*
- *Więc ty też umrześ?*
- *Ja... nie, niekoniecznie!*
- *No to ciemu nigdy się nie uśmiechaś, skojo nie umrześ?*

Jednak Lulu się uśmiechał. Dlaczego to on umiera?

Caroline dołącza do niego po całym dniu przyjmowania pacjentów. Młoda kobieta siedzi na dnie dołu. Wskoczyła do niego bez najmniejszego oporu. Będzie potrzebowała czasu, by się z niego wydostać.

Przyszła też Manon. Wyszła z zajęć, wytłumaczyła się profesorom. Nic nie mogłoby jej powstrzymać.

Paul, w delegacji na drugim końcu Francji, zadzwonił do Julie, kiedy wyszła odetchnąć powietrzem, którego jej brakowało. Prawie nic sobie nie powiedzieli. Kilka urywanych zdań, które przerywały długie chwile ciszy. Płakali razem i Paul obiecał wrócić jak najszybciej.

Romain także się pojawił. Zostawił Charlotte u teściów, by mieć czas na pożegnanie.

Julie jest wzruszona, widząc go przy łóżku synka, jak szepcze mu coś do ucha.

– Chcę, żeby pani wiedziała, że jestem tu przy was.

– Wiem. Chciałabym, żeby pan został trochę dłużej. Ale nie wiem, czy to możliwe ze względu na Charlotte.

– To możliwe. Jej dziadkowie zawsze z radością ją przyjmują, będzie u nich nocować.

Wieczorem wszyscy się rozchodzą. Julie chciała być sama. Romain mówi jej, że zostanie w szpitalu i że ją odprowadzi, kiedy będzie chciała, nieważne, ile to potrwa.

Kiedy doktor Lagarde wchodzi do sali, może mu już powiedzieć, że przyszedł czas. Że nie chce go dłużej wstrzymywać. Po co? On już trochę odszedł przedwczoraj, kiedy się do niej uśmiechnął, a jego serce przestało bić. Teraz chce mu pozwolić odejść, jest już gotowa. To, że była tu i czuwała przy nim, było ważne. Ale teraz czuje, że nadszedł czas.

Doktor Lagarde prosi, by zaczekała kilka chwil, i wychodzi.

Gdy wraca, bez słowa ściska ją za ramię, jak zawsze gdy chce jej okazać, że nie jest sama. Później podchodzi do respiratora i stopniowo zmniejsza przepływ tlenu.

Romain ostrożnie wchodzi do sali i staje przy Julie.

Kolejny anioł w ich relacji. Być może Anioł Stróż.

Julie siedzi obok Ludovica, jedną rękę trzyma na jego sercu, drugą na czole, głaszcze go delikatnie, mówi mu, że wszystko będzie dobrze, że go kocha, że nie będzie bolało, prosi, by na nią czekał, by nad nią czuwał i by odszedł pogodnie, że ona da sobie radę, obiecuje, pozbiera się. Mówi mu, że go kocha, że go kocha, że go kocha. Czas jeszcze nigdy nie był tak cenny. Nigdy. Liczy się każdy okruszek sekundy.

A później, po upływie pół godziny, tętno stopniowo zwalnia, najpierw do pięćdziesięciu uderzeń na minutę, później czterdziestu pięciu... Do czterdziestu... Do trzydziestu pięciu. Julie czuje pod swoją dłonią, jak serce jej dziecka zaczyna się zatrzymywać, wciąż do niego mówi... Stało się tak powolne, że waha się, czy czekać na kolejne uderzenie.

– Kocham cię... – szepcze.

Ostatnie uderzenie...

Czas zgonu: godzina dwudziesta pierwsza trzydzieści cztery.

## W KWIATACH I CHMURACH

Paul przyjeżdża nazajutrz, późnym rankiem.

Julie dostrzega go, wychodząc od Jérôme'a. Paul nie wygląda dobrze. Nie tak źle jak Julie, ale na jego twarzy maluje się ciężka noc i żal, którego nie da się opanować. Całuje ją w policzek i przytula. On pozostał wielkim dębem, ale Baloo w jej wnętrzu jest w kiepskim stanie. Zastanawia się nawet, czy jeszcze oddycha.

– Och, Julie, Julie, nie wiem, co powiedzieć.

– Nic nie mów.

Uścisk jest długi, czuły i cichy.

– Właśnie do niego jadę, przewieźli go dziś rano.

– Chcesz, żebym cię zawiózł?

O tak, bardzo chce.

Kierownik domu pogrzebowego jest uroczym człowiekiem, życzliwym, taktownym i delikatnym. Bez fantazji, ale też bez uzalania się.

Prosi, by poczekali chwilę, zanim przygotuje małego.

Kiedy Julie wchodzi do sali, widzi synka pierwszy raz, odkąd zostawiła jego jeszcze ciepłe ciało na szpitalnym łóżku.

Podchodząc do niego, zauważa, że jest blady, mimo makijażu, pod którym próbuje się ukryć śmierć. Róż na policzkach wygląda sztucznie, ale łagodzi obraz. Czasem warto oszukać rzeczywistość.

Julie podchodzi i drży, dotykając zimnej skóry Ludovica. Tak zimnej.

Próbuje wziąć go za rękę. Ale jest zbyt sztywna.

Potrzebuje chwili, by przywyknąć do tego straszego uczucia. To gorące i wilgotne stworzenie, które położyła ledwie kilka lat temu położyła jej na brzuchu, stało się lodowate i nieruchome.

Ale w końcu oswaja się z tym ciałem wypełnionym nieobecnością, tą znieruchomiałą skorupką, tym kokonem, z którego wyleciał motyl. Jej mały motylek odfrunął, zostawiając za sobą tylko to ciało, które służyło mu za mieszkanie. Jest przekonana, że to, co znajdowało się w głębi Ludovica, co dawało mu życie, co miał w sobie już w chwili narodzin, nie umarło, tylko odeszło, nie bardzo wie dokąd, ale być może wszędzie po trochu, zostało wokół niej, z nią, w ludziach, których kochał, w kwiatkach i chmurach, gwiazdny pył, który wysypał się ze swojego cielesnego pojemnika. A więc znów do niego mówi, powtarzając mu wciąż od nowa to wszystko, co mu szeptała, gdy odchodził. On na pewno ją słyszy. Jest tu gdzieś, obok niej lub w jej sercu...

Julie delikatnie układa obok ciała ulubione rzeczy synka, książeczkę z bajkami, którą lubił trochę bardziej niż inne, jego zupełnie podartą przytulankę, drewniany miecz. Tak samo jak chowa się faraona, z jego największymi bogactwami.

Całuje Ludovica w czoło, zapamięta to na zawsze, tak bardzo będzie za nim tęsknić. Wie, że jej usta dotykają jego skóry ostatni raz, nieważne, że skóra jest zimna.

Paul stoi w rogu pokoju niczym skamieniały. Podchodzi do Ludovica, robi mu krzyżyk na czole i szybko wraca do Julie, która jest już na zewnątrz.

Usiłuje przełknąć łzy. Jednak jego próby kończą się żalosną porażką, zmieniając zwykle dumnego i silnego Paula Moissaca w zgiętego w pół poczciwca wstrząsanego drgawkami i łkającego jak dziecko. Ponieważ zbyt wiele trzymał w środku, kiedy się już przelało, przelało się szczerze, brutalnie,

niepowstrzymanie i chaotycznie. Odwieczny potop, który zmiata wszystko na swojej drodze, pozostawiając po sobie pustynię. Julie już dawno zrozumiała, że czasem trzeba popuścić cugli i wziąć smutek do galopu. Ten w końcu zawsze się zmęczy i zwolni kroku. Dzisiaj rozpacz jest niczym szalony koń, ale dziewczyna zakłada, ma nadzieję, że on też pewnego dnia się zmęczy i uspokoi.

Widok Paula w takim stanie rozdziera jej serce. Prawdopodobnie on, patrząc na nią, czuje to samo.

Cierpimy indywidualnie i zbiorowo. Cierpimy z powodu własnego smutku i widząc smutek innych. Cierpimy podwójnie. I nic nie możemy na to poradzić.

Powódź pomąłu ustąpiła. Wsiedli do samochodu.

– Dlaczego nie ruszasz, Paul?

Mężczyzna szuka czegoś w kieszeni marynarki, po czym podaje Julie czek.

– Nie odmawiaj, proszę

– Paul!

– Proszę cię, Julie, proszę!

– Pięć tysięcy euro? Oszalałeś?

– Pochowałem matkę kilka lat temu, wiem, ile to kosztuje. Nie chcę, żebyś nie miała pieniędzy na pogrzeb syna, a więc weź je, mnie nie zabraknie, i przygotuj dziecku piękną ceremonię.

– Oddam ci resztę, jeśli nie wykorzystam wszystkiego.

– Przestań! Weź wszystko, będzie na kwiaty na cmentarz. A jeśli rzeczywiście coś ci zostanie, zrób sobie jakąś przyjemność, będziesz tego potrzebować.

– Jak mam ci dziękować...

– Trzymając się, Julie, trzymając się – mówi, przekręcając kluczyk w stacyjce i odwracając głowę, by nie widziała rozpaczki malującej się w jego oczach.



## TAK BARDZO CIERPIĘ

Julie codziennie chodziła zobaczyć Ludovica, albo z Paulem, albo z Caroline i Jérôme'em, który wolał zostawać w samochodzie. Wczoraj towarzyszyła jej Manon.

Wychodząc, Julie zdawała sobie sprawę, że zamierzają zamknąć trumnę. Ostatecznie. Że nigdy nie zobaczy go już inaczej jak tylko na zdjęciach i we wspomnieniach. Nieznośna pustka. Nawet martwy, nawet zimny, jeszcze tu jednak był, przed jej oczami, na wyciągnięcie ręki, drobna namiastka tego, kim był za życia. Po zamknięciu trumny zapanuje ostatecznie nieodwracalny brak. Trzeba będzie od tej pory pogodzić się z życiem, w którym Lulu istnieje tylko we wspomnieniach. Kilka zdjęć, trochę zachowanych ubrań, parę zabawek i ślad jego istnienia odcisnięty w pamięci. Ślad, który pewnego dnia zniknie, niczym polana zarastana przez otaczający ją las. Wraz z upływem czasu. Nieuchronnie.

Uroczystość jest skromna, tylko pierwsze ławki są zajęte. Julie nie prowadzi zbyt bogatego życia towarzyskiego. Ważne, że najbliżsi są razem z nią. Ci, którzy mocno ją wspierają i rozumieją. Ci, którzy dzielą jej uczucia i dodają otuchy spojrzeniem czy szczerym uściskiem. Przyszło kilka kasjerek. Tych miłych. I trochę starszych ludzi z miasteczka. Tych, którzy mają czas. Tych, którzy wierzą w Boga. Tych, którzy tworzą rdzeń lokalnej wspólnoty. Którzy znają jeszcze jedni drugich i od dzieciństwa wspólnie przeżywali trudne doświadczenia. Oni wiedzą, że to doświadczenie jest trudniejsze od wszystkich innych. Być może stąd ich obecność...

Nabożeństwo odprawia tutejszy proboszcz. Starzy ludzie Kościoła przetrwali tyle nieszczęść, zachowując wciąż niezachwianą wiarę. Ciekawe, jak to robią?

Julie napisała tekst do odczytania w trakcie uroczystości. Poprosiła Manon, by jej towarzyszyła i przeczytała tekst za nią, w razie gdyby sama nie dała rady, bo nie ma zbyt wielkich nadziei, że znajdzie na to siłę. Emocje ściskają jej gardło.

Jednak tuż przed tym, gdy ma zabrać głos, Julie czuje, że ogarnia ją jakiś wewnętrzny spokój, który pomaga jej odnaleźć niezbędną równowagę, uspokoić oddech, osuszyć łązy i wydobyć głos. Mała duszyczka, która unosi się tam nad nimi, nie próżnuje.

Mój Mały Książę,

gdy zapada cisza, mówimy, że przeszedł anioł... Ty przeszedłeś, grając piękną melodię. A więc zdarzają się też całkiem rozmowne anioły.

Będę tęsknić za tym, jak wieczorami nakręcałeś kosmyk swoich włosów na palec, za tym, jak odbierałeś telefon i słyszałam w słuchawce Twoje: „Cześć, mamusiu!”, za tym, jak podrzucałeś piłkę jak najwyżej i niecierpliwie czekałeś, kiedy spadnie, za śmiesznymi ślimakami, które malowałeś.

Będę tęsknić za widokiem Twojego uśmiechu, kiedy wracałeś z ogrodu z garścią niedojrzałych malin, za brzmieniem Twojego głosiku, którym śpiewałeś piosenkę ze swojej ulubionej kreskówki. Będę tęsknić za tym, by Cię zobaczyć, dotknąć, przytulić, pocałować.

Obiecuję Ci, Lulu, że odnajdę dawną radość życia i pomogę ją odnaleźć tym, którzy Cię kochają. Zaczęłam się nawet uśmiechać, tak mi się wydaje... Tak więc widzisz...

Czuwaj nad nami, Lulu. Prowadź nas, mała spadająco gwiazdko.

Ponieważ stałeś się gwiazdą, przeczytam ci fragment z *Małego Księcia*:

„Kiedy popatrzysz na niebo nocą – a ja będę mieszkał na jednej z gwiazd i śmiał się właśnie tam – wówczas będzie tak, jak gdyby wszystkie gwiazdy się śmiały. Będziesz miał gwiazdy obdarzone darem śmiechu!”\*

Nocami będę patrzyła w niebo, Lulu, by widzieć, jak świecisz...

Za dnia gwiazdy są niewidoczne, ale wciąż tam są...

Kocham Cię...

Kiedy Julie wraca na miejsce po krótkiej chwili, gdy stała przy trumnie, przytuliwszy do niej czoło, dookoła panuje niesamowita cisza, głęboka, gęsta niczym zimowa mgła. Taka cisza, którą naprawdę słyhać. Żadnego szlochu, szelestu chusteczki, chrząknięcia. Nic. Nicość. Komunia ciszy. Milczenie, by powiedzieć „żegnaj”...

A potem następuje kolejna poruszająca chwila. Choć jest połowa listopada, na trumnie siada biały motyl. Z pewnością ćma, która zabłąkała się tu przez przypadek.

Jaki przypadek?

Proboszcz celebryje tę ciszę, po czym kontynuuje modlitwę. Następnie daje sygnał Romainowi, który chciał coś przeczytać. Mężczyzna podchodzi, rozkłada małą kartkę papieru wyjętą z kieszeni, cicho chrząka waha się przez moment.

Moi drodzy,

Tak bardzo cierpię

Bo straciłem przyjaciela

Który był dla mnie ważniejszy

Niż królowie i władcy

Jego delikatne skrzydła mieniły się

W promieniach słońca i w kroplach deszczu

Kwiaty jak parasole

Złożyły w tamtej chwili swe płatki

Mój przyjaciel motyl

Powrócił do ogrodu

Zbyt dalekiego, za horyzontem

Od samego rana  
Moje oczy nabrzmiały od łez...  
Zatapiam się w jego wspomnieniu  
Przy dwóch małych płomykach  
Zapalonych, by mu powiedzieć  
Że duszę moją naznaczył  
Na wieki swoim uśmiechem.

Julie jest wzruszona, on przecież ledwo go znał...

Na cmentarzu usypano wielki kopiec ziemi. A obok mała niebieska trumna, stojąca na dwóch deskach, pod którymi ziele pustka. Tak rzadko widuje się takie małe trumny.

Niektórzy podchodzą, by uściskać Julie, inni wolą trzymać się z boku. Słychać tylko odgłos kroków na białym żwirze alejki.

Kiedy czterej mężczyźni w czerni powoli spuszcza ją maleńką skrzynkę na dno tak wielkiej dziury, Julie czuje, że jakaś siła ciągnie ją w dół, jakby stała na krawędzi urwiska. Wołanie nicości. Dziewczyna klęka, walcząc z pragnieniem rzucenia się w otchłań wraz z nim. Niech ją zasypią! Teraz, szybko! Nikt się nie zorientuje. A ona zostanie z nim na zawsze. On będzie taki samotny, będzie mu tak ciasno, tak głęboko pod ziemią, tak czarno, a on przecież tak bardzo boi się ciemności!

Julie, twój synek nie żyje, nie zostało nic, poza cielesną skorupą bez życia, nie ma problemu, tam gdzie teraz jest, śmieje się z ciasnoty i ciemności...

Ale kto wie? A poza tym to dla niej o wiele za wcześnie... O wiele za wcześnie, by nie mieć takich myśli. Skąd miałyby wiedzieć, co jest prawdą...?

Paul chwyta ją za ramiona, podnosi i prowadzi do restauracyjnej sali, w której zorganizował małe pożegnalne przyjęcie. Orszak bliskich, którzy towarzyszą Julie w tej trudnej chwili, wraca nieco do życia. Ludzie wymieniają

kilka słów, nawet uśmiechów.

Julie jest spokojna, niemal pogodna, jakby zamknęła już ten etap. Niesamowicie bolesny, ale zamknięty. Wie, że najgorsze jeszcze się nie skończyło, ale wszystko po kolei.

Od kilku tygodni nauczyła się żyć chwilą. Czy miała inny wybór? Tym bardziej nie ma go dziś.

A więc próbuje dalej żyć chwilą, życie jest tak kruche...

Zwłaszcza dziś.

*Carpe diem.*

---

\* Antoine de Saint-Exupéry, *Mały Księżę*, tłum. Ewa Łozińska-Mańkiewicz, Toruń 1997, s. 74 (przyp. tłum.).

## Z DAŁA OD SZEROKIEGO, SPOKOJNEGO NURTU

Paul proponuje, że ją odwiedzie.

Julie chce wstąpić do swojego mieszkania.

Porusza się niczym duch po pomieszczeniach, gdzie najmniejsze nawet rzeczy wywołują lawinę wspomnień. Kanapa, na której uwielbiał robić salta, jego krzeselko przy kuchennym stole, kasety z kreskówkami, które oglądał tyle razy, że taśma zaczęła się drzeć.

A potem jego pokój...

Julie opada na jego małe łóżeczko, chwytając przytulanki, których nie zabrał ze sobą.

Zamyka oczy i płacze cicho wstrząsana spazmami, tracąc poczucie czasu, nie wiedząc, co zrobi jutro. Tak czy inaczej czas się zatrzymał, więc jaki jest sens robić plany?

Dziś wieczorem Julie chciałaby zasnąć szybko i na długo. Być może na zawsze.

Paul milczy. Trochę później bierze ją za rękę i prowadzi z powrotem do samochodu. Znowu zabiera ją na noc do siebie.

Paul jest od tego, by działać w trudnych chwilach.

Tego wieczoru dziewczyna ma jeszcze siłę, by rozebrać się sama. Ale nie ma już siły walczyć z wyczerpaniem. Natychmiast zasypia. Tak jest lepiej.

Następnego dnia rano Julie budzi się w tym samym miejscu, w tej samej pozycji, z mokrą chusteczką w ręku i zapuchniętymi oczami. Samotność dopada ją niczym wilk owcę. Nie dając jej żadnej szansy.

Czuje, jakby miała kaca po wypiciu zbyt wielu łąz.

Dzień bez sensu i celu.

Przespacerować się trochę. Płakać. Pomóc Paulowi w gotowaniu. Płakać. Pokroić cebule. Płakać. Jednak. Pierwszy raz. Pójść na grób. Płakać. Zadzwoić do Manon. Płakać.

Wieczorem na jej komórkę przychodzi wiadomość od Romaina.

„Wiem, że nic nie mogę poradzić na to, jak bardzo czuje się Pani samotna. Trzeba to przeżyć, zmierzyć się z tym, zaakceptować, a jest jeszcze na to zbyt wcześnie. Potrafi Pani płakać, kobiety mają wielkie szczęście. Często o Pani myślę. Proszę pomyśleć o mnie, gdyby potrzebowała Pani towarzystwa. Jestem z Panią. Ściskam. Romain”.

W rzeczywistości Romain myśli o Julie i Ludovicu bez przerwy. To prawda, pielęgniarka miała rację, przywiązał się szczególnie do tego małego i prawdopodobnie do jego matki. Ostatecznie mówi sobie, że może to lepiej, że Lulu odszedł, jego obrażenia były poważne, przyszłość niepewna. Widział już rodziców dzieci z podobnymi urazami fizycznymi i neurologicznymi. Dzieci, o których bardzo pejoratywnie mówi się „warzywa”. Widział wszystko. Rodziców, którzy walczyli, przeprowadzili się, zmienili pracę, by tylko być bliżej specjalistycznego ośrodka, związki, które to straszne doświadczenie zbliżyło, które miały odwagę postarać się o kolejne dziecko, i takie, które się rozpadły i skończyły rozwodem. Przeżył skrajnie różne sytuacje, w których czasami zdarzała się radość, ale zawsze, zawsze było cierpienie, to cierpienie nie do zniesienia, kiedy widzi się ból na twarzy swojego dziecka.

Więc rozumie Julie. Rozumie, dlaczego pozwoliła mu odejść. I dlaczego

z tego powodu cierpi.

Romain wie, że pewnego dnia Julie zechce się podnieść i znów ruszyć w długą drogę wraz z innymi ludźmi, tymi, z którymi idzie od dawna, i kilkoma nowymi, bo życie już takie jest, w swoim nieustannym ruchu, niekończącym się następstwie zdarzeń. A kiedy opuści się łódź płynącą szerokim, spokojnym nurtem egzystencji, nagle odkrywa się równoległe szlaki, po których z pewnością trudniej nawigować, ale są za to o wiele ciekawsze, bogatsze niż szeroka rzeka, którą wybieramy z wygodnictwa.

Romain wie, że Julie na chwilę usiadła przy drodze, że chce zrobić sobie przerwę, że chciałaby, aby „ktoś zatrzymał wreszcie świat”, by mogła wsiąść, jak w piosence, ale kiedy już zapragnie wstać, chciałaby móc jej towarzyszyć na tej drodze z dala od szerokiego spokojnego nurtu.

W pierwszych dniach po pogrzebie przepelniające ją uczucie pustki jest straszne. Nie może go dotknąć, zobaczyć, czuje w każdej powszedniej chwili ciężar jego nieobecności. Chodzi na cmentarz i widzi więdnące z wolna kwiaty, znak, że czas płynie, bez niego, i że pojawia się nowa droga, którą Julie musi wyznaczyć, choć nie bardzo wie, dokąd idzie. Ale na swej drodze wciąż jeszcze bardzo często ogląda się wstecz, na swoje dawne życie, jak ludzie, którzy się kochają i nie potrafią się rozstać, machając do siebie, aż znikną za horyzontem.

Zresztą, Julie nie jest pewna, czy chce zmierzać w stronę horyzontu. Stoi na stacji i patrzy na pociąg życia, który właśnie rusza, ze wszystkimi żyjącymi na pokładzie, i wcale nie jest pewna, czy chce do niego wsiąść. Wolałaby zostać jeszcze trochę na peronie z Ludovikiem, jeszcze chwilę, chwileczkę.

*Jedźcie beze mnie, dogonię was.*

*Może...*

*Nie jestem pewna...*

*Nie chcę...*



## W PRZYPADKU KATASTROFY

Kilka dni później.

– Dzień dobry, Julie. Nie przeszkadzam?

– Siedzę w fotelu z dobrą książką.

– Świetny pomysł. Dzwonię zapytać, czy miałaby pani czas dziś wieczorem, żeby wyjść coś zjeść?

– Już jestem umówiona. Przykro mi.

– Ach tak...

Nutka zawodu w głosie Romaina nie uchodzi uwagi Julie.

– Wychodzę z przyjaciółką z dzieciństwa. Spotykamy się w każdą pierwszą sobotę miesiąca. Spotkanie, które odwołujemy tylko w przypadku katastrofy.

– Proszę się nie tłumaczyć, nic się nie stało.

– Nie jest panu przykro?

– Jest mi przykro, że jest już pani zajęta, ale odczuwam też ulgę, stwierdziwszy, że nie jestem w pani oczach „przypadkiem katastrofy”.

Julie się uśmiecha.

– A gdybym pani zaproponował górską przechadzkę w każdą pierwszą niedzielę miesiąca, żeby zrzucić sobotni posiłek, to czy mogłyby to być spotkania, które odwołujemy tylko w przypadku katastrofy?

– Czemu nie.

– Spróbujemy jutro?

- Ech, tak, spróbujmy! – odpowiada Julie, zaskoczona.
- Przyjadę po panią o dziesiątej i zajmę się przygotowaniem pikniku, dobrze?
- Piknik o tej porze roku?
- Zapowiadają piękne słońce. Proszę włożyć gruby sweter, a ja zajmę się resztą.
- Dobrze!
- W takim razie do jutra, Julie, miłego wieczoru.

Co za delikatność z jego strony, że nie zapytał, jak się czuje. Domyśla się, że nie najlepiej i że może nie mieć ochoty opowiadać o tym przez telefon.

Romain woli działanie i atrakcje, które pomogą jej zająć czymś myśli, przewietrzyć umysł. Wie, że góry potrafią zdziałać cuda, i wie, że dla Julie góry są magiczne. Wspomniała kiedyś o tym podczas masażu Ludovica.

## DAĆ SZANSE POPEKANEJ TAMIE

Ósma rano. Promienie słońca na poduszce budzą Julie. Zgodnie z prognozami niebo będzie dziś łaskawe dla spacerowiczów. To już coś.

Przeciąga się w łóżku, odkłada przytulankę Lulu, jedną z tych, które zatrzymała, idzie do kuchni coś zjeść. Nie chce się zbyt długo wylegiwać w łóżku, by ściągnięte rysy twarzy zdążyły się rozluźnić. I by zeszła jej trochę opuchlizna z oczu.

O dziewiątej pięćdziesiąt osiem Julie słyszy samochód wjeżdżający na zwirowy podjazd. To nie może być pacjent do gabinetu lekarskiego. Jest niedziela. To triumph spitfire. Romain parkuje przed domem i wysiada. Dziewczyna puka w szybę i macha do niego z uśmiechem, po czym łapie plecak. Niewiele do niego spakowała, bo obiecał, że zajmie się piknikiem, ale wrzuciła butelkę wody, sweter, płaszcz przeciwdeszczowy i parę ciepłych skarpet.

Ściskają się na powitanie.

– Jest pan niezwykle punktualny!

– Po prostu przewidujący. Nie lubię, by na mnie czekano. A poza tym dzień taki piękny!

– Gdzie jedziemy?

– To niespodzianka! W góry. Nic więcej nie powiem. Jest pani w formie? Będziemy dużo chodzić!

– To mi dobrze robi. Nie ma pasów bezpieczeństwa? – pyta Julie, próbując się zapiąć, po tym jak wsiadła do samochodu.

– W kabriolecie z tamtej epoki na niewiele by się zdały. Jeśli samochód się wywróci, z pasami czy bez nie byłoby dobrze.

– Możemy pojechać moim?

– Proszę mi zaufać. Nie mam ochoty go uszkodzić, pani zresztą tym bardziej...

Julie przygląda się, jak Romain wrzuca bieg. Wykonuje polecenie, gdy prosi ją, by opuściła hamulec ręczny zamontowany po stronie pasażera.

Czuje się, jakby znalazła się w klipie Johnny'ego Hallydaya z lat sześćdziesiątych.

Imitacja skóry pachnie bardzo przyjemnie. Samochód pokrywa patyna, niczym stary mebel. Czuć w nim historię. I jeszcze ten zapach oleju silnikowego.

– Trzyma się drogi? Nawet na górskich wirażach?

– Trzyma się każdej drogi.

– Na pewno każdej?

– No dobrze, mogę to pani przyznać. Całkiem nieźle trzyma się drogi, ale jest o lata świetlne od współczesnych aut, które wybaczą kierowcy niemal każdy błąd. Być może z wyjątkiem totalnej głupoty niektórych z nich.

– Pan na takiego nie wygląda.

– Dziękuję, Julie.

– A więc, nie trzyma się drogi zbyt dobrze?

– Powiedzmy, że ma sztywną tylną oś, czyli dwa tylne koła są połączone. W nowoczesnych samochodach każde koło jest niezależne. Jeśli jedno napotyka przeszkodę, nie ma to wpływu na drugie. Tutaj nierówność albo wybój może spowodować, że cały tył uskoczy w bok. Więc jeśli w dodatku jedzie się szybko albo jezdnia jest mokra...

– Naprawdę pan nie chce, żebyśmy pojechali moim?

– Może nie daje spokoju i bezpieczeństwa nowoczesnych aut, ale jazda nim

nie jest niebezpieczna. Jakby co, może pani kierować nas na zakrętach ręką, jak na sankach...

– Rzeczywiście, można niemal dotknąć ziemi.

– Można. W każdym razie ja mogę, nie wiem jak pani.

– Tak! Niech pan patrzy! – woła Julie, zebrawszy kilka kamieni z podjazdu, wysuwając po prostu rękę za drzwi.

– Będzie pani mogła pchać, jeśli się zepsuje.

– Może się zepsuć?

– Ależ nie! Chucham na niego i dmucham od lat. Jest bardziej niezawodny niż większość najnowszych modeli naszpikowanych elektroniką.

– Od dawna go pan ma?

– Powstał w 1959 roku. Należał do mojego ojca. To był jego pierwszy samochód. Dał mi go w prezencie, kiedy obroniłem dyplom.

– Jaką osiąga prędkość?

– Sto sześćdziesiąt? Ale przy stu trzydziestu ma się już wrażenie zawrotnej prędkości, ponieważ zawieszenie jest bardzo niskie, niemal dotykamy ziemi.

– Ale nie zaplanował pan prezentacji?

– Nie dziś. Dziś będziemy maszerować.

– A lusterka wsteczne nie są zbyt daleko na masce? – dziwi się Julie.

– Nie, wręcz przeciwnie, widoczność jest dużo lepsza.

– A jak je pan ustawia?

– Mam długie ręce – odpowiada Romain z uśmiechem.

Reszta podróży upływa w milczeniu, z piosenkami Tracy Chapman w tle. Podobny gust bywa bardzo praktyczny. Julie zauważa jednak pewien rozdźwięk między starym samochodem a nowoczesnym radioodtwarzaczem CD.

– Jestem majsterkowiczem. Jeżdżę tym samochodem na co dzień. Lubię słuchać informacji w drodze do pracy. Jednak żeby słuchać muzyki, trzeba

bardzo podkreślić głośność, kiedy przekroczy pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Julie nie zna miejsca, w którym parkują, ale okolica jest bardzo ładna. Wspinaczka zapowiada się na długą. Plecak Romaina wygląda na ciężki, na szczęście jego właściciel jest odpowiednio umięśniony i dla niego to pestka. Idzie przodem swoim tempem, oglądając się regularnie, by sprawdzić, czy Julie za nim nadąża.

Nadąża.

Maszerują już dwie godziny, dwie godziny milczenia, cały czas, tylko góry mówią językiem szumiących strumieni i szeleszczących liści.

Romain zatrzymał się kilka razy, kiedy Julie zaczynała zostawać za bardzo z tyłu, by zapytać, czy wszystko u niej w porządku, odpocząć chwilę, napić się wody i ruszyć dalej.

Docierają do małego górskiego jeziora. Miejsce jest cudowne!

Romain usiadł na kamieniu, by poczekać na Julie. Wyjął dwa batoniki zbożowe.

– Zrobimy małą przerwę. Widzi pani tamten szczyt? Tam właśnie idziemy. Myślę, że w naszym tempie potrzebujemy jeszcze godziny. Zgadza się pani, żebyśmy zjedli tam na górze?

– Zgadzam się. Jeśli dostanę hipoglikemii, to mnie pan zanieś!

– A jak pani myśli, dlaczego wyjąłem batoniki zbożowe?

Podejście zajęło im trochę więcej niż godzinę. Romain nie policzył chwili słabości swojej towarzyszkii. Przerwa na kamieniu, by opróżnić swój plecak z łąz, bo stał się za ciężki. Ciągłe się jej to zdarza, ta potrzeba, by pozbyć się nadmiaru. Nieustająca produkcja słonej wody, przepelnienie, otwiera się zawory, by dać szansę popękanej tamie.

Te chwile stają się coraz rzadsze. Ale Julie nie wytrzymuje jeszcze całego dnia. Tak już jest.

Romain to szanuje. Znajdował się nieco wyżej, ale nie zszedł do niej. Wystarczyło jednak spojrzenie. Julie wie, że on jej współczuje. Czeką. Rozumie. Dzieli z nią ból. Nie wskakując za nią do dziury...

Widok ze szczytu jest wspaniały. Proste szczęście w oczach Julie cieszy jej pierwszego na linii. Misja zakończona.

- Jest pani głodna?
- Zjadłabym choćby robaki!
- Proszę się nie martwić, mam coś lepszego.

Julie usadowiła się na trawie na swoim płaszczu przeciwdeszczowym i patrzy, jak Romain rozpakowuje zawartość plecaka.

Wyjmuje z niego obrus w kratkę i rozkłada go na trawie. Ależ się postarał! Następnie układa na nim starannie zapakowane kanapki, rzuca Julie jajko na twardo, a zaraz potem następne. Dziewczyna jest zwinna, szybko reaguje i łapie obydwie z dużą zręcznością. Na jej zwycięski uśmiech Romain odpowiada, puszczając oko.

Piknik działa regenerująco: piękny widok, miłe towarzystwo, zasłużony odpoczynek i pełny żołądek. Rozmawiają o tym i owym, o Charlotte, o pracy.

A później znów zapada cisza, słychać szelest anielskich skrzydeł. Wilgotne oczy Julie wpatrują się w horyzont.

- Jak się pani czuje, Julie?

Następny anioł...

– Pusta. Czuję się pusta i zgasła. Mam wrażenie, że sama też trochę umarłam. Jestem jak pole bitwy. Wszystko spalone, przeorana ziemia, z dziurami po pociskach, wszędzie ruiny jak okiem sięgnąć. Cisza po koszarze. Ale nie spokój po burzy, kiedy czujemy się odprężeni. Mam wrażenie, że weszłam na minę i eksplodowałam na tysiąc kawałków i że nie mam pojęcia, jak je teraz pozbierać, te wszystkie kawałki, ani czy zdołam każdy z nich odnaleźć.

Romain milczy przez chwilę, potrzebną Julie na znalezienie w plecaku

chusteczki. On też wpatruje się w horyzont.

– Wie pani, z klocków Lego można zbudować wszystko, nawet jeśli niektóre klocki się pogubiły. Wystarczy tylko uruchomić wyobraźnię – mówi w końcu.

– Po co wyobrażać sobie budowlę, skoro straciło się najważniejszy klocek, ten, który nadawał domowi cały urok?

– Trzeba szukać innych klocków gdzie indziej w życiu. Ale na to jest jeszcze za wcześnie, Julie. Niech pani da sobie prawo do przeżywania rozpaczy. Na wszystko jest czas. Po bitwie albo po klęsce żywiołowej ludzkiej, widząc szkody, doznają szoku, rozpaczają, płaczą, buntują się. Dopiero potem mogą zakasać rękawy i zabrać się do odbudowy. Dopiero potem. To, co pani przeżyła, to chyba najgorsze, co może człowieka spotkać, więc proszę być dla siebie wyrozumiałą. Żadne pole bitwy nie pozostaje jałowe. To może trwać latami, ale w końcu zawsze, zawsze, natura wygrywa i spod tych wszystkich popiołów wyrastają kwiaty. Pewnego dnia pani wewnętrzna natura też zwycięży.

Romain odwraca się do Julie, której oczy nie przestają łzawić. Uśmiecha się do niej. Po prostu. Gładzi jej mokry policzek wierzchem dłoni. Tak samo jak gładził policzek Ludovica. Julie odwzajemnia uśmiech. Potem znów zwracają spojrzenia w stronę horyzontu. Cisza i bezmiar działają kojąco.

– Wróciła pani do pracy? – pyta Romain.

– Jeszcze nie. Mam miłego lekarza, który dał mi zwolnienie. Jak urzędnicy mogli wpaść na pomysł, że trzy dni wystarczą, by otrząsnąć się po śmierci dziecka?

Julie szuka kolejnej chusteczki w plecaku. Tymczasem Romain wyjmuje tabliczkę gorzkiej czekolady z kawałeczkami karmelu. Łamie ją na kawałki przez sreberko i kładzie tabliczkę na ziemi.

– Proszę się spieszyć. Mamy poważną konkurencję w postaci mrówek. A te górskie są szczególnie zajadłe!

– Skąd pan wiedział, że uwielbiam akurat tę?



– Intuicja nie jest zarezerwowana dla płci pięknej!...

Ale to nie intuicją cechuje się Romain, tylko uważnością. Wystarczyło, by jeden raz zauważył opakowanie po czekoladzie w pokoju Ludovica, by zapamiętać ten szczegół.

– Gra pani na jakimś instrumencie? – ciągnie Romain.

– Nie, grałam trochę w dzieciństwie, ale dziś już nie. A pan?

– Wróciłem do skrzypiec. Grałem jako dziecko, a potem mi je skradziono. Gdy moja żona odeszła, znów sobie o nich przypomniałem, musiałem zająć się czymś wieczorami. Więc kupiłem sobie skrzypce i zapisałem się na lekcje. Kiedy gram, nie myślę o niczym. Wyłącznie o przyjemności grania.

– To musi oczyszczać umysł.

– Jest jakiś instrument, który pociąga panią bardziej niż inne?

– Tak, pianino.

– A więc nich się pani tym zajmie. Niech pani pójdzie do sklepu muzycznego, kupi instrument i znajdzie nauczyciela.

– Pomyślę o tym.

Julie nie śmie mu powiedzieć, że nie ma absolutnie żadnych możliwości, by postawić sobie pianino w salonie. Najpierw w ogóle musiałyby mieć salon.

– Schodzimy?

– Tak, schodzimy. Chcę panu podziękować, Romain. Bardzo mi pan pomaga, naprawdę. Wśród tej mojej mgły świeci kilka latarni, pan jest jedną z nich.

– Oby nie czerwoną.

# WESOŁYCH ŚWIĄT

Już od dwóch tygodni Julie musi znosić cały ten bożonarodzeniowy rozgardiasz, migoczące kolorowe światełka na wystawach sklepowych, płynące z głośników na rogach ulic świąteczne piosenki, zapętlone w nieskończoność, a każda tak niedorzeczna, że można oszaleć.

Od kilku lat zdaje jej się, że jest tego wszystkiego coraz więcej. Więcej girland na ulicach, więcej mikołajów w oknach, coraz grubsze katalogi z zabawkami, półki w supermarketach coraz wcześniej zavalone świątecznym towarem. Wie coś o tym.

Żenująca eskalacja chorego na bulimię społeczeństwa konsumpcji.

W tym roku dla Julie czara się przelała. Wspomina swoją prababcie, która opowiadała jej w dzieciństwie, że za jej czasów w Wigilię dawało się dzieciom w prezencie pomarańczę. Pomarańczę, ponieważ był to rzadki i drogi towar.

Pomarańczę!

Dziś można przez cały rok kupić sobie kilogram pomarańczy za dwa euro!

I ci wszyscy ludzie z rękami pełnymi prezentów, cieszący się, że wkrótce położą je pod choinką, którzy sprawiają wrażenie, jakby Boże Narodzenie w oczywisty sposób radowało wszystkich bez wyjątku. To święta, trzeba być szczęśliwym, taka jest tradycja. Boże Narodzenie, najbardziej rodzinne ze świąt.

Ale ta cała radość, wszechobecna radość, w uszach Julie brzmi fałszywie. Ponieważ w gdzieś w głębi niej jest pęknięcie. Myśl, że pod choinką nie będzie prezentu dla Lulu.

Podarowałyby mu w tym roku choćby pomarańczę, gdyby tylko mogła. Zamiast tego znalazła małą glinianą figurkę bałwanka, którą postawiła na grobie. Wspaniale!

Te symbole są dla niej ważne, jeśli Lulu je widzi, nigdy nie wiadomo. Choć patrząc z dystansu, to dosyć żałosne.

## KOLOROWA CZAPKA

Wieczera wigilijna jest skromna. Spotykają się u Paula z Jérôme'em i Caroline. Starają się rozmawiać o wszystkim, byle nie o Lulu. Za bardzo im go brakuje. Łzy są tak blisko, że potrzeba naprawdę niewiele, by wszyscy się rozplakali.

Drobne upominki, uprzejmości. Zawsze miło dostać prezent, zwłaszcza od ludzi, których się kocha.

Jérôme ofiarowuje Julie pluszową małą. Dziewczyna dziękuje uśmiechem. To wzruszające, że pamiętał. Puszczą do niej oko, pokazując wystające z kieszeni jeansów kawałki gąbki do wypychania poduszek.

Tuż pod koniec spotkania Paul wyjmuję pakunek schowany za choinką.

– Romain Forestier przyniósł to w zeszłym tygodniu. Prosił, bym dał ci to w Wigilię.

Julie jest zaskoczona. To mała, miękka w dotyku paczka. Na wstążce z rafii etykieta sklepu Artisans du Monde, sprzedającego wyroby rzemieślników z całego świata. No tak, to nie dziwi, znając Romaina.

Rozpakowuje prezent gorączkowo i wyjmuję z paczki piękną peruwiańską czapkę, niezwykle kolorową, z dwiema klapkami na uszy oraz małym wełnianym pomponem na czubku. Kiedy ją rozkłada, wypada z niej mała karteczka.

By wnieść w Pani życie mnóstwo nowych kolorów i stawić czoła chłodom

i śniegom kolejnych pierwszych niedziel miesiąca. Wesołych Świąt, Julie.

Julie przymierza czapkę, dumna niczym paw. A wszyscy się uśmiechają. Rzadko widuje się taki kształt i takie kolory!

– Przynajmniej nie ma obaw, że mu się zgubisz w śniegu! – śmieje się Paul. – A poza tym nie masz już wymówki, że jest za zimno na wycieczkę!

– I tak nie zamierzałam się wymigiwać.

A już na pewno nie po dzisiejszym wieczorze, wzruszona prezentem od Romaina.

Wesołych świąt...

Mimo wszystko.

# MAŁA DZIEWCZYŃKA Z WIELKĄ TAJEMNICĄ

Kilka tygodni później.

Dzień dobry, Paul,  
mam nadzieję, że czujesz się dobrze. Składam Twoje milczenie na karb przepracowania... Czy to może Manon zawróciła Ci w głowie?!

Piszę do Ciebie z pewną prośbą. Postanowiłam zająć się grą na pianinie. Przyjaciel mi to doradził. Taka forma terapii przez muzykę. Poszłam do sklepu muzycznego i znalazłam naprawdę piękne pianino! Jest z jasnego drewna, tak jak lubię, i ma naprawdę przyjemny dźwięk. Ale kosztuje 4500 euro i nie mam pieniędzy na zaliczkę. Chciałam więc spytać, czy mógłbyś mi pożyczyć tę sumę, a ja będę ją co miesiąc spłacać po trochu... Czekam na wieści od Ciebie! Do zobaczenia!

Ściskam!

Julie

PS Jeśli jesteś zawałony pracą, postaraj się jednak od czasu do czasu odetchnąć.

PS 2 Jeśli to Manon uderzyła Ci do głowy, postaraj się jednak od czasu do czasu odetchnąć.

PS 3 Mam nadzieję, że to ten drugi powód...

Kochana Julie,

przepraszam za to milczenie. Rzeczywiście mam teraz mnóstwo pracy, często wyjeżdżam w delegacje. Jednakże nic mnie nie usprawiedliwia, mogłem do Ciebie

zadzwoić, wysłać Ci jakąś wiadomość. Myślę, że się bałem. Bałem się mówić Ci o błahostkach albo że po prostu nie będę wiedział, co Ci powiedzieć. Bałem się, że będę zwracał Ci głowę albo że trafię na nieodpowiedni moment. Zdaję sobie sprawę, że to śmieszne, ale nie wiem, jak się zachować. Może moglibyśmy coś zjeść razem w przyszłym tygodniu i pogadać o tym wszystkim? Jutro wyjeżdżam za granicę, ale w weekend będę z powrotem. Co Ty na to?

Ściskam!

Paul

PS Co do pieniędzy, to oczywiście znajdziemy rozwiązanie, nie martw się. Wrócimy do tego.

PS 2 Co do Manon, to czasem staram się odetchnąć...

Kilka dni później...

Julie pojechała do supermarketu. Wróciła do pracy. Ponieważ ubezpieczyciel nie będzie akceptował zwolnień lekarskich w nieskończoność. Ponieważ mimo wszystko potrzebuje czasem przewietrzyć głowę, zając czymś myśli, nawet jeśli stanowisko kasjerki nie ma w sobie żadnej transcendencji, by pomóc jej osiągnąć tego typu cel. Dziś postanowiła zgadywać, ile klienci mają lat, a następnie sprawdzać daty urodzenia w dowodach. Zdarzają się niezłe niespodzianki. Kobiety zrobione tak, że wyglądają na dziesięć lat mniej, mężczyźni zniszczeni przez alkohol i papierosy, które dodały im co najmniej dekadę.

Kiedy wraca, Caroline wita ją z szerokim uśmiechem. To miło zobaczyć ją tak uradowaną, choć to zaskakujące, wręcz podejrzane. Nigdy nie była zbyt gadatliwa, ale teraz zachowuje się jak mała dziewczynka, której powierzono wielką tajemnicę i jest jej strasznie trudno zachować ją dla siebie. Niemalże zasłania usta dłońmi, by się nie wygadać. Julie chciałaby wiedzieć, co sprawiło, że jest taka podekscytowana.

Caroline ucieka do gabinetu lekarskiego, chichocząc nerwowo. Nie

wytrzyma! Im szybciej Julie odkryje sekret, tym szybciej ona będzie wolna.

Cóż za tajemnicze powitanie na koniec tego dnia!

Julie wchodzi po schodach do mieszkania na górze, które wciąż dzieli z Jérôme'em i Caroline. Odruchowo rzuca torebkę i klucze na małą szafkę przy wejściu, nalewa sobie szklankę wody i siada przy stole w kuchni, by przejrzeć gazetę.

Wtedy zauważa pęk kluczy i samoprzylepną karteczkę z adresem i komentarzem: „Czeka tam na Ciebie niespodzianka. Biegnij!”. W podstawówce Julie uwielbiała bawić się w podchody. Uśmiecha się. Tekst napisano drukowanymi literami, nie może więc rozpoznać po charakterze pisma, kto z nią gra. Ale Caroline musi być z tym kimś w zмовie.

Wychodzi.

Dociera pod wskazany adres. Niewielki nowy budynek w spokojnej dzielnicy. Na domofonie jest jej nazwisko. Próbuje kilku kluczy, nim znajduje właściwy, otwierający drzwi na klatkę. Wchodzi na pierwsze piętro, czytając nazwiska na drzwiach. Znów znajduje swoje. Zostały dwa klucze. Wybiera największy i trafia za pierwszym razem.

Wchodząc do mieszkania, Julie nie bardzo rozumie, gdzie się znalazła. W progu króluje czerwona walizka, ta, którą Paul kupił jej w Bretanii. Są w niej wszystkie jej rzeczy. Caroline bez dwóch zdań należy do spisku.

Wszystko jest nowe. Mieszkanie, meble, w prostym, nowoczesnym stylu. Mała kuchnia jest w pełni wyposażona, ze wspaniałym piekarnikiem i robotem kuchennym godnym największych szefów kuchni. A obok cała piramida cebuli. Mrugnięcie okiem.

Wchodzi do salonu i wtedy je zauważa. Stoi tam, milcząco, tak samo pięknie jak w dzień, gdy wpadła w zachwyt na jego widok.

Pianino z jasnego drewna, które znalazła w sklepie muzycznym i pokochała od pierwszego wejrzenia. Przed instrumentem stół, w tych samych kolorach.



## A na klawiaturze liścik:

Zapomnij o pożyczce, będę szczęśliwy, wiedząc, że dzięki niemu czujesz się lepiej. Tak bardzo chciałbym złagodzić Twój ból, więc to była dla mnie okazja.

Ściskam.

Paul

PS A, zapomniałbym, jeśli chodzi o to umeblowane mieszkanie, to musimy pomówić o czynszu za wynajem. Sądzę, że nie znajdziesz na rynku korzystniejszego stosunku ceny do jakości, w przeciwnym razie panna z agencji nie patrzyłaby na mnie, jakbym oszalał... Brakuje tylko kilku podpisów.

- Paul? – mówi Julie cichutko do telefonu.
- Och! Dzień dobry, Julie. Jesteś w domu?
- Czyś ty oszalał?
- Ty też zaczynasz? Bo w końcu uwierzę, że wszystkie macie rację! Tak, oszalałem. Dlaczego miałbym nie skorzystać z takiej okazji?
- Ale to zbyt duży prezent, Paul! To za dużo!
- Przecież nie daję ci mieszkania.
- Mówię o pianinie.
- Ależ mam w tym swój interes! Mam nadzieję, że zagrasz mi coś za każdym razem, gdy przyjdę w odwiedziny.
- Ale skąd wiedziałeś, że to właśnie to?
- Korzyści płynące z noszenia twojego zdjęcia w portfelu. Sprzedawca zapamiętał twoją twarz i rozanieloną minę na widok tego pianina. I już! Zapamiętał także twarde negocjacje i twoje mocne argumenty, by obniżyć cenę. Chyba cię zatrudnię jako handlowca!
- Jesteś niesamowity! Sprawileś mi taką przyjemność, Paul, naprawdę,

gdybyś wiedział, jak bardzo się cieszę!

– Zrób z niego dobry użytek, Julie. I ciesz się nim. A za pół roku chcę usłyszeć preludium Bacha!!!

– A ten sprzedawca obniżył ci cenę?

– Wiesz przecież, że zawsze biorę to, co najdroższe.

– Ten model nie był najdroższy.

– Wiem, ale był twój.

Kiedy się rozłączają, Paul oddycha z ulgą. Przestała odrzucać w całości wszystkie jego prezenty. Najwyższy czas. Nie obchodzi go, ile kosztowały, chce tylko uczynić ją szczęśliwą i zmniejszyć choćby o jedną tysięczną cierpienie po śmierci Lulu. Ona, która była ich balsamem bez parabenów w Bretanii, zmieniła się w otwartą ranę, a Paul nie sądzi, by miał w sobie tyle ciepła, żeby ją ogrzać. Ale przede wszystkim czuje się odpowiedzialny za tę tragedię. W końcu mógł wybrać inną kasę albo pozostać obojętnym wobec kasjerki. A przede wszystkim nie zapraszać jej do restauracji, a tym bardziej do Bretanii. Wtedy to wszystko by się nie wydarzyło. Paul czuje się odpowiedzialny, a jedyne, co ma, by położyć trochę balsamu na rany Julie, to karta płatnicza.

Skromne środki, ponieważ tego, czego potrzebuje Julie, nie da się kupić. Niemniej jednak to, co materialne, może czasem pomóc w osiągnięciu tego, co najważniejsze. Sama to powiedziała. Móc zadzwonić do przyjaciółki, jeść dobre rzeczy i nie ubierać się wyłącznie w szmateksie za rogiem.

I grać na pianinie.

W końcu się zgadza.

W końcu zaczęła też mówić mu na „ty”.

Szczęście przychodzi do tych, którzy cierpliwie czekają...

## UKOŁYSANIE

Julie podeszła aż do fontanny na końcu ulicy. Podała mu swój nowy adres. Raczej nie znał tej okolicy.

Romain, być może trochę jeszcze zaspany, o mało jej nie minął, jednak zauważył ją w ostatniej chwili i szybko zaparkował na poboczu. Cieszy się, że może spędzić ten dzień razem z nią. A ona odwzajemnia to uczucie. Tym razem zdradza cel podróży, by dać Julie czas na przygotowanie się. Plan jest ambitny.

Po kilkugodzinnym marszu muszą w końcu pogodzić się z faktami. Dziś nie uda im się dotrzeć na szczyt. Julie nie daje rady, bołą ją stopy, bołą ją plecy, boli ją serce, boli ją życie. Kiedy się maszeruje, płacząc, trudno jest łapać oddech.

Romain czuje, że to nie jest dobry dzień. Obiecuje jej więc, że za dziesięć minut dotrą do uroczonego jeziorka, nad którym będą mogli zrobić sobie przerwę i odpocząć, zanim zaczną wracać. Ten zimowy dzień jest bardzo piękny, nie powinni zmarznąć, nawet jeśli się zatrzymają.

Kiedy docierają nad wodę, jest jedenasta. Trochę za wcześnie na jedzenie.

Julie kładzie się na trawie i na chwilę zamyka oczy.

Gdy je otwiera, nie widzi Romaina, pospiesznie szuka go wzrokiem i dostrzega na drugim brzegu. Daje jej znak ręką i wraca dziesięć minut później.

– Lepiej się nie zanurzać w tym jeziorze, pełno w nim dziwnych stworzeń – mówi zdyszany.

– W każdym razie woda musi być lodowata.

– Jasne. Ale to byłoby orzeźwiająca. Ładnie tu, prawda? Poziom wody nie jest w tej chwili zbyt wysoki, ale wiosną jest naprawdę pięknie.

Julie wpatruje się w przestrzeń, słuchając Romaina jednym uchem. Mężczyzna podchodzi bliżej i siada jej za plecami. Następnie kładzie dłonie na jej ramionach i zaczyna ją delikatnie masować.

Julie niemal natychmiast zaczyna płakać. Jest tak nadwrażliwa, że każdy najmniejszy dotyk sprawia, że tama pęka. Dziewczyna zdejmuje polar. Masaż jest bardzo przyjemny, ale gruba tkanina zmniejsza jego skuteczność. Na słońcu jest ciepło. Jest jej dobrze w samym T-shircie. Romain kontynuuje masaż z większą łatwością.

– Chciałam założyć album z jego fotografiami, ale jakoś nie potrafię.

– Dziwi to panią?

– Nie, wiem, jak jest. Czy ten smutek kiedyś odejdzie? Bo póki co mam wrażenie, że cały czas tylko walczę, by mnie nie pochłonął. Nie zawsze ma się ochotę walczyć.

– Po co walczyć?

– Ponieważ trzeba iść naprzód, a życie na ciebie nie zaczeka!

– Kto pani powiedział, że życie nie zaczeka? Oczywiście, życie toczy się dalej, ale nie wymaga, by cały czas dotrzymywać mu kroku. Może się pani na chwilę usunąć na bok, żeby przeżyć żałobę. Jest pani bardzo młoda, całe życie przed panią, proszę dać sobie czas.

– Mój przyjaciel Paul, pamięta go pan?

– Oczywiście, często pani o nim wspomina. Pożyczył pani pieniądze na pianino?

– Podarował mi je. A wraz z nim wynajął mi mieszkanie, za bardzo niski czynsz.

– Cudownie!

– Trochę mnie to jednak krępuje, to ogromny prezent. Czuję się jego dłużniczką.

– Proszę pozwolić innym na to, by sprawiali pani przyjemność. Nie sędzę, by czuł się do tego zobowiązany. Wręcz przeciwnie. Jeśli ma ku temu odpowiednie środki, jest to tylko jeden ze sposobów, by pani towarzyszyć. Z tego, co mi pani o nim opowiadała, nie sędzę, by próbował kupić pani przyjaźń.

– Nie.

– A tym bardziej pani względy!?

– Zdecydowanie.

– A więc to wielki prezent, z pewnością, ale szczerzy. Tak proszę na to spojrzeć.

Julie się uśmiecha. Po skończonym masażu pleców Romain nie odsunął się, lecz przytulił ją, kołysząc delikatnie, niemal niepostrzeżenie. Z tego też nigdy się nie wyrasta. Ukołysanie w czyichś ramionach zawsze pomaga. To niezaprzeczalna, niepodważalna prawda, o której tak często zapominamy...

Romain też zapomniał o swojej dziecięcej duszy. Stracił ją jak ogromna większość ludzi. A odnalazł dopiero wtedy, kiedy opuściła go żona – po to, by zgrać się z córką. Ponieważ życie jest mniej bolesne, kiedy gra się w nie jak w klasy na podwórku i czerpie radość z prostych rzeczy.

Minął ponad rok, nim naprawdę zdał sobie sprawę z tego, że opuścił bezpowrotnie szeroki, spokojny nurt, tak bardzo jego serce było złamane.

## ZATAMOWAĆ STRUMIENI

– Dzień dobry, Julie, jak się masz? – pyta Jérôme, przytulając ją na powitanie.

– W porządku. To znaczy, niezupełnie, bo gdyby wszystko było w porządku, to nie przyszedłbym do gabinetu. Nie ma Caroline?

– Nie, pojechała na kilka dni do rodziców. Co się dzieje?

– Sikam pod siebie – odpowiada Julie, opadając ciężko na krzesło stojące naprzeciw jego biurka.

– Julie, już ci tłumaczyliśmy z Paulem, że powinnaś popracować nad słownictwem... spróbuj raz jeszcze!

– Siusiam sobie po nogach?

– Trochę lepiej, ale stać cię na więcej...

– Popuszczam w majtki?

– Lepiej...?

– Wkurzasz mnie, Jérôme!

– Okej! Okej! Dobrze, a więc cierpisz na nietrzymanie moczu.

– Skoro tak twierdzisz.

– Od dawna?

– Od śmierci Lulu.

– I przeszkadza ci to w codziennym funkcjonowaniu?

– A jak myślisz? Naprawdę, trzeba być facetem, żeby zadać takie pytanie!

– Przepraszam. To prawda, jestem idiotą. Dobrze. Dam ci skierowanie do położnej. Ona ci pomoże lepiej ode mnie.

– Jeśli to po to, by wsadziła mi sondę tam, gdzie myślę, to szkoda zachodu.

– Nie, nie po to. Zobaczysz.

– A po co?

– Ona ci wytłumaczy. Nazywa się Sylvie Petitjean, i w dodatku mieszka w twojej okolicy. Zadzwoń i powołaj się na mnie – mówi, wręczając jej skierowanie.

Julie dzwoni natychmiast po wyjściu z gabinetu Jérôme’a. Położna odbiera po chwili. Ma przyjemny głos. Słysząc w nim, że się uśmiecha.

Przeznaczenie czy zbieg okoliczności, właśnie zwolnił się termin wizyty na dzisiejsze popołudnie. Julie rezerwuje go dla siebie. Nie bardzo wie, czego się spodziewać.

Wraca do domu i przygotowuje sobie coś do jedzenia. Nie jest specjalnie głodna. Jednak wzięła sobie do serca uwagę Jérôme’a, który stwierdził przed chwilą: „Rób tak dalej, a następnym razem, gdy zabierzemy cię do Bretanii, będziemy musieli nasypać ci piasku do kieszeni, żeby nie porwał cię wiatr...”.

No, dobrze. Je.

Włożyła nieco drewna do małego kominka w salonie. Paul uznał, że przyda jej się trochę naturalnego ciepła, i kazał go zainstalować. Mogłaby jeszcze wysłać wiadomość do Romaina i miałyby wszystkie małe radości dnia codziennego w komplecie. Widok ognia trzaskającego w kominku jest jedną z nich. Korzysta z tego, wpatrując się w zamyśleniu w płomienie, które odbijają się żółtoniebieskimi refleksami w jej błyszczących oczach jak w lustrach.

Położna jest bardzo uprzejma. Odbiera od Julie skierowanie i pyta o powód wizyty. Po kilku wyjaśnieniach kobieta bierze plik kart i zaczyna je wypełniać. Zadaje kolejne pytania. Imię, nazwisko, data urodzenia, adres, numer

ubezpieczenia, zawód, ile miała lat, gdy wystąpiła pierwsza miesiączka, i tak dalej. Wcześniejsze schorzenia, czy doświadczyła aktów przemocy...

– Jakiego rodzaju przemocy? – pyta zaskoczona pytaniem Julie.

– Chodzi o wszystko, co odebrała pani w swoim życiu jako przemoc.

– Nigdy mnie o to nie pytano.

– Ja zawsze o to pytam. Ale nie ma pani obowiązku odpowiadać. Liczy się to, by przekręcić klucz w szczelnie zamkniętych drzwiach.

– W takim razie proszę wpisać, że tak – mówi Julie po krótkiej chwili wahania.

Położnej wystarczy jedno spojrzenie, by zrozumiała, że może przejść do następnego pytania. Julie nie powie na ten temat nic więcej. W każdym razie nie dzisiaj. Kolejne pytania są bardziej techniczne. Dotyczą jej problemów kobiecych, zwyczajów, dolegliwości, z którą przyszła. Położna pyta także o przebyty poród. O znieczulenie zewnątrzoponowe, o wagę dziecka, o to, czy urodziło się bez problemów i czy karmiła je piersią. O to, jak dziecko ma się obecnie. Julie, której niewiele wcześniej udało się osuszyć poranne łzy, znów wybucha płaczem. Mija dobra chwila, zanim w ogóle jest w stanie wykrztusić, że Lulu zmarł miesiąc temu. Trzeba to powiedzieć. Kobieta siedząca naprzeciwko nie może się tego domyślić. Wysłuchawszy całej historii w kilku zdaniach, położna po prostu ściska dłoń Julie, czekając, aż łzy przestaną płynąć.

– Cieknie, skąd się da, tak? – mówi w końcu, uśmiechając się łagodnie. – Z góry, z dołu. Postaramy się jakoś zatamować ten potężny strumień.

– Tak – przyznaje Julie, wycierając mokre policzki. – Trzeba coś z tym zrobić.

– Popracujemy nad tym. Dam pani ćwiczenia, które będzie pani wykonywać w domu.

– Jakie ćwiczenia?



– Wizualizację. Będzie sobie pani wyobrażać przyjemne rzeczy, małą grotę, wysokie fale, motyle i zamykające się drzwi.

– I to zatamuje ten strumień?

– Co do tego, który wypływa z oczu, to nie wiem, ale powinno zadziałać na ten na dole.

– Dlaczego od śmierci Ludovica mam takie problemy?

– Krocze kobiety jest niczym kobiece prezbiterium. Najświętsze miejsce w katedrze. Jego śmierć dotknęła także to prezbiterium. Proszę nie odbierać mu prawa do cierpienia. Ale proszę się też nie martwić, dojdzie do siebie.

– ...

– I pani także. Widzimy się w przyszłym tygodniu?

– Nie zbada mnie pani?

– Nigdy tego nie robię w czasie pierwszej wizyty – odpowiada położna z uśmiechem.

Julie to docenia. Nie lubi, gdy ktoś majstruje przy jej „prezbiterium”, zwłaszcza na pierwszym spotkaniu...

## NA ŚNIEGU

Spotkania, które miały odbywać się raz w miesiącu, stają się częstsze. Romain zabiera ją na wyprawę co dwa tygodnie.

Dzisiaj jest przepiękna pogoda. Cały ostatni tydzień padał śnieg, który utrzymał się w suchym, mroźnym powietrzu. Gruby biały płaszcz skrzy się w słońcu niczym bezkresna świąteczna girlanda, która świeci się nawet w środku dnia. A kiedy zanurza się palce w śniegu, na jego powierzchni łamie się cieniutka warstewka lodu, jakby to był ogromny crème brûlée. Julie uwielbia obserwować to zjawisko.

– Potrafi pani prowadzić na ośnieżonej drodze?

– Zdarzyło mi się raz czy dwa jechać w takich warunkach do pracy, ale...  
Dlaczego pan się zatrzymuje?

– Ponieważ na naukę nigdy nie jest za późno. Ta droga jest zawsze pusta, a nadjeżdżające samochody widać z daleka i nie ma najmniejszego ryzyka, że wyląduje się na poboczu.

– Ale ja nie chcę tu robić rajdu!

– A kto mówi o rajdzie? Chodzi o to, by nauczyć się jeździć po śniegu, bo nigdy nie wiadomo, kiedy może się to przydać. Triumph jest do tego idealny. Świetnie trzyma się drogi.

– Wcześniej mówił mi pan coś zupełnie innego.

– Ja coś takiego powiedziałem? Niemożliwe...

- Nigdy nie siedziałam za kierownicą takiego samochodu!...
- Samochód jak samochód. Kierownica, skrzynia biegów, trzy pedały: sprzęgło, hamulec, gaz. A tutaj ma pani lusterko wsteczne – dodaje, wskazując palcem.
- Niech pan sobie ze mnie nie żartuje!
- No to proszę mi pokazać, na co panią stać. To nie jest żadna kosmiczna technologia. Wystarczy się odważyć. Co się może stać?
- Mogę uszkodzić pańskie auto.
- Biorę to na siebie.
- Musi mi pan cholernie ufać...
- Mylę się?
- Nie wiem.

Julie rusza bardzo ostrożnie. Jedzie powoli. Nie czuje się zbyt pewnie.

- W takim tempie raczej nie dotrzemy na czas na miejsce naszej wycieczki, jeszcze dwanaście kilometrów, może pani trochę przyspieszyć!

Julie przyspiesza. Troszeczkę. Przechodzi z piętnastu do dwudziestu kilometrów na godzinę. Przygotowuje się do wejścia w zakręt, skręca wolno, ostrożnie, kiedy Romain łapie hamulec ręczny i podnosi go gwałtownie. Tył samochodu natychmiast odskakuje w lewo, a Julie instynktownie odbija kierownicą w przeciwną stronę, by wyrównać tor jazdy, co się udaje.

- Niech pan nigdy więcej tego nie robi! – krzyczy.
- Ale wspaniale sobie pani poradziła! W czym problem? – odpowiada Romain.
- I tak niech pan nigdy więcej tego nie robi, przestraszyłam się – mówi, nie mogąc jednak powstrzymać uśmiechu.
- No, niech się pani przyzna! Przyjemnie było poczuć trochę adrenaliny, widziałem to w pani oczach!

– To prawda, ale niech pan nigdy więcej tego nie robi – powtarza ze śmiechem.

– Obiecuję, ale teraz proszę już przyspieszyć, bo nie zdążymy zrobić trasy, którą zaplanowałem.

– Niech mi pan pozwoli oswoić się z tym samochodem. Może pan lubi jeździć po śniegu, ja nie.

– Nie, wolę jazdę w letnie wieczory, w południowej Francji, po dzikich, opustoszałych drogach, nad którymi unosi się zapach lawendy i rozmarynu. Powietrze jest cudownie świeże. Silnik samochodu lepiej pracuje, a potem ta tajemniczość zapadającej nocy, otwarty dach, budzą się wszystkie zmysły. Wtedy jest dobrze. Naprawdę dobrze.

Wędrówka przez śnieg jest wyzwaniem, bo nogi zapadają się w zaspach do połowy łydki. Julie czuje, że pod polarem jest mokra od potu, ale za to widok jest niesamowity. Docierają do wodospadu. Woda spływa niebieskawymi refleksami po lodowej rzeźbie. Jak gdyby zima zaskoczyła swym lodowatym tchnieniem te małe kropelki, zamrażając je nagle i zatrzymując w ich biegu. Przyglądają mu się w milczeniu. Słyszą tylko cichy szmer strumienia.

Julie podchodzi do wodospadu i podnosi kawałek lodu, który oderwał się od lodowej rzeźby. Każdy ma swoje lego...

– Dlaczego spędza pan ze mną czas?

– Bo sprawia mi to przyjemność. Ale także dlatego, że wiem, że w podobnych sytuacjach otoczenie może zachowywać się z rezerwą, a zmiana perspektywy bardzo pomaga. Ponieważ wiem, że kocha pani góry, a sama by pani nie poszła. Nie mylę się?

– To zaczyna być męczące, pan ma zawsze rację – odpowiada z uśmiechem.

– Większość ludzi nie robi tego specjalnie, ale dla wielu z nich uosabia pani smutek i śmierć, a śmierć przeraża. To ludzkie, to normalne. Może pani liczyć

tylko na siebie, jeśli chce pani odbudować swoje życie. Co jednak nie stoi na przeszkodzie, by mieć przyjaciół. A ci, którzy zostają, to ci najlepsi.

Romain patrzy rozbawiony na Julie, która ssie sopel lodu, odkąd go znalazła. Robił tak samo, gdy był mały. Odrywa sopel dla siebie i wkłada go do ust.

– Zaczęła się pani znów uśmiechać, reszta przyjdzie sama. I dojdzie pani do tego sama. Jest po prostu łatwiej, kiedy otaczają nas ludzie. I nic się nie stanie, jeśli czasem wpadnie pani w poślizg. Upadanie jest częścią życia.

– Jeśli upada się z powodu rozpaczy, to nie zawsze da się to zauważyć.

– Jeśli straci się nogę, to widać. Ludzie są wyrozumiali i współczujący. Choć nie wszyscy. Lecz jeśli straci się kawałek serca, to tego nie widać na zewnątrz, a jest to co najmniej równie bolesne. Bez jednej nogi człowiek uczy się w końcu jakoś chodzić, jakoś sobie radzi. Kiedy straci się dziecko, podejrzewam, że nie da się chodzić w ogóle, zostaje się całkowicie powalonym...

– Wolałabym stracić obydwie nogi, ale zachować syna. Ale to prawda, nie mam napisane na czole, że żyję z sercem rozdartym na kawałki.

– Nie trzeba winić ludzi. Oni wierzą tylko w to, co widzą. Tymczasem trzeba trochę pogrzebać, by zobaczyć, co znajduje się pod powierzchnią. Jeśli wrzucisz do stawu wielki kamień, na powierzchni pojawią się zmarszczki. Najpierw duże, które dotrą aż do brzegu, a potem coraz mniejsze, które w końcu zupełnie znikną. Powierzchnia pomału znów staje się gładka i nieporuszona. Ale wielki kamień wciąż leży na dnie.

Wielki kamień wciąż leży na dnie.

## MĘŻCZYŹNI MNIEJ DOMINUJĄCY

Julie siedzi przy biurku położnej. Kobieta bierze krzesło i siada obok. Następnie prosi, by wybrała jeden z kolorowych pisaków.

*To będzie niebieski.*

Później pyta o jej wewnętrzną prognozę pogody. Słońce, chmury, mgła, deszcz, słońce i deszcz, zamglenia i przejaśnienia? Julie patrzy na nią zaskoczona, po czym odpowiada.

*To będą deszcze i zamglenia.*

Następnie kobieta wyjaśnia, że dziś rano zaczną pracować nad mięśniami strzegącymi wejścia do grotu. Że będą mosty zwodzone i brony w bramach zamku, które będzie zamykała w wyobraźni, by chronić księżniczkę.

*To będzie dziwne.*

Wreszcie prosi, by ułożyła się wygodnie na stole do badań, po rozebraniu się od pasa w dół, zgięła nogi, przysunęła stopy do pośladków i rozłożyła kolana, kładąc jedno na udzie położnej, która siadła obok.

*To będzie trudne.*

– Położę palce u wejścia do pochwy. Proszę powiedzieć, kiedy będzie pani gotowa.

– Może pani zaczynać – odpowiada pospiesznie Julie.

– „Może pani zaczynać” nie oznacza, że jest pani gotowa.

– Pierwszy raz przed badaniem ktoś mnie pyta, czy jestem gotowa.

– Naprawdę, jakoś dużo tych pierwszych razów między nami – śmieje się

położna. – Poczekam, aż to się stanie.

Julie zamyka oczy i głośno oddycha.

– A jeśli nie jestem gotowa? – pyta zaniepokojona.

– Jeśli nie jest pani gotowa, nie przeprowadzę badania.

Julie znów zamyka oczy, bierze głęboki wdech, stara się zrelaksować. Położna obserwuje ją kątem oka. Usta drżą, w oku perli się łza, w drugim także. Spływają w stronę uszu.

– Chyba nie jestem gotowa – przyznaje Julie, ocierając łzy.

– Nic nie szkodzi. Poczekamy, aż pani będzie. Jeśli potrzebuje pani mojej pomocy, by się przygotować, to jestem tu dla pani.

Julie ubiera się z powrotem i siada na krawędzi stołu do badań. Położna siedzi obok. Powoli układa narzędzia, słuchając, jak młoda pacjentka opowiada o tych swoich kolejnych chłopakach, którzy dysponowali jej ciałem pięknej nastolatki, naśladując niezdarnie to, co obejrżeli w filmach porno, nie troszcząc się zbytnio o to, co ona w tej chwili czuje.

I był też ten, który w czasie zakrapianej imprezy zostawił trochę płodnego nasienia, zanim zwiął, zbyt przestraszony, by wziąć na siebie konsekwencje.

I jest ten łajdak Chasson, który wywiera na nią presję, wiedząc, że nie może się bronić. Tak więc księżniczka jest cholernie rozczarowana i pozbawiona złudzeń. Księżniczka ma ochotę powiedzieć tej połowie ludzkości, która sądzi, że testosteron daje jej prawo rozporządzać drugą połową, żeby poszła się walić.

Księżniczka już dawno straciła nadzieję, że spotka swojego księcia z bajki. Zamierza zatrudnić jakiegoś smoka do obrony przed wilkami. Przez chwilę myśli o Paulu. On mógłby być niezłym smokiem. Cały problem w tym, że płacze jak bóbr, krojąc cebulę, a to mogłoby ugasić ogień z paszczy.

– Nikt nie ma prawa ignorować pani zdania – stwierdza spokojnie położna.

– Zdarzało mi się powiedzieć „tak”, ponieważ nie miałam innego wyjścia.

– Niech się pani broni, Julie. To pani ciało. Należy do pani. Jest ważne. Uzdrawienie krocza przyjdzie także dzięki zdaniu sobie z tego sprawy. Jeśli chce pani zamknąć wejście, trzeba przestać się zgadzać na jego otwieranie wbrew sobie.

– I na wpuszczanie do prezbiterium?

– Właśnie. Chroni swój skarb, Julie. Nie wpuszcza się bandytów do miejsca świętego. I nie traci nadziei na znalezienie księcia. Testosteron ma pozytywny wpływ na niektórych mężczyzn. Tych mniej dominujących, w każdym razie. Tych, którzy zrozumieli, że druga połowa ludzkości jest tak samo wartościowa.



## REHABILITACJA

W tę niedzielę Julie je obiad u Jérôme'a. Caroline przygotowała placek. To już nie jest czas na ciasto Trzech Króli, ale Caroline lubi być ponadczasowa. Tym razem pamiętała, by przed pieczeniem ukryć w cieście ziarnko fasoli. Jest coraz lepsza. Ma coraz więcej pewności siebie.

Jérôme wyszedł ze szpitala w połowie tygodnia, po tym jak spędził w nim kilka dni, by nie musieć już wydzwaniać na lotniskach. Rehabilitacja rozpoczęła się jeszcze przed operacją. Pozostaje opieka ambulatoryjna i sesje u jego przyjaciela fizjoterapeuty, amatora whisky o wyglądzie Apolla. Jérôme ma w nosie jego wygląd. Za to, jeśli chodzi o whisky...

Zaczyna wychodzić na prostą, choć czasem czuje bolesne ukłucie poczucia winy, gdy widzi Julie staczającą się na dno rozpacz, podczas gdy on wyszedł z tego tylko ze zmiążdżoną nogą.

Jest jednym z trojga pasażerów tego samochodu, którzy żałują, że nie znaleźli się na miejscu tego, który zginął.

Jednak także Julie pomału wychodzi na prostą. Krok po kroku. Malutkimi kroczkami. Ale zawsze to coś.

- A jak tam twoje rehabilitacja? – pyta Jérôme. – Postępuje?
- Tak. Ta twoja średniowieczna położna jest bardzo miła.
- Średniowieczna? Dlaczego średniowieczna?
- Ponieważ mówimy o warownych zamkach, mostach zwodzonych, księżniczках, wielkich, łagodnych falach.

- Ta położna jest także instruktorką pływania?
- Sądzę, że to kobieta wielu talentów.
- Pomaga ci?
- Uszczelniamy. Trochę mniej przecieka. Z górą trzeba będzie jeszcze popracować, ale na dole jest już lepiej... A poza tym ona się nie spieszy. Nie jak ci wszyscy lekarze, którzy uśmiechają się do ciebie szeroko, udając, że cię słuchają, ale kiedy tłumaczysz im, że sikasz sobie po nogach, myślą wyłącznie o wyjeździe na narty, który pomoże zasponsorować właśnie uiszczona przez ciebie opłata za wizytę, i którzy w dodatku dadzą ci do zrozumienia, że powinieneś zdjąć buty i ustawić je w równym rzędzie obok butów innych pacjentów, rentowność zobowiązuje, bo narty słono kosztują, zwłaszcza w kurortach, do których zwykli jeździć...
- Wkładasz mnie do tej samej szufladki?
- A jak myślisz?
- Mam nadzieję, że nie.
- Czy twoje pacjentki zdejmują buty w poczekalni?
- Nie...
- Kończysz wizytę w korytarzu, mówiąc im tam „do widzenia”?
- No, nie.
- W takim razie nie wkładam cię do tej samej szufladki...

## JASKINIA ZAPOMNIENIA

- Dzień dobry, Julie. Ma pani parasol?
- Dopasowany do butów. Idziemy na grzyby czy żaby?
- Chce pani, żebyśmy odwołali?
- Za nic w świecie, kiedy jestem tak wyekwipowana!
- Nie musi pani za każdym razem wkładać tej czapki.
- Wkładam ją z przyjemnością. Świetnie grzeje! I głowę, i serce. Te kolory działają!
- To dobrze. W każdym razie bardzo w niej pani do twarzy. Zna pani Jaskinię Zapomnienia?
- Ech, nie, chyba ją zapomniałam.
- Połknęła pani klauna dziś rano? Jeśli jej pani nie zna, to panią zabiorę. Tam będziemy pod dachem.

W samochodzie Romain opowiada Julie legendę jaskini. Mnisi z pobliskiego klasztoru udawali się tam na samotne modlitwy, gdyż trudno się do niej dostać, a niesamowity widok sprawia, że zapomina się o całym świecie.

- To nie jest zbyt niebezpieczne w taką pogodę?
- Nie, od tamtych czasów trasa została poszerzona, a w dodatku mamy czekan i raki.
- A gdzie pójdziemy, kiedy już pokaże mi pan wszystkie zakątki w okolicy?
- Życia by nam nie starczyło, by odkryć je wszystkie. I jestem pewien, że jest

jeszcze wiele takich, których sam jeszcze nie znam. W najgorszym razie pojedziemy nieco dalej.

Rzeczywiście nie było łatwo dostać się do jaskini, ale cudowny widok wynagrodził trudy. Jest tam nawet wycięta w kamieniu ławeczka, wygładzona przez umęczonych wędrowców przybywających tu od wieków. Romain podchodzi do krawędzi, by spojrzeć w dół, prosto w przepaść. Stoi na brzeżku. Z jedną nogą odchyloną do tyłu, dla uzyskania przeciwwagi, pochyla się do przodu. Julie jest niespokojna. Wstrzymuje oddech, jedno tchnienie mniej w powietrzu dookoła, na wypadek gdyby mogło popchnąć go w nicość.

– Jak tam w pracy? – pyta Romain.

– Wszystko mnie wkurza. Koledzy mnie wkurzają, szef mnie wkurza, klienci mnie wkurzają, zgrzewki wody, które niszczą mi kręgosłup, mnie wkurzają. Chciałabym uciec na jakąś bezludną wyspę i żeby wszyscy się ode mnie odwalili. Wycofać się po cichutku, tak by nikt nie chciał mnie szukać. Przynajmniej miałabym spokój.

– Życie jest jak morze. Jest hałas, kiedy fale rozbijają się o brzeg, a potem cisza, gdy się cofają. Nieustający ruch, siły przecinające się i krzyżujące w nieskończoność. Jedna szybka i gwałtowna, druga delikatna i powolna. Chciałaby się pani wycofać, wymknąć się niepostrzeżenie, skryć wśród ciszy fal, tak by życie o pani zapomniało. Ale przyjdą inne fale i wciąż będą przychodziły. Bo właśnie takie jest życie... To ruch, rytm, czasem hałas, kiedy rozpęta się burza, i delikatny plusk, kiedy panuje spokój. Ale zawsze plusk. Nad brzegiem morza nigdy nie ma absolutnej ciszy. Tak samo w życiu, ani moim, ani pani. Są ziarenka piasku narażone na porwanie przez prąd i są te bezpieczne, poza zasięgiem fal. Którym zazdrościć? To nie z suchego i gładkiego piasku z górnych części plaży buduje się zamki, lecz z tego, który walczy z falami, ponieważ jego cząsteczki łączą się ze sobą. Odbuduje pani zamek swojego życia, ponieważ burza uczyniła panią silną. I odbuduje pani ten zamek z ziarenkami, które są do

pani podobne, które także przeszły przez życiowe sztormy, ponieważ z nimi spojenie będzie mocne i trwałe.

Julie myśli o Bretanii...

## ON CZEKA NA CIEBIE

Koniec lutego jest wyjątkowo zimny. Pada na zewnątrz. Pada w środku. Mieszanina śniegu i łez, która klei się do ubrań i mrozi krew. I ta szarzysta, ta szarzysta...

Już od tylu dni nie widziała kolorów ani słońca. W te dni bardziej niż kiedykolwiek Julie miała ochotę wyjechać. Zostawić wszystko, wyskoczyć z jadącego pociągu i wrócić na peron. Tam, gdzie zostawiła Lulu.

Chce się poddać, opuścić ręce i udowodnić, że przysłowie jest błędne. No bo jaki to wszystko ma sens? Po co jeszcze czekać na cud? Zresztą, jaki cud? Jedyne prawdziwe cud zdarzyłby się wtedy, gdyby mogła cofnąć czas, przewinąć film swojego życia, wyjechać później z tego małego domku w Bretanii i dotrzeć nieco później do domu, utknąć w niekończących się korkach, ale uniknąć tego straszliwego wypadku.

Niestety, życie tak nie działa. Szpule wciąż kręcą się do przodu. Niczego nie da się wyciąć w trakcie montażu. W ogóle nie ma żadnego montażu. Ciągła transmisja na żywo.

Podciąć sobie żyły?

Wjechać w największe drzewo rosnące na poboczu?

Połknąć całe opakowanie środków przeciwbólowych? Albo dwa, dla pewności...?

Zastanawia się.

Daj spokój, Julie! Pomyśl o ludziach, którzy cię kochają.

A poza tym on czeka na ciebie, wiesz?

On czeka.

Ma na to cały swój czas...

## WINDA (2)

Umówili się w hotelowym lobby. Zdaje się, że uwiodła ją propozycja kolacji w restauracji z panoramicznym widokiem na całe miasto.

Minąwszy się wielokrotnie na oddziale, gdzie leżał Lulu, wymienili się w końcu numerami telefonów i adresami mailowymi. A poza tym czas między wizytami w szpitalu zaczynał im się dłużyć. Zaczęli pisać do siebie regularnie, wysyłać wiadomości, czasem zupełnie bez powodu, czekać nerwowo na znak od drugiego, jak dzieciaki. Musieli się więc w końcu zobaczyć.

Spotykają się pierwszy raz od śmierci Lulu.

Paul usadowił się w jednym z tych miękkich foteli w holu. Lubi być pierwszy i obserwować wejście, by zobaczyć, jak osoba, na którą czeka, przekracza próg i szuka go wzrokiem. Ponieważ kiedy zauważy się tego, kogo się szuka, w oczach zapala się światełko. Oczywiście Paul ma nadzieję, że oczy Manon także rozbłysną tym światłem, kiedy jej wzrok padnie na niego dziś wieczorem. Dlaczego miałyby w to wątpić po tym, co sobie powiedzieli?

Wpatruje się w drzwi wejściowe. Kiedy kelner podszedł do niego zapytać, czy chciałby się czegoś napić, odpowiedział z kurtuazją, że na kogoś czeka. Tak, kelner musiał się tego domyślić...

*On nie tylko na nią czeka, on już jej pragnie...*

Paul przygląda się baletowi klientów, którzy wchodzą i wychodzą przez obrotowe szklane drzwi. Ona niedługo przyjdzie, czuje to.

Rozpoznaje niewyraźny zarys jej sylwetki poprzez wielkie okna wychodzące



na parking. Drzwi się rozsuwają i Manon pojawia się w holu. Po kilku krokach przystaje, omiata salę wzrokiem. Niepokój i skupienie.

Oby tu był.

W końcu go dostrzega i Paul delektuje się chwilą, gdy oczy młodej kobiety rozbłyskują, jej twarz rozjaśnia uśmiech, a na policzkach pojawiają się dwa małe dołeczki. Czyżby także delikatnie zaróżowiły się jej policzki? Podnosi rękę, by dać mu znak, a następnie podchodzi do niego.

– Długo pan czeka? – pyta, całując go w policzek na powitanie.

– Nie, dziesięć minut – kłamie, by nie przyznać się, że siedzi tu już od co najmniej pół godziny, bo za nic w świecie nie chciał przegapić tego momentu. – Może moglibyśmy przejść na „ty”?

– Jeśli chcesz...

– Rany!

– Co?

– W przypadku Julie dojście do tego momentu trwało całe wieki!

– Julie ma pewne zasady, trudne do wykorzenia.

– A ty nie masz zasad?

– Mam, ale inne. Dla mnie mówienie sobie na „ty” to żaden problem. Spędziłam rok w Danii jako opiekunka do dzieci. Tam nikt nikomu nie mówi na „pan”. Wszyscy zwracają się do siebie bezpośrednio, od studenta do ministra.

– I dobrze. Chcesz coś wypić tutaj czy wolisz od razu pójść do restauracji?

– Słońce już zachodzi, prawda? Lepiej zobaczmy to z góry.

– No to chodźmy. Ale trzeba będzie jechać windą, to na piętnastym piętrze.

– Wiem.

– W porządku?

– Nie wiem.

– Spróbujemy?

- A masz ze sobą wachlarz?
- Jaki wachlarz?
- Wachlarz propozycji dla mnie w razie awarii.
- Mam go zawsze przy sobie.

Paul naciska guzik przywołujący windę. Czekają długo, zapewne winda była na samej górze. Manon wciska kolejny raz guzik, choć ten się już świeci. Paul patrzy na nią z rozbawieniem.

- Wiesz, że to niczemu nie służy?
- A właśnie, że tak!
- Czemu?
- Upewnieniu się, że przycisk był wciśnięty, jak trzeba.
- Przecież zapaliło się światelko.
- I co z tego?
- Naciskasz równie mocno przyciski na pilocie, kiedy nie działa?
- Tak, a co?
- A kiedy stoisz przed szafą, zastanawiając się, co na siebie włożyć, to przebierasz wszystkimi dziesięcioma palcami, jak pająk?
- Skąd wiesz?
- Wiem.
- Wiesz także, że zdarza mi się powiedzieć „przepraszam” do stolika w salonie, kiedy się o niego stuknę?
- O nie, moja wyobraźnia nie sięgnęła aż tak daleko!
- Za to ty, odbierając telefon, mówisz: „Dzień dobry, to ja”. I cóż, za każdym razem to rzeczywiście jesteś ty!

Winda w końcu przyjeżdża i rozsuwane drzwi zamykają się za nimi. Są sami. Paul wciska odpowiedni guzik. Manon patrzy z niepokojem na wyświetlacz

wskazujący kolejne piętra. Nagle na szóstym piętrze winda zatrzymuje się niespodziewania, pograżając pasażerów w półmroku.

– Pan to robi specjalnie?

– Manon, nic nie zrobiłem, przyrzekam! Znowu mówisz mi *per pan*?

– No to chyba ciąży nad nami jakaś klątwa? Coś takiego nigdy wcześniej mi się nie zdarzyło!

– Mnie też nie. Jesteśmy więc skazani na jeżdżenie windą osobno.

– Dlaczego to się nam przytrafia?

– Dziwne połączenie fal elektrycznych?

– To koniec! Koniec! Nigdy więcej nie wsiądę z tobą do windy! – stwierdza Manon, czując, że ogarnia ją strach.

– Być może tym razem szybciej się do mnie przytulisz?

Manon od razu wsuwa się w jego ramiona. Uścisk jest o wiele mocniejszy niż ostatnim razem i Manon niemalże pragnie, by awaria się przedłużyła.

– Nie zadzwonimy? – pyta jednak.

– Po co? – odpowiada Paul, chwytając jej podbródek w dwa palce i unosząc jej twarz ku sobie.

– Po nic! – mówi dziewczyna, zanim on zamyka jej usta pocałunkiem. Ukradkowym, ponieważ w tej samej chwili kabina windy trzęsie się i rusza w górę, nie pytając ich o zdanie.

Siedzą przy stoliku ustawionym przy wielkim oknie. Słońce zniknęło już za pasmem Wogezów, malując płynące to tu, to tam chmury pomarańczowymi refleksami, przechodzącymi stopniowo w czerwień.

– Powiedz mi, jak naprawdę czuje się Julie. Mówi mi, że wszystko w porządku, ale nie wiem, czy nie chce mnie tylko uspokoić. Jesteś jej najlepszą przyjaciółką, tobie pewnie mówi wszystko.

– Jakoś idzie. Ma wzloty i upadki. Wzloty niezbyt wysokie, upadki za to

bardzo głębokie, ale jakoś się trzyma.

– Na szczęście jest silna.

– „Nigdy nie wiesz, jak silny jesteś, dopóki bycie silnym nie stanie się jedynym wyjściem, jakie masz”. To słowa Boba Marleya.

– Ach, skoro Bob Marley to powiedział...

– Ona nie ma zbyt wielu opcji.

– Poza tą, by do niego dołączyć. Wspomina czasem o tym?

– Zdarza się. Wtedy szybko daję jej kopa w tyłek.

– Mam do siebie straszny żal.

– Za co?

– Za to, co się stało.

– To twoja wina?

– Niewiele mogłem zrobić. Prawie nic. Ale gdybyśmy wyjechali pięć minut później. Albo gdybyśmy zjechali z autostrady, żeby zrobić wtedy krótki postój.

– Życie jest bardzo kruche. To w ogóle cud, że udaje nam się je zachować. Być może to wszystko ma sens.

– To ma sens, że dziecko ginie przez pijanego kierowcę?

– Znalezienie w tym sensu na pewno pomaga.

– To powiedz mi, kiedy już znajdziesz.

– Jeszcze szukam.

– W takim razie lepiej znajdź w menu coś do zjedzenia.

Manon nie zamyka z hukiem karty dań. Nie potrzebuje, by odczytał jej menu, tak aby nie widziała cen, i jest jej wszystko jedno, czy każdy kęs będzie kosztował pięć euro. Manon korzysta z życia. Po prostu przyjmuje zaproszenie. Broni miejsca kobiet w społeczeństwie, nie będąc jednocześnie zażartą feministką, i nawet nie przychodzi jej do głowy, że mogłaby za siebie zapłacić. Po pierwsze dlatego, że Paul czułby się urażony, a po drugie uwielbia te drobne oznaki

męskiej kurtuazji, znikające wraz z ewolucją społeczeństwa, które nie wie już, jakich wartości się trzymać.

Paul wybrał już dawno temu. Weźmie to samo co Manon. Nieważne, co to będzie. Paul jest bezproblemowy. On chce tylko podążać za nią w wyborze dania, w rozmowie, którą później rozpoczną, a jeśli trzeba, także w drodze choćby na koniec świata.

Obserwuje ją, podczas gdy dziewczyna wolno przegląda menu. W końcu zamyka kartę i spogląda na niego tryumfalnie. Wybrała. Nareszcie.

– Wiesz, że nie tylko Bob Marley zna się na życiowych prawdach?

– Ach tak? – pyta rozbawiona.

– Albert Einstein też.

– Będziemy rozmawiać o teorii względności?

– Właśnie. Ale nie tej, którą znasz. „Godzina spędzona z piękną dziewczyną na ławce w parku mija jak minuta, podczas gdy minuta siedzenia na rozpalonym piecu wydaje się godziną. Na tym właśnie polega względność”.

– Wszystko zależy od temperatury pieca.

– I od dziewczyny.

– A jak jest ze mną? Ile czasu spędziliśmy tu razem?

– Sekundę.

– Zrobię się czerwona jak rozgrzany piec.

– I tak przy nim usiądę.

– Tylko na sekundę?

– Chętnie zatrzymałbym czas...

To, co dzieje się między Paulem a Manon, byłoby dla Julie niczym balsam na serce.

Bez parabenów.

Szczęście w nieszczęściu.

Małe szczęście w wielkim, wielkim nieszczęściu. Ale proporcje nie są ważne. Cieszyła się, widząc, jak od kilku tygodni się szukają, uwodzą i w końcu znajdują się dziś wieczorem. Ponieważ życie toczy się dalej. I bardzo jej na nich zależy. A jeśli są szczęśliwi, jej budowla z klocków Lego trochę mocniej się trzyma.

## WIOSENNA BURZA

– Jestem z pani dumny, Julie. Szczyt, który dziś zdobyliśmy, jest naprawdę wysoki.

– Lulu jest moim afelium. Muszę wspiąć się jak najwyżej, by dosięgnąć go koniuszkami palców.

– Zna pani to słowo?

– Jakie słowo? Palce?

– Afelium – odpowiada z uśmiechem.

– A czemu nie!?

– Czemu nie, rzeczywiście.

– Punkt na orbicie planety znajdujący się w największym oddaleniu od Słońca.

– Nie musi się pani tłumaczyć!

– Powiedziałam to, by nie czuł się pan zażenowany, jeśli nie zna jego znaczenia.

– Znałem znaczenie.

Julie usiadła po turecku, po tym jak położyła kamyk na niewielkim stosie ułożonym na szczycie. Ludzie układają te kamyki, jakby chcieli uczynić górę jeszcze wyższą. To ledwie ziarenko piasku w porównaniu z ogromem znajdującym się pod ich stopami, ale jednak mocny symboliczny gest. Dziewczyna wpatruje się w horyzont. Niebo jest czyste, lecz powietrze ciężkie,

jakby zanosilo się na burzę. Przypomina trochę to, jak sama się czuje po ostatnich kilku miesiącach. Umysł wolny od rozpaczy, ale serce ciężkie.

Romain usiadł nieco dalej i przygląda się tej młodej kobiecie, którą zna od niespełna roku. Kiedy ją spotkał, była mamą pełną nadziei, potem patrzył, jak zmienia się w mamę osieroconą przez dziecko – nie ma nawet słów, by opisać ten stan. Widział, jak się załamuje, a potem powoli wraca do życia. Choć Julie wciąż powtarza, że bardzo jej pomógł, on i tak wie, że to jej należy się cała zasługa. Pozbierała rozrzucone puzzle, nauczyła się od nowa budować z klocków Lego. Co najwyżej dał jej kilka drobnych wskazówek.

Co najwyżej.

Teraz Romain nie widzi już w niej mamy Ludovica, swojego małego pacjenta, którym się opiekuje. Ich relacja przekształciła się stopniowo w szczerą, głęboką przyjaźń. Jednak dziś, wpatrując się w profil Julie, jej włosy unoszące się delikatnie na wietrze, lekko zadarty nosek, piersi oparte na kolanach i ramiona oplatające nogi, Romain nie jest już pewny, czy to, co do niej czuje, to wciąż przyjaźń. Chociaż tak naprawdę to wie. Zakochał się. Być może stało się to z biegiem czasu, a być może już pierwszego dnia, choć jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy, ale jakie to ma znaczenie? Dzisiaj patrzy na tę kobietę, a jego serce bije trochę mocniej. Czy jego uczucia do niej są nieprzyzwoite, czy nie? Odkrywa je w głębi duszy i jest to bardzo przyjemne. Czuje, że jest już gotów na nową miłość. Takie jest życie, karmi się nietrwałością i to właśnie ta nietrwałość sprawia, że życie jest życiem. Przeszłość zostawia znak, niczym ślad stóp na piasku, ale idziemy ku przyszłości.

– Zastanawiała się już pani, jaki kamień postawi na grobie?

– To będzie piaskowiec z Wogezów, w kształcie motyla, za który zapłaciłam dzięki pieniądzom od Paula. Miał rację, że to ważne.

– Tak, to ważne.



– Myślę o Lulu nieustannie. Wszyscy powtarzają, że pewnie ciężko mi będzie tej jesieni, bo to rocznica. Ale ja nie potrzebuję rocznicy, by sobie o nim przypomnieć. Jeszcze nie doszłam do tego etapu. I nie sądzę, bym kiedykolwiek tam doszła. Ludovic jest ze mną, jest we mnie i będzie tam zawsze, każdego dnia.

– Czas nie pomaga zapomnieć, tylko przywyknąć. Jak oczy, które przyzwyczajają się do ciemności.

– No właśnie mam wrażenie, że moja żarówka przepaliła się kilka miesięcy temu.

– Po wielkiej burzy nawet wielki ogień może się wydawać zgaszony, ale gdzieś w głębi nadal tli się żar. Na powierzchni jest tylko szary, zimny popiół, ale w środku jest jeszcze ciepło. Roznieć ogień, dorzuć kilka gałązek, podmuchaj na niego, a znów będzie się palił.

– Czuję się raczej jak jabłko, które razem z innymi przechodzi przez grube sito. Tylko że ja stałam się zbyt wielka i nie mieszczę się już w standardowych otworach, więc muszę wylądować w innej skrzyni, osobno.

– To pani serce stało się zbyt wielkie. Ale posiadanie wielkiego serca może także oznaczać wielką dobroć.

Romain milczy przez chwilę, rysując coś patykiem na miękkiej ziemi, po czym uśmiecha się ostentacyjnie.

– Co pana tak bawi?

– To, co pani mówi! Właściwie to zmieniła pani skrzynkę, bo stała się pani jabłkiem w karmelu, błyszczącym, czerwonym, słodziutkim.

Teraz Julie się uśmiecha. A z tymi dołeczkami w policzkach, które teraz stały się czerwone, jest cała do schrupania!

– Nie wydaje się panu, że niebo niebezpiecznie pociemniało? – niepokoii się Julie.

– Właśnie też o tym pomyślałem. Ale sprawdziłem prognozę pogody, nie zapowiadają burzy. Pospieszmy się jednak, lepiej nie dać się złapać burzy w górach, a do samochodu mamy jeszcze dwie godziny.

Schodzą szybkim krokiem. Romain prowadzi, by przecierać Julie szlak. Dziewczyna jest zziębnięta, potyka się, ale jakoś daje sobie radę. Powietrze jest naładowane elektrycznością, Romain to czuje. I robi się coraz bardziej ciemno. Odwraca się co chwilę, by sprawdzić, jak wygląda niebo. Burza zbliża się błyskawicznie i podnosi się wiatr. Nie dotrą na czas do samochodu, to zupełnie nierealne, a po drodze nie ma żadnego bezpiecznego miejsca, w którym można przeczekać burzę.

– Skręcimy tamtędy! – krzyczy Romain. – Stąd jest niedaleko do Jaskini Zapomnienia. Co prawda dostęp od tej strony jest nieco trudniejszy, ale tam będziemy bezpieczni.

– Zrobimy, jak pan uważa – mówi Julie, dysząc ciężko. – Biegnę za panem...

Od jaskini dzieli ich wciąż dobry kilometr. Kiedy Romain się ogląda, widzi, że chmury zasłoniły już szczyt, z którego schodzą, i pędzą prosto na nich z prędkością galopującego konia. Grzmot odzywa się jeszcze daleko, ale wiatr gna w ich stronę, wkrótce pojawią się błyskawice. Zjawisko jest imponujące. Szybkość, z jaką się rozwija, nie daje im żadnych szans na dotarcie do grotu na czas.

Julie milczy. Na jej twarzy maluje się strach. Próbuje poruszać się tak szybko, jak to możliwe, nie robiąc sobie przy tym krzywdy – gdyby się zraniła, byłoby jeszcze gorzej. Stara się nie panikować, ale nie lubi burzy. Naprawdę nie lubi. W dzieciństwie widziała, jak piorun uderzył w oborę stojącą niedaleko domu jej rodziców, z przerażającym trzaskiem, który wprowadził cały dom w drżenie. Choć obora zajęła się ogniem, właściciele zdolali uratować zwierzęta w ostatniej chwili,

i do dziś nieprzewidywalność uderzenia przeraża Julie. Jasne, nic nie można na to poradzić, ale wolałaby jednak nie zostać teraz przewodnikiem między niebem a ziemią.

W sumie zależy jej na życiu, mimo wszystko...

Nie przebyli nawet dwudziestu metrów, gdy spada na nich pierwszy deszcz. Wkrótce jest to już rześista ulewa. Ogromne krople spływają im po twarzach. W kilka sekund są całkiem przemoczeni, a ziemia pod stopami staje się śliska. Grzmot jest coraz bliżej, coraz głośniejszy. Huk mrozi Julie krew w żyłach.

Na szczęście skaliste schody prowadzące w dół do jaskini są już w zasięgu wzroku. Romain idzie pierwszy i podtrzymując Julie w tali, pomaga jej zejść po ogromnych stopniach. Kamienie są bardzo śliskie, ale Romain wie, że dotarli już prawie na miejsce. Pocięsza Julie.

Po wejściu do jaskini prowadzi ją w głąb groty, wyjmując wszystkie rzeczy z plecaków i kładzie je na ziemi, by mogli na nich usiąść i odizolować się od fal elektrycznych.

– Ważne, żebyśmy zostali jak najbardziej w środku, tu będziemy bezpieczni. Dobrze, Julie?

– ...

– Julie?

Julie nie reaguje. Potężny węzeł zaciska jej gardło. Przez kilka chwil siedzi w milczeniu.

A potem nagle wszystko wydobywa się na zewnątrz w zwierzęcym skowycie. Rozładowuje się niczym błyskawica z całego wewnętrznego napięcia. Znajdują się teraz w samym centrum szalejącej burzy. Po każdym kolejnym grzmocie Julie krzyczy jeszcze głośniej. Romain rozumie, że wyraża w ten sposób nie tylko swój strach przed burzą. Każde uderzenie gromu jest niczym detonator gniewu, który wzbiera w niej od śmierci Lulu, a którego nie umiała

dotąd uwolnić.

Tym lepiej...

Wziął ją w raniona i kołysze, próbując uspokoić jej wzburzenie. Julie drży, przemoczona i zziębnięta. Nic nie pomaga. Ten ogromny szloch trwa i trwa przez długie minuty. Romain pozwala jej go przeżyć do końca, by wreszcie się go pozbyła. Odsuwa dziewczynę trochę od siebie, by spojrzeć jej prosto w oczy. Mokre włosy kleją się jej do twarzy, usta drżą, a błękitne oczy szukają punktu zaczepienia, niczym statek rzucający kotwicę, by odzyskać równowagę.

Romain bierze twarz Julie w swoje szerokie dłonie i łapie jej spojrzenie, po czym znów się przybliża. Najpierw jego wargi czują drżenie ust Julie, lecz kiedy Romain zaczyna je całować, czuje, jak drżenie stopniowo ustaje, a dziewczyna się uspokaja.

Na początku po prostu pozwala mu na to, potem sama odwzajemnia pocałunek.

A później nic już wokół nich nie istnieje. Spowija ich życzliwy półmrok jaskini. Wszystko wokół mogłoby się zawalić, a oni trwaliby zjednoczeni w tym wirze, który sprawia, że zapominają o swoich przemokniętych ubraniach, chłodzie, burzy, rozpacz i stracie. To życie krąży w ich pocałunkach i pieściznach, sama esencja życia, silniejszego niż wszystko.

A potem światło...

Burza się oddala, a przyrodę dookoła znów rozświetlają promienie słońca.

– Musimy iść, Julie. Nie mamy żadnych ubrań na zmianę, a w górach bardzo szybko robi się chłodno.

– Może pan wziąć u mnie prysznic po powrocie.

– Może moglibyśmy jednak mówić sobie na „ty”?

– Może moglibyśmy – mówi Julie z uśmiechem, pełna blasku niczym natura odświeżona po przejściu nawałnicy.

Po przejściu jej własnej burzy.

Romain bierze ją za rękę i wyprowadza z grotty. Schodząc z góry, prawie ze sobą nie rozmawiają, ale często na siebie patrzą, z uśmiechem, namiętnością i pożądaniem.

Po wyjściu spod pryszniczka Julie rozpala ogień w kominku. Romain zajął jej miejsce w łazience. Po wejściu do domu ich pierwszą pilną potrzebą było się rozgrzać. Ubrania Romaina wyschną w ciepłe bijącym z kominka. Idąc do kuchni, by zaparzyć herbatę, Julie stąpa delikatnie, by uniknąć niezręcznego naruszenia jego prywatności. Mimo wszystko nie przekroczyli jeszcze progu intymności.

Romain zostawił uchylone drzwi łazienki, energicznie wyciera włosy. Zawiązał sobie ręcznik wokół talii. Jest piękny. Sądząc po parze unoszącej się w pomieszczeniu, tak samo jak Julie odkręcił niemal wrzątek, by się ogrzać.

– Znalazłeś ręczniki? – rzuca, przechodząc pod drzwiami.

Po włączeniu czajnika elektrycznego Julie idzie do swojego pokoju, żeby się ubrać. Wyjmuje jakieś ubrania z szafy, kiedy czuje, że dłonie Romaina obejmują ją w talii. Całuje ją w kark, po czym odwraca w swoją stronę, gładząc policzek i odsuwając kosmyk włosów, który opadł na czoło. Patrzy na nią jak jeszcze nigdy wcześniej, pełnym pożądania wzrokiem kochanka. Uważa, że jest piękna, piękniejsza niż kiedykolwiek. Potem znów ją całuje, gorąco, czule. W Jaskini Zapomnienia porwało ich uniesienie, ciekawość odkrycia się po raz pierwszy. Teraz się już nie spieszą, odkrywają się powoli, obdarzają pieśczołą, by po chwili odsunąć się od siebie, przybliżają się i oddalają, jakby się wahali.

Kiedy Romain przewraca Julie na łóżko, ta zamyka oczy i oddaje mu się całkowicie.

Księżniczka opuściła most zwodzony, by pozwolić księciu wejść do zamku. Łagodne światło późnego popołudnia przenika przez żaluzje, malując miłosne

smugi na tych dwóch ciałach, które stały się jednym. Mały kawałeczek szerokiego, spokojnego nurtu, mimo wszystko.

Julie budzi się, stwierdzając, że zapadła noc, świeci się wyłącznie światło w łazience. Unosi delikatnie ramię Romaina, by wstać. Ten ledwie otwiera oczy. Julie siada na brzegu łóżka, chwytając prześcieradło porzucone w nieładzie na podłodze, i owija się nim, by pójść do łazienki. Kiedy się porusza, Romain zauważa dwa małe zagłębienia w dole jej pleców. Czworobok Michaelisa, „boski rąb” i małe dołeczki wyznaczone przez kości miednicy. Jego ulubiona partia ciała, zwłaszcza u kobiety. Znów widzi we wspomnieniach swoją żonę, jej piękne kształty, które tak kochał. Zamknięta rana, która wciąż jeszcze się jątrzy. Romain odwraca się do okna i zamyka oczy. Kiedy Julie wraca, kładąc się przy jego boku, zauważa małą łzę, która zatrzymała się na policzku. Ona wie, że taka chwila prawdziwej intymności sprawia, że duchy powracają. Spodziewała się tego i szanuje to. Sama też jest nieco rozbita. Myśli o Lulu.

Danie sobie prawa, by na nowo odczuwać cielesną przyjemność, nie jest niczym oczywistym.

Julie gładzi Romaina po ramieniu, całuje tę łzę musnięciem delikatnym niczym dotyk skrzydeł motyla i szepcze mu do ucha: „Dziękuję...”.

Jest jednym z tych nie tak bardzo dominujących mężczyzn, którzy rozumieją drugą połowę ludzkości.

Romain nie odpowiada, nie otwiera oczu, ale bierze Julie za rękę i ściska ją mocno, bardzo mocno, uśmiechając się blado.

# SZCZYTY, KTÓRE BYŁY JEDYNIEM PAGÓRKAMI

Droga Julie,

czy spotkamy się, zanim ten list trafi do Twojej skrzynki? Nieważne. Mam ochotę do Ciebie napisać, właśnie dziś. Być może dlatego, że nigdy nie potrafiłem mówić głosem serca, które teraz przynagla mnie, bym chwycił za pióro, i dyktuje mi zdania. Skoro już dyktuje mi całe życie. A ja jestem mu posłuszny, bo zdałem sobie sprawę, że zawsze miało rację. To rozum często się myli.

Wczorajszy dzień był piękny i intensywny. Jednak to nie Twoje ciało i naszą intymność wspominam najczęściej, choć wciąż noszę w sobie jej ślady. Cudowne ślady. Kiedy myślę o łuku Twoich bioder, o zagłębieniu w Twojej łopacie, o Twoich miękkich dłoniach, białych piersiach, moje serce łomocze, a mój brzuch drży. Jednak we wspomnieniach widzę przede wszystkim Twoje oczy. Te zagubione oczy z jaskini, te błyszczące, gdy schodziliśmy do doliny, i te z Twojej sypialni, jasne i spokojne.

Nie wiem, od kiedy stałaś się kim więcej niż mamą mojego małego pacjenta. Już od pierwszego dnia? Kiedy dokończyłaś za mnie arabskie przysłowie? Tego dnia, gdy zbudziłem cię ze snu, bo musiałem zająć się Lulu, i wydałaś mi się wtedy tak wzruszająca? A być może wtedy, gdy czytałem list, który napisałaś, by opowiedzieć mi o swoim synku. Długo wpatrywałem się w dołączone do listu zdjęcie. A potem, kiedy zmarł, postawiłem tę fotografię na nocnym stoliku. Chciałem widzieć Was codziennie. Pewnego dnia Charlotte zapytała mnie, kto jest na zdjęciu. Odpowiedziałem: „Dwa anioły, kochanie. To są dwa anioły”. Sadzę, że mi uwierzyła i że miała rację.

Podziwiałem sposób, w jaki opiekowałaś się nim w szpitalu, a potem to, jak pozwoliłaś mu odejść. Podziwiałem siłę, jaką się wykazywałaś, zdobywając szczyty, które Ci wyznaczałem, które jednak w porównaniu z Twoją rozpaczą były jedynie pagórkami. Chciałem wykrzyknąć całemu światu, jak wielki jest Twój ból, być może dlatego, że sam dotykałem go opuszkami palców.

W każdą niedzielę, gdy mieliśmy się spotkać, budziłem się z nadzieją, że czujesz się lepiej niż ostatnio, choć zdawałem sobie sprawę, że nie zawsze jest to możliwe. Większości ludzi wydaje się, że im więcej czasu upłynie, tym lepiej sobie radzisz, ale te emocje nie schodzą w dół po linii prostej, lecz są niczym sinusoida, ze swoimi górami i dolinami.

Wczoraj krzywa była w swoim najwyższym punkcie i cieszę się, wiedząc, że będziesz przy mnie także wtedy, gdy zejdziesz na sam dół, z Twojej albo z mojej strony.

Co za pomysł, by pisać do Ciebie o geometrii. Choć przecież to Ty mówiłaś mi o astronomii.

Nie mogę się już doczekać... Nie mogę się doczekać następnych dni i tygodni, w których będę Cię odkrywał, poznawał. Nie mogę się doczekać Twojej bliskości, dotyku Twojej miękkiej skóry. Nie mogę się już doczekać kolejnych górskich wycieczek, naszych rozmów i milczenia. Milczenia i trzymania się za ręce. Tej chwili, gdy po wejściu na szczyt wezmę Cię w ramiona i razem będziemy przyglądać się tętniącemu w dole życiu.

Znajdziemy czas na to, by żyć chwilą. Jeśli do czegoś będzie nam spieszno, to tylko do szczęścia.

Pamiętasz, co Ci mówiłem w kawiarence? Kiedy chowałaś się za plastikowym mieszadełkiem, przetrząsając swą kawę w poszukiwaniu hipotetycznego kryształka cukru, który jeszcze się nie rozpuścił. To było urocze!... Rozmawialiśmy o stawianiu poprzeczki zbyt wysoko... Mam metr osiemdziesiąt dwa centymetry wzrostu. Mam nadzieję, że to dla Ciebie wystarczająco...

Powiedziałem Ci też, że nigdy się nie mylimy, kiedy kochamy. I dzisiaj wiem, że się nie mylę, Julie.

Nie mylę się.



Słyszysz? Nie mylę się.

Całuję.

Romain

**TRZY LATA PÓŹNIEJ...**

# KOALESCENCJA

Czas płynie i goi rany.

Życie kotłuje się i idzie naprzód.

Pod grubą warstwą szarego, zimnego popiołu tli się żar. I nagle, pewnego dnia, delikatne tchnienie i kilka nowych gałązek wystarczą, by ogień znów zapłonął.

Ogień zapłonął dla Paula. Manon wyruszyła jego śladem, nie próbując nawet stawiać najmniejszego oporu. Jakby to było najzupełniej oczywiste. To działa w obie strony. Kiedyś mówiła mi o pokrewnych duszach. Poznali się w szpitalu, w poczekalni na oddziale, na którym leżał Lulu, i tak naprawdę od tamtej pory już nigdy się nie rozstali. Ciągnęło ich do siebie od pierwszego spotkania. Od razu się rozpoznali, od pierwszego spojrzenia. Czasami nastawiamy radio, szukając odpowiedniej częstotliwości, wydaje nam się, że rozpoznajemy program, ale coś trzeszczy, sygnał się rwie. W ich wypadku dźwięk był czysty od samego początku. A później to okrutne poczucie braku, gdy życie nieuchronnie oddalało ich od siebie. Paul też powiedział mi, że są bratnimi duszami. Pierwszy raz poczuł siłę, by przestać wypatrywać swej ukochanej komety, która zbyt wcześnie przeniosła się w stan nieważkości. Lecz jednocześnie się bał. Bał się młodości Manon. Bał się, że może ją skrzywdzić. Bał się odwrócić od Pauline. Ale nic nie mógł zrobić. Walka z samym sobą czyniła go nieszczęśliwym. Poddał się, złożył broń i od tamtej pory wydaje mu się, że odzyskał energię dwudziestolatka. Manon także boi się budować z nim życie. Jest między nimi

trzydzieści lat różnicy i przyjdzie dzień, gdy biologiczne uwarunkowania dopadną w końcu ich związek. Stara się więc o tym nie myśleć. Razem złożyli broń i ruszyli dalej z kwiatami włożonymi w lufy karabinów w rękach.

Unikają tylko wspólnego jeżdżenia windą...

Kiedy idziemy razem do restauracji, w środku posiłku wymieniają się talerzami. A później znów robią to przy deserze. Paul ograniczył liczbę podróży służbowych, tak bardzo nie znosi być daleko od niej. A jednak nie zabierają sobie tlenu. Jedno nie poddusza drugiego.

Bratnie dusze...

Cieszę się wraz z nią. I z nim. Czasami myślę sobie, że być może nigdy by się nie spotkali, gdyby Lulu nie leżał w tym szpitalu... Przypadek czy zbieg okoliczności?

Ostatecznie liczy się wynik.

Wynik jest miły.

Lulu, gdybyś wiedział...

Jestem głupia, wiesz!...

Ogień zapłonął także dla Jérôme'a. Gałązka nazywa się Caroline. Pewnego dnia wyznał mi, że kiedy spotkał ją po raz pierwszy, zastanawiał się, czy dobrze zrobił, biorąc ją na zastępstwo, tak wydawała mu się niezdarna i zagubiona. A później uznał, że to wzruszające. Wydawało mu się, że towarzyszy jej na drodze prowadzącej do większej pewności siebie. Instynkt zbawiciela nigdy go, jak widać, nie opuszcza. Sądzę, że trudno by my było przyznać, że to może jednak ona przyszła z pomocą jemu. Różnica między nią a Irène jest taka, że Caroline ma się dobrze. Jest zrównoważoną, nieporadną, ale zrównoważoną. Idzie przez życie wyprostowana. Musi być także dzielna, skoro udało się jej ocalić maleńkie istnienie, podtrzymując je w łonie matki koniuszkami palców. I jeszcze ten sposób, w jaki pomału zadomowiła się w życiu Jérôme'a, zaczynając

od niewinnego drapania go pod gipsem, aż stopniowo stała się dla niego zupełnie niezbędną. Caroline jest przeciwieństwem Irène. Nieco roztrzepana, chaotyczna, lekceważy rzeczy, które wydają się jej mało ważne, a czystość w jadalni albo równe ułożenie swetrów szafie nie są dla niej tak istotne jak spędzanie czasu z pacjentami, przyjaciółmi czy mężczyzną, z którym dzieli życie. A on sam doszedł w życiu do chwili takiego zwątpienia, że stał się przez to bardzo skuteczną podporą. Podporą na wózku inwalidzkim, którą popychała, wspierając się na niej. Czasami życie bywa dziwne.

Jednak to chyba mój ogień zapłonął najmocniej.

Trochę ponad trzy lata temu wydawało mi się, że zgasiałam wszystkie światła i wyszłam, nie wiedząc, czy kiedykolwiek jeszcze wrócę, jak w małym domku w Bretanii.

Trochę ponad trzy lata temu wydawało mi się, że na zawsze wypadłam za burzę, skazana na dryfowanie w lodowatej wodzie. A potem udało mi się wdrapać z powrotem, by kontynuować rejs. Romain, stojąc na pokładzie, podał mi rękę, wysuszył na słońcu moje ubrania, bym już nie marzła, pokazał mi horyzont, bym zapragnęła ku niemu podążyć. Dzięki tym górskim wycieczkom rozpostarł żagle statku, który rozpędził się w pogoni za celami do zdobycia. Odkąd wyruszyliśmy, wciąż powtarza, że nie ma w tym żadnej jego zasługi, ale ja wiem, że bez niego nie przebyłabym tej drogi. Być może znalazłabym inne ręce, i inne ręce przecież były, i wciąż są, ale jego miłość miała znaczenie. Wciąż ma.

Zamieszkałam w jego małym domku. Dobrze nam tu. Charlotte przyjęła mnie z naturalnością dziecka w jej wieku. Trzeba przyznać, że dość dobrze znałam wszystkie jej zabawy. Klocki Lego nie mają przede mną tajemnic, dosłownie i w przenośni. Zachowuję się jak mała dziewczynka, kiedy trzeba przemeblować jej domek dla lalek, i wciąż jestem nie do pobicia w *Memory*. Być

może oswoiłam ją, dopasowując się do jej poziomu, niczym starsza siostra. Często przytulamy się mocno i długo. Ponieważ ona tęskni za swoją mamą, a ja tęsknię za swoim dzieckiem. Odzyskujemy stracone uczucia, zapełniamy pustkę, uszczelniamy, by zapobiec przeciągom, które powoduje ich nieobecność. Możemy tak siedzieć godzinę przyklejone jedna do drugiej. Czuję, jak jej mała rączka głaska mnie po plecach, a ja wtulam nos w jej szyję. Jak dzieci, które po urodzeniu instynktownie kierują się ku matczynej piersi.

Instynkt przetrwania.

Bez niego giną.

Z nami jest podobnie!

Czasami Romain wraca ze szpitala i zastaje nas tak przytulone na kanapie. Uśmiecha się i mówi:

– Znowu się tulicie!

Wtedy otwieramy ramiona i tulimy się we troje. Tak jest jeszcze lepiej.

W końcu zgodziłam się przyjąć propozycję Paula, który pomógł mi podjąć naukę i rzucić posadę kasjerki, której nie mogłam dłużej znieść. Nie osiągnęłam jeszcze poziomu pozwalającego mi prowadzić badania w dziedzinie biologii molekularnej, ale licencjat, który zdobyłam miesiąc temu, pozwolił mi zdobyć stanowisko asystentki od września. Paul mówi, że odtąd będę w stanie piąć się po stopniach kariery i spełniać swoje marzenia.

Mój ojciec zmarł sześć miesięcy po Lulu. Rak płuc. Nie zobaczyłam go przed śmiercią. Mama nie miała siły, by mnie powiadomić. Wrak człowieka, zniszczony przez alkohol i błędzenie przez życie pozbawione sensu i spełnienia. Odziedziczyłam więc kilka dóbr materialnych i małą łódkę porzuconą gdzieś na środku oceanu, dryfująca wśród zbyt wysokich fal, przerażoną grasującymi dookoła rekinami. Holowałam ją, jak potrafiłam, i w końcu udało nam się dobić do brzegu. Sprzedałam dom, który i tak byłoby mi zbyt trudno utrzymać. Za

część pieniędzy opłaciłam mamie leczenie w renomowanej klinice odwykowej, by się odtruła i stanęła na nogi. Powoli zaczęła wychodzić na prostą. Dzisiaj mieszka w niewielkim mieszkaniu, w którym, jak sędzę, czuje się dobrze. Stopniowo nawiązujemy kontakt. Żeby złożyć na nowo tego rodzaju lego, potrzeba czasu. Ale znów zaczęła się uśmiechać. Powściągliwie, bo bolą przy tym policzki, które zeszywniały na skutek pogardy, jaką okazywał jej ten zimny i twardy człowiek, który był moim ojcem. Ale skóra jest elastyczna, przyzwyczajai się. Nasze emocje też są elastyczne. One także się przyzwyczajają.

Tak.

Było kiedyś.

Był fizjoterapeuta, który powoli dochodził do siebie po zamordowanej miłości. Był wiejski lekarz, który przeżył jeszcze bardziej ostateczną stratę. Był jego ojciec, który wciąż rozpamiętywał to, co przeżył trzydzieści lat temu, nie umiając się od tego oderwać. Była moja najlepsza przyjaciółka, która nie zastanawiała się nad przyszłością. Była młoda lekarka, której wydawało się, że nie ma żadnej wartości. Była kasjerka, próbująca jakoś poradzić sobie z życiem samotnej matki. I był mały chłopiec pełen życia, który czerpał z niego całymi garściami.

I jest teraz.

Jest Romain, który włożył mi z powrotem stopy w strzemiona i razem ze mną wsiadł na konia. Jest jego mała córeczka, która trzymając nas za szyje, galopuje wraz z nami. Jest Jérôme, który odzyskał sprawność fizyczną, choć kuleje odrobinę na jedną nogę. Już nigdy więcej nie będzie mógł biegać po plaży, ale nauczył się płakać, gdy ból i ciężar przygniatający mu ramiona są już zbyt duże. Pozwała, by życie niosło go swobodnie, odkąd jest w nim Caroline. Ta ostatnia rozwinęła swoje zdolności diagnostyczne ku wielkiej uldze ubezpieczyciela i obudziła uszpioną dotąd wiarę w siebie. Jest Paul, który wciąż płacze, siekając

cebulę, ale w końcu patrzy przed siebie. A naprzeciw niego stoi Manon, która wreszcie zaczęła sobie zadawać poważne pytania na temat przyszłości. Zakręciła słoik konfitur, zamykając w nim starego trzmiela, który robi jej w sercu przyjemne bzzzz. Jest była kasjerka, która powoli przybliżyła się do swego marzenia, by zostać biologiem molekularnym. Uszczelniła pęknięcia, na górze i na dole, dzięki średniowiecznej położnej, która pomogła jej znów odnaleźć się w swojej kobiecości, i dzięki mężczyźnie, u którego testosteron wywołuje efekt „księcia z bajki”.

Nie ma już Lulu, małego chłopca, który brał z życia pełnymi garściami, bo zabrała go śmierć. Lulu jest w innym wymiarze. Nie ma go tu z nami, nie może tego zobaczyć ani przeżyć. Wiem jednak, że dzieli z nami to wszystko mocniej, niż myślimy. Być może nawet to on pociąga trochę za sznurki. Bo jeśli nie, to jak wytłumaczyć fakt, że wszystkie trzy zaszłyśmy w ciążę praktycznie w tym samym miesiącu?

Przypadek czy zbieg okoliczności?

Cóż, ostatecznie, liczy się wynik.

Wynik jest miły.

Pomiędzy kiedyś i teraz było to przypadkowe spotkanie przy kasie w supermarkecie, nad mrożoną pizzą i zgrzewką piwa. Mógł wybrać inną kasę, mogłam tego dnia nie pracować. Mogłam się uśmiechnąć i nie pozwolić, by łza spłynęła mi po policzku. Ale byłam tam, z tą łzą, a on wybrał moją kasę, być może ze względu na łzę. Mógł też nie wrócić w następnym tygodniu, nie zaprosić mnie na obiad. Mogliśmy nie pojechać do Bretanii, nie przywiązać się do siebie nawzajem. Mogliśmy nie mieć tego wypadku.

Ale to wszystko się stało i musieliśmy to przyjąć. Romain miał rację. Dajemy sobie radę, bo nie mamy innego wyjścia. Rzeka życia nie cofnie swego biegu, a my jesteśmy tylko małymi drewnianymi patyczkami, które unoszą się



z prądem. Czasami każdego z nas porwie gwałtowny wir, przewróci, poturbuje, podtopi, ale zawsze wypływamy na powierzchnię. A czasami, w małych zakolach rzeki, osłonięte przez wielki kamień, wirują małe gałązki, które wydostały się z kipieli i razem odnalazły to spokojne miejsce, by odetchnąć. Małe skupisko ocalałych na przekór prądom i wirom. Śmierć Lulu to tama, która się przerwała, to fala, która zmiotła wszystko na swojej drodze, ale nie utonęliśmy, ponieważ byliśmy razem, trzymając się jedni drugich. Silniejsi podtrzymywali słabszych.

A kiedy odeprze się taki atak, czuje się silniejszym.

A także bardziej wrażliwym.

Paradoksalnie.

To boli, ale pozwala wytrzymać.

Potrafimy się oprzeć.

Wytrzymać.

Do chwili gdy schronimy się w małym zakolu, osłoniętym przez wielki kamień, gdzie będziemy mogli odetchnąć.

Zanim znów porwie nas wir.

Bo takie jest życie.

Prawdziwe życie.

Nadeszło lato. Całą szóstką wybraliśmy się do Bretanii, do domku Paula. Charlotte pojechała na wakacje do dziadków od strony matki. Tak naprawdę nie jest nas sześcioro, lecz dziewięcioro. Trzy małe cuda wypychają trzy kobiece pęпки do przodu.

Co wieczór układam do snu słońce kryjące się za horyzontem. Odnajduję tam Lulu, który unosi się nad wodami. A kiedy i słońce, i Lulu już zasną, wracam do domu, z łagodną melancholią, która tak naprawdę nigdy mnie nie opuszcza, ale już się z nią oswoiłam.

Na niebie nie ma księżycy. Ledwie kilka chmurek próbuje się ogrzać w bijącej od miasteczka poświacie. Tego wieczora wyjęliśmy więc koce i odcumowaliśmy łódkę. Tańczyliśmy taniec Baloo na pokładzie, bo wreszcie się obudził, po długiej hibernacji. Był strasznie wychudzony, ale go nakarmiliśmy, a on odzyskał dobry humor. Zatrzymaliśmy się wśród ciemnej nocy, w tym samym miejscu co kiedyś z Jérôme'em. Kiedy wyłączył światła, nie miałam żadnych obaw. Nie tym razem.

Moby Dick może się schować!

Po tym, co w życiu przeszłam, jakiś mały waleń nie jest mnie w stanie przestraszyć...

Wcale się nie boję!

Wszyscy leżymy na pokładzie, starannie okryci kocami, tylko trzy małe pagórki sterczą niczym wydmy na pustyni.

Niebo jest zachwycające. Jest noc dziesiątego sierpnia. A my przygotowujemy się do obserwacji Perseidów, tego magicznego deszczu spadających gwiazd, który w rzeczywistości jest tylko rojem drobin pyłu pozostawionych przez komety, maleńkich jak ziarnka piasku. Takie światło na niebie dzięki kilku małym cząstkom! Przypominam sobie, co powiedział mi kiedyś Romain o ziarnkach piasku nad brzegiem morza. O tych, z których buduje się najpiękniejsze zamki.

Tej nocy kończymy budowę naszej własnej fortecy. Jest mocna. Stoi na trwałych fundamentach. A ziarenka piasku spaja niezniszczalny cement. Silne wzajemne przywiązanie. Koalescencja.

Patrzymy w gwiazdy, wiedząc, że niektóre z nich świecą jaśniej niż inne, bo jest tam coś więcej niż tylko gaz i materia. Być może są tam też dusze, które weszły na ich orbitę i dodają im innego blasku.

Często myślę o Lulu. Myślę o nim każdego dnia. O poranku i o zmierzchu.

Jest w podmuchu wiatru, w promieniu słońca, w locie motyla. Jest wszędzie tam, gdzie ja jestem. Czasami myślę o tym z radością, czasami ze ściśniętym sercem. Jest odbity niczym znak wodny między moimi myślami a resztą świata, na zawsze. W moim wnętrzu, ukryty głęboko, bezpieczny, cokolwiek się zdarzy. Jak kobieta w ciąży, która nosi swoje maleństwo, kiedy tylko ona wie, że ono tam jest, bo jej brzuch jeszcze się nie zaokrąglił, by ogłosić nowinę światu. Kiedy delectuje się tą sekretną bliskością, której nic nie może zniszczyć, nawet smutki i problemy, bo nosi życie w swoim wnętrzu. Bo nosi w swoim wnętrzu miłość...

Nosiłam go w sobie przez dziewięć miesięcy, by zbudować mu przyszłość, a teraz on wrócił do mnie, by pomóc mi odbudować moje własne życie. Trochę poranione, czasami trudne, ale jednak pełne smaku.

Lulu przeminął niczym tchnienie anioła i teraz pozostaje w pamięci tych, których musnął swymi delikatnymi skrzydłami.

Moje ręce powoli uniosły się w górę, by podźwignąć moje przeznaczenie ku temu cudowi, który mi się przytrafił, cudowi przetrwania, a potem życia i bycia szczęśliwą.

Szczęśliwą, że żyję.

Ponieważ Lulu jest wszędzie tam, gdzie ja jestem...

# PODZIĘKOWANIA

Dziękuję:

Pauline, za medycynę...

Apolline, za wszystkie małe wpadki...

Frédéricowi, za mechanikę...

Hervé, za Drogę Mleczną...

Mojemu tacie, za gramatykę i ortografię...

Mickaëlowi, za tak piękną poezję...

Moim pierwszym czytelnikom, którzy podchodzą do moich tekstów z życzliwością (szczególnie ciepłe myśli przesyłam Marie, także tej w górze)...

I wszystkim tym, którzy przynoszą mi miłość, czułość, wsparcie, bym mogła iść naprzód...

Emmanuelowi, za wiosnę pełną jaskółek...

Benjaminowi, który nauczył mnie myśleć o przyszłości...

A przede wszystkim Pierre'owi, za to, że przy mnie trwa...

Tytuł oryginału

*Juste avant le bonheur*

Copyright © Editions Albin Michel – Paris 2013

Copyright © for the translation by Eliza Kasprzak-Kozikowska

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Andromeda

Projekt okładki

Małgorzata Drabina

Ilustracja na okładce

© okalinichenko/Fotolia

Opracowanie typograficzne książki

Pracownia 12A

Opracowanie tekstu

Pracownia 12A

ISBN 978-83-947626-0-5

Wydanie 1, Kraków 2017

Wydawnictwo Andromeda Sp. z o.o.

ul. Skawińska 22/5

31-066 Kraków

[andromeda@wydawnictwoandromeda.pl](mailto:andromeda@wydawnictwoandromeda.pl)

Plik opracował i przygotował Woblink

**woblink**  
[woblink.com](http://woblink.com)